



- **Éric-Emmanuel Schmitt** i jego **steinway**
- Żli ludzie są ciekawsi, czyli reportaż według „New Yorkera”



WYSOKIE OBCASY
Marianna Stuhr.
Czasem sobie rozmawiam z tatą



MAGAZYN

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Matka Boska Kozuchowska?

Nie będę się wypierać wiary w Boga

► 29



Czy zginąłbyś za ojczyznę? Pytamy o pacyfizm. Na początek – Sławomira Sierakowskiego ► 4

Żona nigdy mnie nie spytała Samotny jak mężczyzna w związku ► 17

Porucznicy są wkurzeni Trump już wie, jak przejąć armię ► 22

WYBORCZA

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 048908

ISSN 0860-908X



26>

9 770860 908167

Bartosz T.
Wielński

Czy mogę być pacyfistą?

Czy stać nas w Polsce na pacyfizm? Odpowiedź z pozoru wydaje się oczywista. Nie. Kraj sąsiadujący z imperialną Rosją i jej satelitą Białorusią musi, zgodnie z łacińską maksymą, szykować się na wojnę, jeśli chce pokoju.

Wojnę w obronie terytorium naszego i naszych bałtyckich sojuszników, oddzielonego od Polski wążutkim – to mniej niż 100 kilometrów! – przesmykiem suwalskim. Obwód królewiecki to rosyjski lotniskowiec na Bałtyku, stacjonujące tam rakiety balistyczne Iskander mają w zasięgu cały region, instalacje radioelektroniczne zakłócają sygnał GPS nawet w środkowej Polsce. Dodajmy do tego składy głowic jądrowych pod Królewcem i w Białorusi.

Wydać nam się, że największym problemem byłaby powtórka z historii, gdy ktoś na Zachodzie zapyta – jak zapytał w maju 1939 francuski dziennikarz Marcel Déat – czy warto umierać za Gdańsk? Za Narwę, za Rygę, za Kłajpedę. Jesteśmy bowiem przekonani, że kto jak kto, ale my na wschodniej flance rozumiemy zagrożenie i tylko my – w przeciwieństwie do dekadencjonalnej starej Europy – chcemy i potrafimy stawić Rosji opór. Bo my tradycyjnie nie uznajemy pokoju za wszelką cenę i nie oddajemy ani guzika.

Zonk!

Rządowa zapowiedź szkoleń wojskowych dla mężczyzn wprawiła walecznych młodych Polaków w popłoch. A pacyfistyczni, kapitulanci Niemcy dyskutują o przywróceniu poboru

Wystarczy przejrzeć badania opinii publicznej. Już tylko 10 procent Polaków wstąpiłoby do wojska, by bronić kraju – raptem rok temu prawie 15 procent – a ponad jedna trzecia wyjechałaby za granicę. Eksperti jako jedną z przyczyn mobilizacji skrajnej prawicy w wyborach prezydenckich podają... rządową zapowiedź

szkoleń wojskowych dla mężczyzn. Dobrowolnych, ale i tak wprawiła młodych ludzi w popłoch. Tymczasem w rzekomo pacyfistycznych, kapitulacyjnych Niemczech na poważnie dyskutuje się przywrócenie poboru.

Czyżby Polska stała się krajem ukrytego pacyfizmu?

Idea potępiająca wojny i dążąca do powszechnego pokoju jest szlachetna i słuszna. Krystalizowała się po wojnach napoleońskich, które wstrząsnęły ówczesnym cywilizowanym światem. Wojnę w Ukrainie możemy oglądać wszyscy – nie tylko ci, którzy znaleźli się na drodze maszerujących wielkich armii, w ich szeregach czy na omiotanych kartaczami polach bitew. Dzięki internetowi i smartfonom z bliska i na żywo patrzymy na spalone ciała żołnierzy. I na twarze ukraińskich rodziców, stojących przed gruzami domu, na który właśnie spadła rosyjska rakietka, zabijając we śnie ich dzieci.

Pytanie, jakie stawiały sobie całe pokolenia pacyfistów – czy może istnieć świat bez wojen – pozostają w mocy. Ale czy w sytuacji, gdy bezpieczeństwo naszego kraju jest zagrożone bardziej niż kiedykolwiek w najnowszej historii, należy je zadawać? ●

Kolumbia

Za darmo nie sprzątam



Słynny Plac Bolívara w Bogocie, odpowiednik rzymskiego Piazza Navona, zasypało kilkanaście ton butelek, puszek, kartonów. Nie zostawili ich turyści, a zbieracze śmieci protestujący przeciwko malejącym dochodom. Z codziennej porcji kilkuset kilogramów odpadów do recyklingu przeciętny zbieracz wyciąga 2-5 dolarów, gdy pensja minimalna wynosi ok. 350 dolarów – a producenci, którym dostarcza surowiec, tną stawki.

FOT. REUTERS/LUISA GONZALEZ

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend*

LQ2KY8V

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 28-29.06.2025 r.

Iga Świątek i Hubert Hurkacz na Wimbledonie

Uważajcie, trawa śliska

Najlepsi polscy tenisiści przeżywają niełatwy czas, ale rozpoczynający się w poniedziałek najbardziej prestiżowy turniej na świecie daje im wielką szansę.

Cztery lata temu Hubert Hurkacz dotarł do półfinału Wimbledonu w sposób spektakularny. W trzysetowym pojedynku rozbił Rogera Federera – największego geniusza tenisa, który wygrywał Wimbledon rekordowe osiem razy. Wydawało się kwestią czasu, kiedy obdarzony atomowym serwisem wrocławianin da kibicom polskie zwycięstwo w grze pojedynczej na „świętej trawie”.

Sposób gry Hurkacza wydał się stworzony do wygrywania na Wimbledonie. Ale przed rokiem Polak doznał kontuzji kolana w meczu II rundy z Francuzem Arthurem Flisem i musiał przejść usunięcie łakotki. Z szóstej pozycji w rankingu ATP – najwyższej, jaką zajmował kiedykolwiek polski singlista – osunął się na 39. Kiedy pod



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

koniec ubiegłego roku zmieniał trenera, mówił, że zastępuje Amerykanina Craiga Boyntona Chilijczykiem Nicolasem Massu, by wygrywać turnieje wielkoszlemowe.

24-letnia Iga Świątek gry na trawie wciąż się uczy. To dla niej najtrudniejsza nawierzchnia, choć dwa lata temu dotarła na Wimbledonie do ćwierćfinału. Wtedy była liderką rankingu WTA, dziś jest ósma. Dobry start w Londynie może pomóc wyjść z kryzysu.

W tegorocznym Wimbledonie Iga i Hubert nie należą do faworytów, co daje im spokój i komfort. ●

Dariusz Wołowski

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

Sposób zarządzania procesami gospodarczymi w UE ładnie wygląda, ale to są pozory. Podobnie było z komunizmem



KRZYSZTOF PAWIŃSKI
prezes Maspexu, polskiego giganta spożywczego
Rozmowa ► Wyborcza.biz

Liczba tygodnia

30

PROC.



O tyle spadła w Niemczech sprzedaż samochodów elektrycznych. Ponieważ popyt maleje w całej Unii i w dużej części zaspokajają go dotowani przez Pekin chińscy producenci, Związek Niemieckiego Przemysłu Motoryzacyjnego zabiega o zawieszenie zakazu rejestracji nowych aut spalających. UE chce, by obowiązywał od 2035 r., mimo że motoryzacja to filar europejskiej gospodarki. Więcej ► Wyborcza.biz

FOT. KAMIL GOZDAN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czy prawdziwi Ukraińcy mogą śpiewać po rosyjsku

U nas każdy mówi, jak chce

W Ukrainie nadal są ludzie, którzy myślą, żartują, śnią i mówią w domu po rosyjsku

Bielaszyn



Kto by pomyślał? Wierka Serdiuczka, ukraińska drag queen, bohaterka Eurowizji z 2007 r., znana z występów, w których krytykowała i putinowską Rosję, jak i konserwatywny establishment Ukrainy, może mieć kłopoty.

Wszystko przez koncert w połowie czerwca w Kijowie. Andrij Danylo, bo to on wciela się w Wierkę, prócz nowych utworów wykonał kilka piosenek ze starego repertuaru. Ten zaś powstawał w innych czasach, więc w dużej mierze po rosyjsku. Na głosy oburzenia nie trzeba było czekać.

Rzecznik do spraw języka Taras Kremen oświadczył, że „rosyjskojęzyczne piosenki nie mają miejsca w stolicy Ukrainy”, i zgłosił sprawę na policję. „Nie pozwolimy, aby w stolicy Ukrainy pod przykrywką rozrywki ponownie zalegalizowano obecność językową państwa agresora” – oświadczył urzędnik. Cała sprawa rozlała się w internecie i podzieliła ukraińskich ludzi kultury. Jedni – jak piosenkarka Olga Cybulska, blogerka Olena Mandziuk czy prezenterka telewizyjna Anna Tuljeva – oznajmili, że nie chcą słyszeć rosyjskojęzycznych utworów, póki trwa wojna. Inni reagowali jak żona znanego boksera Oleksandra Usika, która na Instagramie ujęła się za Wierką. „Co jest ważniejsze: język czy działania? Człowiek pomaga wspierać swój kraj i śpiewa swoje piosenki! Najważniejsze to pozostać człowiekiem, a nie – ukraińskojęzycznym zdrajcą!”.

Ekipa Serdiuczki przypomina, co stanowi prawo: że „obywatele Ukrainy mogą wykonywać autorskie piosenki w języku rosyjskim, jeśli nie podlegają one sankcjom lub zakazom”. I dziwi się, że ktokolwiek może wysuwać podobne zarzuty akurat przeciwko Serdiuczce, która w 2022 r. znalazła się na liście artystów objętych zakazem wjazdu do Rosji przez 50 lat za publiczną krytykę „specjalnej operacji wojennej”.

Można by powiedzieć, że to naturalna emocjonalna reakcja na wojnę i cały koszmar, któremu Ukraińcy od lat muszą stawiać czoła każdego dnia. I na język wroga, jakim stał się rosyjski od początku pełnowymiarowej wojny. Nikogo to nie dziwi i trudno, by było inaczej. W końcu to Rosjanie przynoszą Ukraińcom śmierć, ból i rozpacz.

Ale wojna prędzej czy później się skończy. Popelnione teraz błędy – nieuniknione i wynikające ze zrozumiałych emocji – mogą odbić się Ukrainie, aspirującej o równe miejsce w wolnej społeczności Zachodu, czkawką.

Od początku wojny ukraińskie władze podkreślają odmienność wolnej, demokratycznej, humanitarnej Ukrainy od zniewolonej, autorytarnej i gardzącej wszelkimi prawami Rosji. Tę odmienność zwykli ludzie wyrażają dumnym, choć nieco anarchicznym stwierdzeniem, że „u nas każdy żyje, jak chce, nam niczego nie da się narzucić”. Szkoda, by te wysiłki zostały zmarnowane.

Tym bardziej że – wbrew temu, co usiłuje wmówić Rosjanom i światu kremlowska propaganda – zakazywanie mówienia w jakimś języku to coś, co w Ukrainie nie ma miejsca. Najlepszego dowodu dostarczyła mimo woli Iryna Farion, była deputowana Rady Najwyższej i wykładowczyni na Politechnice Lwowskiej, gdy oświadczyła, że „nie ma rosyjskojęzycznych Ukraińców: są Ukraińcy i kacapy”. Oburzenie było powszechne – a więc kacapami są też rosyjskojęzyczni żołnierze z frontu? – a władze przypomniały, między innymi ustami rzecznika praw obywatelskich Dmytro Łubince, o paragrafie kodeksu karnego, który zakazuje „naruszania równości obywateli w zależności od ich przynależności rasowej, narodowej, regionalnej, przekonań religijnych, niepełnosprawności i innych cech”.

Sama wiele razy miałam okazję się przekonać o otwartości Ukraińców: nigdy nie miałam żadnych problemów ze względu na posługiwanie się „językiem najeźdźcy”. To po rosyjsku rozmawiałam w Ukrainie z politykami, urzędnikami wysokich szczebli władz, działaczami społecznymi, a nawet żołnierzami i ich rodzinami. Za każdym razem, gdy pytałam, czy nie woleliby przejść na angielski i sumitowałam się, że rozmowa po rosyjsku wprawia ich w dyskomfort, odpowiadali: „żyjemy w wolnym kraju, tu każdy może mówić, jak chce”.

Cóż, jak zaznacza pisarz Andrij Kurkow, „dobra połowa ukraińskich żołnierzy na froncie to rosyjskojęzyczni Ukraińcy”.

Fakt, że Ukraińcy traktują język jako narzędzie komunikacji albo, w przypadku tych, którzy pochodzą z rodzin rosyjskojęzycznych, jako coś, co jest częścią tożsamości i do czego mają prawo, pokazuje świadomość, mądrość i dojrzałość. Ale i realną ocenę rzeczywistości w kraju, w którym jeszcze pięć lat temu, jak wynika z archiwalnych informacji na stronie administracji prezydenta, mieszkalo „ponad 40 procent obywateli, którzy myślą i mówią po rosyjsku”.

Dzisiaj liczby są inne. Jakie dokładnie, nie wiadomo, dogłębnych badań jeszcze nie ma, ale gołym okiem widać, że społeczeństwo pod wpływem inwazji przechodzi głęboką zmianę. Dla wielu Ukraińców język ukraiński stał się najbardziej oczywistą emanacją tożsamości i niepodległości. W pierwszych miesiącach pełnowymiarowej wojny wielu rosyjskojęzycznych Ukraińców, którzy przez lata nie czuli potrzeby, by przestawić się na ukraiński, usiłowało to robić. Ich motywacją były złość, nienawiść, szok. Deklarowali, cali w emocjach, że od teraz mówią po ukraińsku, niech kulawo i niegramatycznie, byleby odciąć się od rosyjskiego.

Niektórzy z powodzeniem wytrwali w postanowieniu, inni, z różnych powodów nie, choć nie znam przypadku, by czyjś powrót do rosyjskiego wiązał się ze zmianą światopoglądową. Ci, którzy byli antyputinowscy, tacy pozostali.

O tej przemianie i utwierdzaniu się w ukraińskości mówią nie tylko anonimowi Ukraińcy ze wschodniej części kraju, ale także osoby bardzo znane i publiczne, jak popularna piosenkarka Luna, która urodziła się w rosyjskojęzycznej rodzinie i przez większą część życia tworzyła po rosyjsku. W czerwcu 2022 roku artystka opowiadała mi, że nie jest nawet w stanie nawet słu-



ALINA BRATZ/WIKIPEDIA NA LICENCJI CC4.0

Luna, ukraińska gwiazda pop: Próbowalam rozmawiać po ukraińsku na głębokie tematy, ale wychodziło to nienaturalnie. To tak, jakbyś mieszkała z obcokrajowcem i nie potrafiła wyrazić głębokich uczuć w swoim ojczystym języku

chać własnych płyt. Zapewniała, że będzie tworzyć już wyłącznie po ukraińsku i to będzie jej wkład w rozwój ukraińskiej kultury oraz w propagowanie języka. I rzeczywiście: zaczęła publikować po ukraińsku na Instagramie, mówiła po ukraińsku na filmikach w serwisach społecznościowych, wydała kilka ukraińskich piosenek. Nie wspominając o dużych pieniądzach, które przekazała na obrońców Azowstalu i o koncertach, które zagrała, by wesprzeć Siły Zbrojne Ukrainy.

Od tej rozmowy minęły trzy lata. Mimo wojny emocje Ukraińców nieco opadły albo zrewidowało je życie. A Luna, choć jeszcze niedawno nie umiała sobie wyobrazić, jak ma rozmawiać z własną matką, dla której przestawienie się na ukraiński było bardzo trudne, przyznaje, że wróciła do ojczystego języka. Co nie przeszkadza jej w dalszym ciągu zbierać pieniędzy na armię.

Nie żeby zmieniła poglądy. Powód jest osobisty. „Próbowalam rozmawiać po ukraińsku na głębokie tematy, ale wychodziło to nienaturalnie. Trudno mi jest przekazać niektóre myśli po ukraińsku, brzmi to niezręcznie. To tak, jakbyś mieszkała z obcokrajowcem i nie potrafiła wyrazić głębokich uczuć w swoim ojczystym języku”.

Artystka podkreśla, że nadal stanowczo jest za propagowaniem ukraińskiego języka i kultury, ale śmiało stwierdza, że Ukraińcy powinni mieć wybór, po jakimu chcą mówić. „Sam język nie jest przecież niczemu winien”.

Każda podróż do Ukrainy utwierdza mnie w przekonaniu, że po rosyjsku mówi znacznie mniej osób niż jeszcze kilka lat temu. Widzę, że młodzież nie chce się go uczyć, w radiu nie sposób natrafić na rosyjskie utwory, także te ukraińskich muzyków. Większość księgarni nie chce sprzedawać książek w języku rosyjskim, nawet tych, które napisali rosyjskojęzyczni Ukraińcy.

Propagują za to starych i nowych ukraińskich autorów, muzykę z ukraińskimi tekstami, powieści i literaturę faktu opowiadającą o rosyjskim kolonializmie i ukraińskim sprzeciwie.

To jeden z procesów ukrainizacji, o potrzebie której Kijów mówi od dawna. Tylko że nie jest to proces, który można przeprowadzić w krótkim czasie za pomocą zakazów. I nie wtedy, kiedy chce się być wolnym, zachodnim państwem.

To znaczy można i da się, ale czym będzie się to różnić od działań Rosji, która w poniedziałek wprowadziła zakaz nauczania ukraińskiego w szkołach na okupowanych terytoriach? Albo od ocenzonego przez rosyjskie władze podręcznika do literatury, z którego usunięto wszelkie wzmianki dotyczące Ukrainy, łącznie z informacją, że Mikołaj Gogol z niej pochodził? Albo od karania grzywnami czy zmuszania do składania oficjalnych przeprosin Rosjan, których przyłapano na słuchaniu ukraińskiej muzyki?

By ten proces był skuteczny, potrzeba czasu, wyczucia i wartościowych produktów, które zainteresują publikę. A nawet wtedy szanse na pełne powodzenie, jeśli jest rozumiane jako całkowite wypłenicie rosyjskiego z kraju, są dość małe. Przynajmniej tak długo, jak są w Ukrainie ludzie, którzy nadal myślą, żartują, śnią i mówią w domu po rosyjsku. Ci ludzie – właśnie ze względu na wojnę i patriotyzm – nie czytają ani nie słuchają rosyjskich twórców. Ale szukają utworów „swoich”: Ukraińców śpiewających i piszących po rosyjsku, w języku, który jest ich pierwszym.

Bo choć to się bardzo nie podoba Kremlowi, język rosyjski nie należy wyłącznie do Rosji. To język każdego, kto potrafi i chce się nim posługiwać. Mówienie, pisanie i czytanie w języku rosyjskim nie oznacza, że podziela się imperialne poglądy Putina. Ukraińcy, których pierwszych językiem jest rosyjski, nie są mniej ukraińscy od tych, którzy od dziecka mówią po ukraińsku. A pogląd, że rosyjskojęzyczność czyni kogoś Rosjaninem, zachwyca kremlowskich propagandystów, którzy właśnie to usiłują wmawiać światu od dekad.

Bo czy mówiący po włosku lub francusku Szwajcar staje się Włochem lub Francuzem? A czy Francuzem jest ten, którego pierwszym językiem jest francuski. Ukraińcy, jeśli chcą, mają prawo po rosyjsku mówić, pisać, tworzyć i śnić. I wielu to robi – na przekór całemu złu, jakie wyrządził Putin, by ich do tego zniechęcić.

A Luna kilka miesięcy temu wyjechała z Ukrainy. Bo czuła, że wielu jej nie akceptuje. W niedawnym wywiadzie udzielonym Meduzie zastrzegła, że nie jest na rodaków obrażona, wie, że przez dłuższy czas wojenne emocje będą gorą, że ważniejszym powodem była troska o małe dziecko. Ale wspomina o hejcie, o krytykowaniu jej w telewizji za rosyjskojęzyczne piosenki, nawet jeśli śpiewała je podczas koncertów charytatywnych na rzecz armii. O wyrażenie odczuwanej niechęci. I o tym, że język stał się jedną z kwestii najbardziej dzielących społeczeństwo.

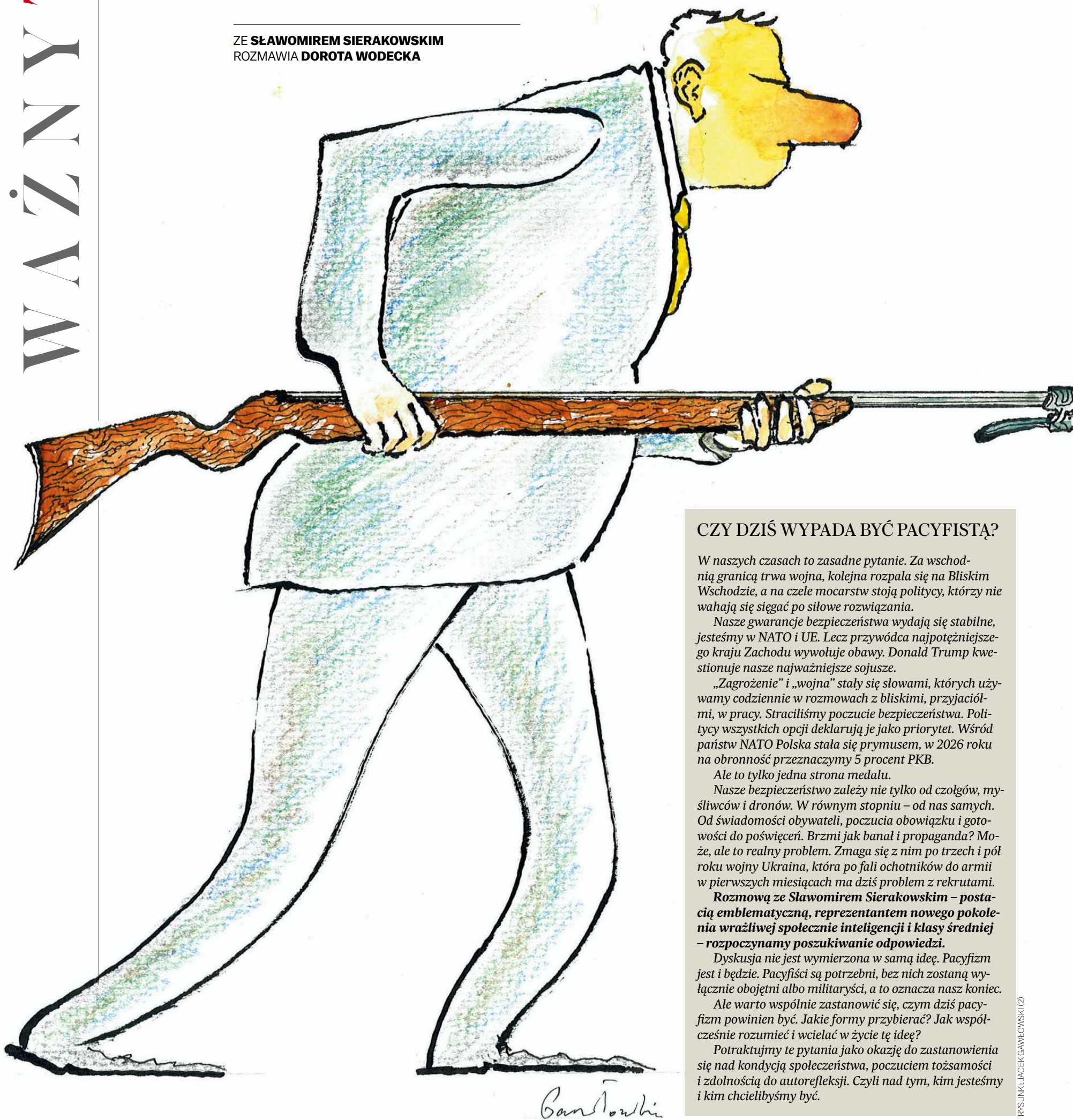
A Luna chce tworzyć w zgodzie ze sobą, w tym języku, w którym potrafi wyrażać emocje swoje i swoich słuchaczy. Podobnie jak Wierka Serdiuczka, która na oskarżenia o używanie języka agresora odpowiada: „a może to agresor mówi akurat w tym języku?”. ●
Wiktoria Bielaszyn

Czy stać nas na pacyzm

Po prostu musimy się bronić

Problem z poparciem mojej zbiórki na bayraktara mieli tylko raperzy grający twardzieli w teledyskach.

ZE SŁAWOMIREM SIERAKOWSKIM
ROZMAWIA DOROTA WODECKA



CZY DZIŚ WYPADA BYĆ PACYFISTĄ?

W naszych czasach to zasadne pytanie. Za wschodnią granicą trwa wojna, kolejna rozpala się na Bliskim Wschodzie, a na czele mocarstw stoją politycy, którzy nie wahają się sięgać po siłowe rozwiązania.

Nasze gwarancje bezpieczeństwa wydają się stabilne, jesteśmy w NATO i UE. Lecz przywódca najpotężniejszego kraju Zachodu wywołuje obawy. Donald Trump kwestionuje nasze najważniejsze sojusze.

„Zagrożenie” i „wojna” stały się słowami, których używamy codziennie w rozmowach z bliskimi, przyjaciółmi, w pracy. Straciliśmy poczucie bezpieczeństwa. Politycy wszystkich opcji deklarują je jako priorytet. Wśród państw NATO Polska stała się prymusem, w 2026 roku na obronność przeznaczymy 5 procent PKB.

Ale to tylko jedna strona medalu.

Nasze bezpieczeństwo zależy nie tylko od czołgów, myśliwców i dronów. W równym stopniu – od nas samych. Od świadomości obywateli, poczucia obowiązku i gotowości do poświęceń. Brzmi jak banal i propaganda? Może, ale to realny problem. Zmaga się z nim po trzech i pół roku wojny Ukraina, która po fali ochotników do armii w pierwszych miesiącach ma dziś problem z rekrutami.

Rozmowę ze Sławomirem Sierakowskim – postacią emblematyczną, reprezentantem nowego pokolenia wrażliwej społecznie inteligencji i klasy średniej – rozpoczynamy poszukiwanie odpowiedzi.

Dyskusja nie jest wymierzona w samą ideę. Pacyzm jest i będzie. Pacyfiści są potrzebni, bez nich zostaną wyłącznie obojętni albo militariści, a to oznacza nasz koniec.

Ale warto wspólnie zastanowić się, czym dziś pacyzm powinien być. Jakiej formy przybierać? Jak współcześnie rozumieć i wcielać w życie tę ideę?

Potraktujmy te pytania jako okazję do zastanowienia się nad kondycją społeczeństwa, poczuciem tożsamości i zdolnością do autorefleksji. Czyli nad tym, kim jesteśmy i kim chcielibyśmy być.

DOROTA WODECKA: Miejmymy od razu za sobą to mordercze pytanie: Czy jesteś gotów walczyć za ojczyznę?

ŚLAWOMIR SIERAKOWSKI: Nie tyle za ojczyznę, ile za społeczne otoczenie, czyli za miejsce, w którym mieszkam, za przyjaciół i za ludzi, których znam. Myślę o obronie ojczyzny czy oddawaniu za nią życia w kategoriach społecznych, a nie abstrakcyjnej idei.

Według kwietniowego sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej” mieściłbyś się w 14 procentach badanych, którzy również byliby gotowi na poświęcenie życia. W porównaniu z rokiem ubiegłym liczba ta spadła o niespełna 12 punktów procentowych, chociaż prawie o 10 procent wzrósł odsetek Polaków gotowych poświęcić obronie kraju własne zdrowie i wynosi obecnie 16,2. Drugie tyle – 16,3 procentu – zapowiedziało, że dla obroyny państwa nie poświęci ani zdrowia, ani życia, ani pieniędzy. Co myślisz o tym, że 16 procent nie czuje żadnej powinności?

– Doprecyzujmy, że dla 90 procent społeczeństwa „ojczyzna” zaczęła się w polskiej historii całkiem niedawno, w tym sensie, w jakim ludzie mogli o sobie mówić, że są wolnymi albo równymi jej obywatelami.

Rozumiesz tych, którzy nie chcą ginąć za kraj?

I na przykład w razie wojny wyjechałby, żeby po prostu żyć.

– Mam z tym problem.

Dlaczego?

– Bo ja wychowałem się jednak na historii Polski. Czytałem o rozbiorach, powstaniach i wojnach, co przeżywałem. Nie lubiłem tego okresu historii. Nie czytałem tego na chłodno. Wychowywałem się na blokowisku, gdzie swastyki były wszędzie obecne, a dzieci bawiły się w Polaków i Niemców. Wyrastałem w przekonaniu, że Polacy zawsze muszą wojować, więc każdy z nas myślał o sobie jak o potencjalnym wojowniku.

Długo tak miałeś?

– Długo, bo byłem jeszcze w harcerstwie o zaostronym rygorze.



Mundurowo-militarystycznym?

– Mundurowym, wymagającym etycznie, intelektualnie i fizycznie. Nasi drużynowi byli doktorantami na Uniwersytecie Warszawskim i judokami z bardzo silnym poczuciem misji. Moje ówczesne imaginarium było związane z jakąś formą poświęcenia i siły raczej, a nie pasywnego pacyfizmu.

Ale przecież miałeś wydzieraną pacyfkę.

– Dużo później, w latach 90., za główniarza i nie wydzieraną, tylko wyciętą. I to raczej konktrokulturowo, trochę jak z graniem w kapeli metalowej. Był to czas obowiązkowego poboru do wojska i rozmaitych form przemocy, nie tylko fali. Relacje z policją były wciąż antagonistyczne, do dziś pamiętam agresywny wzrok policjantów.

Poza tym wojna w Czeczenii, jedna, druga, wojna w Jugosławii, czulem wewnętrzny sprzeciw przeciwko przemocy.

A dziś? Nie jesteś pacyfistą?

– Nie mam i nigdy nie miałem zaufania do abstrakcyjnych, jednozdaniowych ideologii. Stanisław Brzozowski powiedział: „Co nie jest biografią, nie jest w ogóle”, co jest mi bliskie, dlatego dopiero konfrontując się z przemocą bliższą czy dalszą, mogę się do niej ustosunkować i przyjąć wobec niej postawę moralną i intelektualną.

Brałem udział w protestach w Białorusi, które wprawdzie relacjonowałem jako dziennikarz, ale jednak byłem w nie zaangażowany sercem i nogami, bo czulem się tam tak samo jak każdy inny protestujący.

Wiedziałem, że skoro naprzeciwko stoją wozy opancerzone i goście z kałasami, Specnaz, OMON-u, KGB, to jedyną formą protestu jest postawa antyprzemocowa. Jakakolwiek forma przemocy po stronie protestujących natychmiast by się skończyła rozlewem krwi. I tak kilkanaście osób zginęło, setki były torturowane, tysiące zatrzymane.

Wyrastałem w przekonaniu, że Polacy zawsze muszą wojować, więc każdy z nas myślał o sobie jak o potencjalnym wojowniku

Ukraińcy zarzucali wówczas Białorusinom bierność, przypominając, że oni postawili się na Majdanie i weszli w przemocową konfrontację. Zarzucając Białorusinom pasywność czy tchórzostwo, nie mieli racji, bo sytuacje tych dwóch społeczeństw były nieporównywalne. Ruchy niepodległościowe w Ukrainie zawsze mogły liczyć na poparcie Ukrainy zachodniej i kilku partii niezależnych od Partii Regionów Wiktora Janukowicza czy infiltrowanych przez Rosję. Tam były zasoby, środki i możliwości, by walczyć o niezależność w bardziej uzbrojony sposób. W Białorusi takich zasobów nie było.

Czyli pacyfizm jest ideą kontekstualną?

– Czym innym jest pacyfizm leżący w interesie własnej wspólnoty narodowej czy grupy społecznej, a czym innym jest pacyfizm czymś kosztem, jak na przykład pacyfizm niektórych Polaków czy Niemców wobec wojny w Ukrainie.

Czym innym jest pacyfizm w demokratycznym państwie, a czym innym w państwie autorytarnym. Idea, że należy całkowicie wyrzec się przemocy niezależnie od kontekstu, jest naiwnością, co nie zmienia mojego przekonania, że pacyfizm jako idea etyczna nie może być, a tak naprawdę nie jest nigdy odróżnialny od pacyfizmu pragmatycznego.

Wydaje się, że wojny są z natury rzeczy złem, a zatem czy i tu oceniałbyś je relatywnie?

– Michael Walzer, amerykański filozof, uwspółcześnił teorię wojen sprawiedliwych dozwolonych z etycznego czy moralnego punktu widzenia. Według jego koncepcji wojna może być uznana za sprawiedliwą, jeśli jest odpowiedzią na naruszenie suwerenności państwa, obronę innego, zaatakowanego państwa oraz jeśli jest interwencją humanitarną mającą chronić ludność cywilną przed ludobójstwem.

Skuteczne działanie polityczne wymaga podjęcia trudnych decyzji, które mogą prowadzić do moralnych kompromisów. Jeśli polityk złapał jednego z napastników, który wie, gdzie ukrył bombę w szkole pełnej dzieci, a jedynym sposobem, żeby tę informację od niego wydobyć, jest użycie jakiejś formy przemocy, to według Walzera polityk ów powinien jej użyć, chociaż jednocześnie powinien ponieść za to karę. Jest to jakiś sposób pogodzenia jakiejś formy liberalizmu politycznego, który się wyrzeka przemocy, z koniecznością, przed którą polityk staje.

I to jest oczywiście granica myślenia o pacyfizmie czy granica myślenia o ograniczeniu przemocy.

W potocznej świadomości pacyfizm jest jej całkowitym wyrzeczeniem się.

– To sekciarskie myślenie. W sektach obowiązuje sztywny kanon zasad, który jednak nie jest przedyskutowany z realiami. Jest nieelastyczny, oderwany od rzeczywistości. Taki pacyfizm wydawał mi się już nie tylko niepraktyczny, bo to jest mało powiedziane, ale niebezpieczny, bo obracał się przeciwko swojej idei, bo de facto służy agresorowi.

Kiedy zorganizowałeś zbiórkę na bayraktara, spotkałeś się z zarzutami, że kupując dla Ukrainy drona, przedłużasz wojnę.

– I wspieram przemoc i zabijanie ludzi, a zaraz z Agnieszką Holland będziemy handlować ludźmi czy jakieś tego typu bzdury. Były to argumenty nieliczące z realiami, bo jedyną formą zakończenia wojny w Ukrainie jest zastopowanie rosyjskiej armii.

Znam Rosję, studiowałem Rosję przez 15 lat i wiem, że granice Rosji kończą się tam, gdzie Rosja zostanie zatrzymana. Co zresztą wprost mówi sam Putin. I jakiegokolwiek wahanie, już nie mówiąc o wyreczeniu się jakiegokolwiek formy przemocy, czyli obrony de facto zbrojnej, jest zaproszeniem armii ro-



Sławomir Sierakowski

• – urodzony w 1979 roku, współzałożyciel Krytyki Politycznej. Prezes Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego. Socjolog, publicysta, krytyk literacki i teatralny. Był stypendystą German Marshall Fund, wiedeńskiego Instytutu Nauk o Człowieku, uniwersytetów Yale, Princeton i Harvarda oraz Robert Bosch Academy w Berlinie. Jest członkiem zespołu „Polityki”, stałym felietonistą „Project Syndicate” i autorem w „New York Timesie”, „Foreign Policy” i „Die Zeit”.

syjskiej, za którą stoi systemowa przemoc, tortury, gwałty, zabijanie ludzi. Tak pojmowany pacyfizm jest kontrproduktywny, bo jest pomaganiem agresorowi.

Nie miałeś żadnych dylematów?

– Jeśli jedno państwo wykorzystuje broń do uderzenia w cele cywilne, a drugie państwo w cele wojskowe, to jakie dylematy może wywoływać zbiórka na dron, który służy precyzyjnym atakom na cele wojskowe, gwarantując równocześnie bezpieczeństwo obsługującym go żołnierzom? Nie zbierałbym pieniędzy na broń kasetową, bo ona jest zagrożeniem dla cywili.

Przypomnę, że zbiórka skończyła się happy endem, który mógłby być nauczką dla ortodoksyjnych pacyfistów, których przyznaję, było bardzo niewiele, bo pieniądze, które zebraliśmy, zostały przekazane na cele charytatywne i pomoc obywatelom. Firma produkująca bayraktary przekazała drona Ukrainie za darmo.

Czy ta zbiórka pozwoliła ci rozpoznać w praktyce, w jaki sposób ludzie postrzegają dziś pacyfizm? Kiedy wpłaciłam, byłam zdziwiona, że to robiłam, i dopiero po fakcie zaczęłam się zastanawiać dlaczego.

– Wielu ludzi było zdziwionych, że wpłaca na tę zbiórkę. Nigdy tego nie mówiłem, ale problem z poparciem tej akcji mieli tylko raperzy grający twardziele w teledyskach, a jak przyszło, co do czego, to okazało się, że jeden ma kontrakt z McDonald’s, a drugi ma problemy moralne. Ten drugi akurat jest OK, bo przyszedł i powiedział: „Sorry, stary, miałeś rację”. Poparły ją wszystkie możliwe grupy społeczne. Od kiboli po profesurę nowojorską. Poparli ją nawet Rosjanie i obywatele, którzy wstydziili się, że ich kraje nie angażują się należycie w pomoc Ukrainie.

Pieniądże zbierali również Białorusini, co było też dla nich sprawą honorową albo wizerunkową. Uzbierali najwięcej. Niektórzy Polacy patrzyli na Białorusinów przez pryzmat Łukaszenki i bomb lecących na Ukrainę z Białorusi, zapominając, że społeczeństwo białoruskie nie miało okazji się wypowiedzieć, czy tego chce, czy nie. Za to zdążyło się wcześniej wypowiedzieć, że nie chce Łukaszenki.

Skoro twoja gotowość do poświęcenia życia za kraj czy środowisko społeczne wywodziła się z polityki historycznej PRL-u, to dlaczego po ośmiu latach rządów PiS i nawrocie do martyrologii, afirmacji Boga, Honoru i Ojczyzny wyniki badań pokazują, że ludzie nie chcą za nią ginąć.

– Te statystyki nie dotyczą tylko Polski. W Holandii czy w Belgii zaledwie 20 procent badanych byłoby gotowych oddać życie za swój kraj. Takie dane promujące postawy pacyfistyczne mogą być zaproszeniem dla agresora. Ogromna przewaga ukraińskiej armii i społeczeństwa nad armią rosyjską i rosyjskim państwem bierze się stąd, że ludzie garnęli się do obrony swego kraju. Tam wskaźniki tego samego sondażu, podobnie jak w Skandynawii, przekraczają 50 procent.

W Rosji bardzo trudno było zorganizować mobilizację. Wyciągano ludzi z więzień i proponowano gigantyczne uposażenie, co jest podejściem dość instrumentalnym i transakcyjnym, niespecjalnie patriotycznym. Za patriotyzm trzeba w Rosji płacić grubymi pieniędzmi. Na drugim biegunie jest społeczeństwo, które się zorganizowało do obrony, produkuje drony i myśli bardzo kreatywnie o tym, jak wyeliminować rosyjskie fabryki broni czy bombowce strategiczne.

Rosyjski zaciąg jest reakcją transakcyjną, co ma wpływ na skuteczność tej armii. W sondażu 42,8 procentu Polaków jest w stanie poświęcić dla obrony państwa środki finansowe. Czy uważasz, że to jest również transakcyjne podejście? Płace na broń i dajcie mi spokój.

– Zorganizowana obrona to nie jest pospolite ruszenie, a więc trwa i kosztuje. Decyzja o wstąpieniu do armii zawodowej dalej jednak może być motywowana samym patriotyzmem. Obie motywacje są sensowne, a jeśli się nie kłócą, to tym lepiej.

Michał Dworczyk w rozmowie z Dominiką Wielowieyską za niechęć do obrony kraju wini ideologię lansowaną przez środowiska liberalno-lewicowe i promującą skrajny indywidualizm. Ona jego zdaniem rozbija kraje Zachodu nie tylko sprzętowo, ale także duchowo.

– Na pewno im społeczeństwa bardziej zatomizowane, tym mniejsza motywacja do obrony wspólnoty politycznej czy społecznej. Najlepszym przykładem jest Rosja, nie ma chyba bardziej zatomizowanego społeczeństwa. Długość plotów zbudowanych w Rosji jest wielokrotnie dłuższa niż granice Rosji. Nie ma

nawet zorganizowanych manifestacji Rosjan przeciwko Putinowi za granicami Rosji, gdzie za to nie wsadzają ani nie biją.

Niemiecka idea Wandel durch Handel wynikająca raczej z ordoliberalizmu, a więc nie żadnego skrajnego indywidualizmu, okazała się ideą w gruncie rzeczy fałszywą – świadomie fałszywą, co dziennikarze niemieccy udokumentowali, pisząc o Angeli Merkel. Doprowadziła do uzależnienia Europy od rosyjskiego gazu i napchania kasy Putinowi. Ta idea – deklaratywnie pacyfistyczna – bardziej przyczyniła się do wojny w Ukrainie, niż jej zapobiegła w jakikolwiek sposób. Wiesz, ilu ludzi by jeszcze zginęło, kobiet zostało zgwałconych i dzieci porwanych, gdyby świat zaprzestał pomocy Ukrainie?

Bardzo się cieszę, że zarówno Lewica, jak i Razem nie mają żadnych wątpliwości w sprawie konieczności pomocy Ukrainie, w odróżnieniu od Die Linke w Niemczech. Żenadę w tej sprawie w Polsce odstawia prawica Mentzena i Brauna, a nie Lewica.

Rozbrojenie się Europy może i miało sens, kiedy Rosja była słaba i wydawało się, że jest szansa na jej liberalizację albo deimperializację; bo o demokracji to możemy za mojego życia raczej zapomnieć. Dziś Europa musi się szybko zbroić i nie polegać już na Ameryce Trumpa. Dotąd wciąż wątpiła w swoją podmiotowość, nawet jeśli generałowie amerykańscy zapewniają, że Europa ma naprawdę wystarczające zasoby, żeby obronić Ukrainę i siebie przed Rosją. Nawet niemieccy Zieloni są świadomi konieczności zbrojenia i dzielą pacyfizm przez realia geopolityczne.

Nie mam problemu z wprowadzeniem dobrowolnych zajęć na strzelnicy. Szczepan Twardoch, który też z powodzeniem zbiera na broń dla Ukrainy, doskonale zna się na broni, i nie widzę w nim jakiegś ekscytacji militaryzmem, tylko odpowiedzialny realizm

Prawicowe partie nie chcą się godzić na finansowanie wspólnej armii europejskiej, bo będzie się to działo kosztem rozbijania armii narodowych. – Gdybym nie wiedział, jak prawica Kaczyńskiego próbuje dezintegrować Unię Europejską, to może bym uwierzył, że jej pomysły krytyczne wobec zaangażowania Polski w budowę wspólnej obrony unijnej nie są antyeuropejskie, tylko zwyczajnie proamerykańskie.

Wydatki wspólne, czyli łącznie z Hiszpanami, Francuzami, Włochami, obniżają przede wszystkim ryzyko dla państw frontowych, którym jesteśmy my. Głupotą polityczną i ekonomiczną jest niedostrzeganie tego. Potępienie polityków, którzy prą do budowy w Europie wspólnej tarczy obronnej nieba, takiej jak izraelska żelazna kopuła, jest antypatriotyczne.

Zasadniczo w Polsce jest tak, że im częściej ktoś nazywa siebie czy swoje środowisko patriotycznym, tym częściej okazuje się, że żadnym patriotą nie jest. Antoni Macierewicz rozbijający polską armię i wyrzucający najlepszych żołnierzy to najbardziej emblematyczny przykład.

Ci, którzy byli najbardziej oczywistymi bohaterami walki o wolność, jak Adam Michnik, Jacek Kuroń czy Karol Modzelewski, nigdy nie mówili o swoim patriotyzmie, a zarazem fakty przemawiały za tym, że byli właściwie krystalicznie czystymi patriotami. A po drugiej stronie byli ludzie typu Adam Słomka czy Antoni Macierewicz, którzy nie umieli skonstruować zdania bez słowa „patriotyzm”.

Michail Sałtykow-Szczedrin, rosyjski satyryk, pisał, że jak opowiadają o honorze, o ojczyźnie i o Bogu, to znaczy, że już kradną.

Jak się ma patriotyzm do pacyfizmu.

– Niestety, w dużej mierze słowo „patriotyzm” podobnie jak Święto Niepodległości zostało oddane prawicy. Trochę z pokory wobec wielkich słów, którą ma każdy z odrobiną oleju w głowie i honoru, a trochę z niechęci do użerania się z nimi.

Pisaliście o tym z Przemysławem Sadurą w „Społeczeństwie populistów”, przestrzegając przed quasi-pacyfizmem społecznym.

Wojsko po polsku

Dobrowolna Zasadnicza Służba Wojskowa w podziale na płeć i wiek

Wydane decyzje administracyjne do DZSW na szkolenie podstawowe oraz specjalistyczne.

Dane w proc.

mężczyźni
kobiety

18–30 lat
31+ lat

ponad 44 tys. wydanych decyzji

ŹRÓDŁO: CENTRALNE WOJSKOWE CENTRUM REKRUTACJI

Na co wydać pieniądze

Dane w proc.

Zdecydowanie tak
Raczej tak
Niezdeterminowani
Raczej nie
Zdecydowanie nie

Powinno się przeprowadzać w sektorze cywilnym inwestycje zapewniające większą odporność w czasie konfliktu zbrojnego i sytuacji kryzysowych (np. budowa schronów, gromadzenie zapasów żywności i kluczowych materiałów), nawet jeśli może to doprowadzić do podniesienia cen określonych towarów i usług

41,6 31,9 13,7 6,2 6,6

Powinno się przeznaczać większe środki na wojsko i obronność, nawet kosztem innych ważnych obszarów, takich jak programy społeczne czy opieka medyczna

22,1 28,5 7,6 25,2 16,6

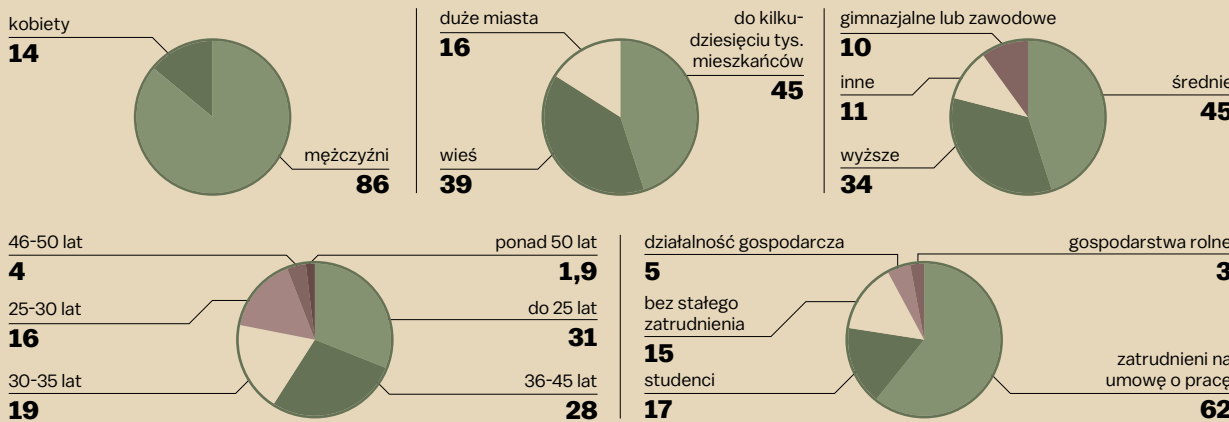
Badanie przeprowadzono 22 kwietnia 2025 roku na próbie 1068 dorosłych Polaków metodą CATI. Badanie porównawcze przeprowadzono w dniach 19–20 maja 2024 r. na reprezentatywnej grupie 1000 dorosłych Polaków, metodą CATI

ŹRÓDŁO: IBRIS DLA PAP

Wojska Obrony Terytorialnej

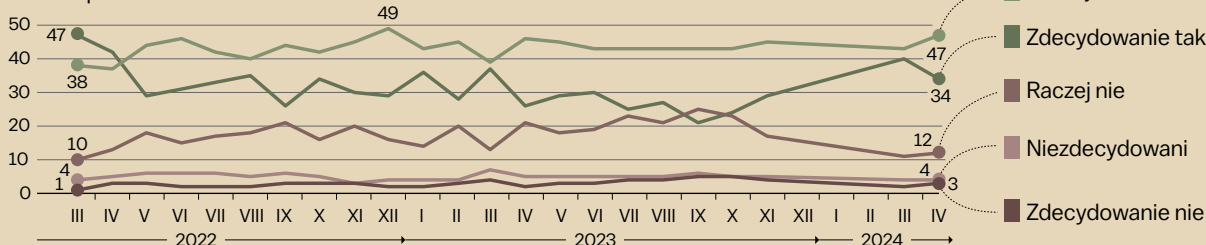
W podziale na płeć, wiek, zatrudnienie, wykształcenie i miejsce zamieszkania. Dane w proc.

ŹRÓDŁO: WOJSKO POLSKIE



Czy wojna w Ukrainie zagraża bezpieczeństwu Polski?

Dane w proc.



INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

ŹRÓDŁO: CBOS „O WOJNIE W UKRAINIE I EWENTUALNYM ROZSZERZENIU KONFLIKTU”

– Tak. Bo przyjdziemy grać w szachy, a się okaże, że jesteśmy na ustawce z kibolami, dlatego po prostu musimy się bronić. A broniąc się, trzeba używać metod również populistycznych, jeśli to jedyny sposób na to, by zwalczyć prawdziwych populistów. Gdyby na przykład przez półtora roku rząd wykreował choć jeden spektakularny przykład tego, co dał ludziom, jak zrobił to Kaczyński z 500 plus, nawet kosztem powiększenia deficytu, to może nie przegralibyśmy tych wyborów prezydenckich. Koszty powrotu Kaczyńskiego do władzy, w dodatku pod rękę z Mentzenem i Braunem i tak będą większe niż 1500 plus.

Nie wydaje ci się, że wprowadzenie do szkół średnich nauki strzelania jest ryzykowne? Może spowodować wzrost przemocy.

– Forma przysposobienia obronnego w sytuacji, w której świat pogrąża się w coraz większym ryzyku wojen, nie wydaje mi się pomysłem ani nieracjonalnym, ani nieetycznym. Powiedzmy, że upada Ukraina, powiedzmy, że Rosja przejmuje jej potencjał militarny, a w Stanach Zjednoczonych jest prezydent, który niekoniecznie będzie chciał umierać za Polskę, to takie samoszkolenie się narodu do aktywnej obrony nie jest przesadą.

Nie mam problemu z wprowadzeniem dobrowolnych zajęć na strzelniczy. Szczepan Twardoch, który też z powodzeniem zbiera na broń dla Ukrainy, doskonale sam zna się na broni, i nie widzę w nim jakiejś ekscytacji militaryzmem, tylko odpowiedzialny realizm.

Rodzice mogą nie chcieć, żeby ich dzieci były mięsem armatnim.

– To niech wspierają polską armię i walczącą ze wspólnym przeciwnikiem Ukrainę. W normalnych czasach też pewnie bym nie chciał, żeby dzieci miały kontakt z bronią. Ale jeśli będą umiały jej używać, to nie będą mięsem armatnim.

Mam niekiedy wrażenie, jakbym rozmawiała z prawniczym publicystą, a nie z jednym z intelektualnych liderów polskiej lewicy.

– Nie wiem, z jakiego powodu. Powtórzę: pacyfizm, który nie bierze pod uwagę pragmatyzmu, jest sekciarski. Z pojęciowego punktu widzenia przeciwieństwem pacyfizmu jest nie tyle akceptacja przemocy w obronie koniecznej, także państwa, ile terroryzm.

A więc ta piękna idea to iluzja, stara baśń.

– Sporo idei w historii filozofii okazało się interesującymi intelektualnie, ale politycznie absurdalnymi. Więcej ludzi zginęło z powodu optymizmu niż pesymizmu.

Romain Rolland dobrze gdzieś napisał, że potrzebujemy pesymizmu intelektu i optymizmu woli. Co więcej, są idee, które na pierwszy rzut oka są w oczywisty sposób złe, jak terroryzm; patrząc czysto definicyjnie na to, jakie metody stosował Pilsudski, to trzeba przyznać, że były terrorystyczne.

W więc wszystko zależy od kontekstu. Dyskusja niebiorąca go pod uwagę nie ma sensu. Pacyfizm abstrakcyjny jest dziecienną chorobą lewicowości. ●



● **Artykuły powstały w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.

● Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza” (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellingcat.
● Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Pożegnanie z pacyfizmem

Wojna w Ukrainie, mimo że nie jestem jej uczestnikiem, zmieniła mnie na zawsze. Bo przede wszystkim zadałem sobie pytanie: „A co, jeśli...?”.

Michał Olszewski

Wydawało mi się, że tak już będzie zawsze. Tak albo nawet lepiej, bo przecież strzałka procesu miała wyraźny kierunek. Że mimo trudności na horyzoncie (kaprysy prądu strumieniowego, susze na przemian z powodziami) sprawy będą zmierzać we właściwą stronę. Że spłata kredytów będzie przebiegać sprawnie, że stać mnie będzie na wakacje i odrobinę komfortu. Że doczekam starości w dobrym zdrowiu. Że z kranu będzie lecieć ciepła woda, a gazu i prądu mimo tradycyjnych utyskiwań ekspertów nie zabraknie.

Przynajmniej tak miało być w naszej części świata, gdzie ludzie chcą zarabiać i wydawać w spokoju, cieszyć się życiem. Daliśmy się usnąć, przecież nie tylko ja, i nie ma w tym niczyjej winy. Bo chmury na horyzoncie szybko przeganiał wiatr. Kasandry słuchałem z szacunkiem, ale także z roztargnieniem, w myślach planując kolejną wycieczkę tanimi liniami w miejsce, gdzie jeszcze mnie nie było.

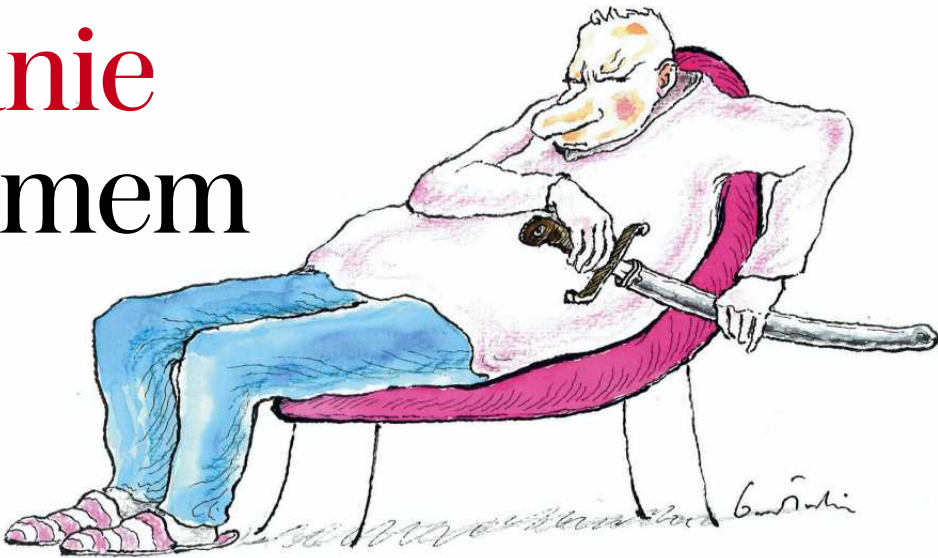
● Tymczasem sprawy wymknęły się spod kontroli i świat stracił na oczywistości. Jeden wyjazd do Ukrainy sprawia, że pewniki znikają. To, że jeżdżą autobusy, z kranu leci woda, działają restauracje, a szpitale nie są pod ostrzałem rakietowym, wcale nie jest takie oczywiste. Bloki stoją, a potem ich nie ma. Sąsiad wychodzi z domu do pracy i już nie wraca. Dźwięk motocykla w nocy może być dźwiękiem nadlatującego shaheda.

Chodzę po Krakowie i wydaje mi się, że cały ten polski spokój to czar, który może prysnąć wraz z wyciem syren przeciwlotniczych. W oczach mam nabity po brzegi uchodźcami dworzec we Lwowie, zrujnowaną nalotami Konstantynówkę, wyniszczonych rokiem bez rotacji żołnierzy pod Siewierskiem, lasy sztandarów nad świeżymi mogiłami, aleje pamięci w każdym mieście, jakie odwiedziłem.

Nie czuję do wojska żadnego sentymentu. Kojarzy mi się z brudem, zmęczeniem i hierarchią, której nie znoszę. Munduru nie lubię. W wojnie nie widzę nic romantycznego, nie ma też we mnie potrzeby przeżycia męskiej przygody. Poziom spustoszenia psychicznego, jakie widzę w domach ukraińskich przyjaciół, budzi we mnie przerażenie.

Ale wojna w Ukrainie zmieniła mnie bez reszty nie tylko dlatego, że straciłem poczucie stabilności. Jest coś znacznie ważniejszego: upewniłem się, że chciałbym bronić swojego kraju. Kraju, z którym mam wiele osobistych porachunków.

● To jedna z licznych dyskusji, jakie w Polsce nie miały miejsca. Po 2022 roku nie doczekaliśmy się poważnej rozmowy o doktrynie obronnej i powinnościach obywateli wobec ojczyzny. Jeśli już pojawiały się jakieś jej załączki, pływały w rodzinnym sosie czy raczej rodzimej brei. Nie oddamy przecież ani guzika od mun-



dur, ani piędzi polskiej ziemi, a tu, proszę, zdradziecki rząd Tuska już w 2011 roku zdecydował, że oprze linię obrony na Wiśle, zostawiając Suwałki, Białystok i Lublin na pastwę barbarzyńców.

Być może rozmowę o tym, jak powinniśmy zachować się w razie wybuchu wojny, uznajemy za bezcelową – należymy w końcu do potężnego sojuszu obronnego, mamy aliantów, artykuł 5, zawodową armię i wspaniałą tradycję wojskową, którą szanuje świat. Wiadomo, że polski lotnik poleciał nawet na drzwiach od stodoły, choć mało kto pyta, jak daleko i jak się na takich drzwiach ląduje.

Tymczasem sprawy wcale nie są oczywiste. Z badań sondażowych wykonywanych przez IBRiS dla „Rzeczpospolitej” wynika, że ponad 52 proc. respondentów nie chce brać udziału w powszechnych szkoleniach wojskowych. Z sondażu wiosennego wynikało, że 45 proc. Polaków w wieku 18-29 lat jest przeciwnych przywróceniu obowiązkowej służby wojskowej. A jest to na pewno w jakiejś części pokolenie młodzieży tożsamościowej, od początku lat 90. wychowywane na polskiej mitologii, na półprawdziwych, ale za to wzruszających opowieściach o „żołnierzach wyklętych”, powstaniu warszawskim, niepokonanej husarii. To jest świat kotwicy powstańczej na łydce, piersi, plecach, świat kultu przemocy, stadionu.

Jednocześnie okazuje się, że jest to grupa zaskakująco chłodno i rozważnie kalkulująca rachunek zysków i strat. I najwyraźniej, wbrew uporczywej pracy specjalistów od wychowania narodowo-katolickiego, ojczyzna nie jest czymś, za co, przynajmniej deklaratywnie, chcieliby oddać życie. A może uważają, że nikt nie ma prawa narzucać im decyzji, na przykład kierując na obowiązkowe ćwiczenia wojskowe?

Niechęć do otwartej rozmowy o doktrynie i naszym stosunku do obrony kraju wydaje mi się tyle szkodliwa, co zrozumiała – stawką jest życie nasze, naszych dzieci, naszych żon, mężów. Aleje poległych i wypełnione po brzegi cmentarze w Drohobyczu, Mostyskach, Sumach, Charkowie, Odessie pokazują, jak potwornie wysoka jest cena obrony ojczyzny.

Jeśli jednak uznajemy, że Polska jest wartością, to oczywiste wydaje się pytanie, ile jesteśmy gotowi poświęcić. Większe niż dotychczas zmilitaryzowanie kraju oznacza wiele kosztów: węższe granice wolności osobistej, większy wpływ armii na życie społeczne, bolesne przesunięcia budżetowe, konieczną moim zdaniem decyzję o obowiązkowym szkoleniu wojskowym. Również o granicach wieku poborowego w przypadku wojny. Zelenski jej nie podjął, uznając, że byłaby zbyt kosztowna politycznie, czego bolesne konsekwencje Ukraina odczuwa na froncie. Ukrainie brakuje ludzi, którzy byliby gotowi zginąć za ojczyznę.

● Przy założeniu (niepewnym), że chcemy w jakiś sposób przygotować się do obrony kraju, nie ma jednak innego wyj-

ścia. Jeśli wybieramy rzeczywistą transformację zamiast papierowej, jeśli chcemy mieć armię zamiast trochę armii i jeśli decydujemy, że społeczeństwo powinno być do potencjalnej wojny lepiej przygotowane niż obecnie, to zmiany są konieczne.

Kluczowe wydaje mi się rozpoznanie George’a Orwell’a, który jesienią 1940 roku w tekście o zmiennym tytule „Czy rządzi lewica, czy prawica – to wciąż mój kraj” napisał: „Możemy albo walczyć z Hitlerem, albo mu się poddać – żadnej realnej trzeciej drogi nie ma, a z socjalistycznego punktu widzenia uważam, że lepiej będzie, jeśli podejmiemy walkę”.

Tak. Nie da się mieć kraju i jednocześnie kraju nie bronić. Albo uznajemy, że kawałek Europy pomiędzy Odrą a Bugiem ma wartość i trzeba zaryzykować walkę o jego niepodległość (dalszy scenariusz jest oczywisty), albo też uznajemy prymat życia nad śmiercią i wywieszamy białą flagę, unikając w ten sposób losu Ukrainy (tu dalszy scenariusz również wydaje się dosyć dobrze opanowany).

● Jeszcze raz Orwell: „Nie jestem pewien, kiedy zrozumiałem, że nadejście obecnej wojny jest nieuniknione. Oczywiście po 1936 jedynie skończeni kretyni się tego nie spodziewali. Przez kilka lat drżałem na samą myśl o wojnie; zdarzało mi się nawet układać antywojenne mowy i pamflety. W noc przed zawarciem paktu rosyjsko-niemieckiego śniłem o wybuchu wojny, ale nie był to koszmar. Był to jeden z tych snów, które, nie zagłębiając się w ich freudowskie znaczenie, odkrywają przed nami nasze prawdziwe uczucia. Pomógł mi on zrozumieć dwie rzeczy: po pierwsze, że po tym nieznośnym długim okresie lękliwego oczekiwanianadejście wojny przyniesie mi ulgę, a po drugie, że w duchu jestem patriotą, więc nie wystąpię przeciwko swojej stronie ani nie będę sabotować jej działań i opowiem się za wojną, a nawet sam wezmę udział w walkach, o ile będzie to możliwe”.

Wojna w Ukrainie, mimo że nie jestem jej uczestnikiem, zmieniła mnie na zawsze. Nie tylko dlatego, że potrafię jeździć vanem, że poznałem bohaterów i uchylantów, że dotykałem bezmiarów tragedii rodzinnych, a podczas szkoleń wojskowych nauczyłem się zakładać stazę i obsługiwać karabinek Grot.

Przed wszystkim zadałem sobie pytanie: „A co, jeśli...?”. I udzieliłem na to pytanie odpowiedzi, która rzecz jasna nie jest w najmniejszym stopniu wiążąca – rozziw między deklaracjami a rzeczywistymi działaniami bywa głęboki – ale jakaś jest.

Orwell, który serdecznie nie znosił Churchilla, przyznawał, że polityk zrozumiał jedno: wojny nie da się wygrać bez walki.

Ta odpowiedź brzmi jasno: jeśli zrealizuje się najczarniejszy scenariusz, chciałbym się w tę walkę zaangażować. ●

Falszerstwo? Spisek? Pomyłki? Jak rozmawiać o wyborach

Nie bądźmy jak PiS. Nie budujmy sekty

L: Jak ufać państwu, gdy obie strony sporu poddają w wątpliwość prawidłowość przegranych przez siebie wyborów?

Paweł Marcinkiewicz

Ucho od śledzia – powiedziałby Gustaw Kramer, gdyby premier Tusk oświadczył mu, że winę za przegraną Trzaskowskiego będzie można przykleić do spisku PiS. Bo wydałoby się mu to równie niemożliwe, jak okradzenie jego banku strzeżonego przecież przez najlepsze szwajcarskie zabezpieczenia. A jednak klęska okazała się okazją nie do uderzenia się w pierś, ale głównie do uderzenia w przeciwników.

Kultowy film „Vabank”, ten z Kramerem, pokazał mi tata, gdy miałem kilka lat. Najpierw mówił, że to zbyt brutalne, ale w końcu któryś z cowlkanocnych rewatchów na Polsacie dał mi szansę zakochać się w Henryku Kwinto, kasiarzu z trąbką.

Gdy film się kończył, pilot na stoliku wiedział już, że zaraz ktoś wciśnie na nim przycisk z cyfrą „pięć”. A na ekran wróci TVN 24 i Tusk, już jako premier w swoim pierwszym gabinecie. A później w kolejnym i kolejnym. Z drobną przerwą na osiem lat rządów PiS, które siłą rzeczy pamiętam najlepiej. Niemniej popisowska połajanka to coś, co mnie i moje pokolenie zżerało przez lata wchodzenia w dorosłość.

I z tym większym zniesmaczeniem obserwuję fikolki, na które decyduje się część liberalnego mainstreamu w sprawie nieprawidłowości przy liczeniu głosów w wyborach prezydenckich.

Roman Giertych wydaje się nie spać, omijać śniadanie, obiad, a na podwieczorek przegryzać jedynie kilka smacznych tweetów, by co kilkanaście minut karmić odbiorców teoriami, które śmiało można już nazwać spiskowymi. „Moim zdaniem w I turze też fałszowali. Tylko tym razem na szkodę Mentzena, aby przypadkiem nie dostał się do drugiej tury” – stwierdził w serwisie X. A Tomasz Lis „z szacunku dla bohaterów Powstania Warszawskiego” chce do końca lipca poznać nazwisko prawdziwego prezydenta.

Tworzymy alternatywną rzeczywistość, political ficton, w którym stawiamy warunek, że jeśli – hiperbolizując – połowa z nieprzeliczonych ponownie komisji też pomyliła koperaty, a przewodniczący w ćwierci z nich kichnęli na kratki z nazwiskiem Trzaskowskiego, to prezydent Warszawy wygrałby w cuglach. No bez przesady.

Sami śmialiśmy się, gdy PiS przerzucał odpowiedzialność na ówczesną opozycję za swoje niepowodzenia, np. na arenie międzynarodowej, którą zdominować mieli opozycjoni donosiciele na ojczyznę. Albo gdy Jarosław Kaczyński widział w płomieniach nad ciałem brata ducha Tuska nierzeczy Stannisa Baratheona z „Gry o tron”. Teraz przyjmujemy z dobrodziejstwem inwentarza podobną retorykę, pielęgnując zamroczenie najtwardszego antypisowskiego elektoratu. Który będzie jeszcze wierniejszy, gdy zwiąże się go teorią spiskową.

Popisowska połajanka to coś, co mnie i moje pokolenie zżerało przez lata wchodzenia w dorosłość

I tak, należy dokładnie wyjaśnić wszelkie zgłoszone anomalie w statystyce wyborczej, ale pchanie tezy o sfalszowaniu majowych wyborów to droga donikąd. I droga niebezpieczna. Bo podważanie instytucji wyborów w demokracjach to pierwszy krok do jej osłabienia. Jak ufać państwu, gdy obie strony sporu poddają w wątpliwość prawidłowość przegranych przez siebie wyborów? Takie państwo zniechęca każdego, kto z polityką dopiero się oswaja. A PiS i Konfederacja skrzętnie wykorzystają podważone zaufanie do instytucji państwa, bo przecież na tym budują swój kapitał. I zrobią w swoim czasie aferę fałszerską do kwadratu, popychając nas ku totalnej anarchizacji życia politycznego. Amerykańskie skojarzenia z 2021 rokiem i szturmem zwolenników Donalda Trumpa na Kapitol wcale nie są chybione.

Jeśli z wygranej Nawrockiego można wyciągnąć jakiś wniosek, to nie taki, by dalej głaskać się po głowach, poklepywać po ramionach i usprawiedliwiać przegraną wewnątrz ciepłej, bezpiecznej liberalnej bańki. Zrzucić ją na tych złych pisowców, samemu sobie przypinając order moralnego zwycięzcy. Dawać sobie fałszywy spokój, że to nie błędy w kampanii Trzaskowskiego i w dwuletniej polityce rządu, a bliżej niezidentyfikowane fałszerstwo otworzyło Kaczyńskiemu autostradę do przejęcia władzy w 2027 r.

To wygodne, to miłe, to jakoś koi rany. Ale jeśli nie zmienimy podejścia, to te rany będą się rozdrapywać co wybory, a proces ich gojenia nigdy się nie skończy. ●

Nie jesteśmy jak PiS. Dlatego chcemy przeliczyć głosy

Teorie spiskowe osłabia ten, kto walczy o weryfikację faktów

Agnieszka Kublik

Ządania przeliczenia wszystkich głosów z II tury to nie budowanie teorii spiskowej, że były sfalszowane, lecz obalanie teorii o spisku.

Bo jeśli po przeliczeniu wszystkich głosów Karol Nawrocki wygra, to znaczy, że fałszerstwa nie było, a tropiciele spisków porzucą swoje wizje. Jeśli zaś przegra, to znaczy, że były błędy bądź fałszerstwa. I to będzie fakt, a nie hipoteza spiskowa.

Paweł Marcinkiewicz napisał, że dziś „część liberalnego mainstreamu przerzuca odpowiedzialność za własne porażki na spisek przeciwników”. Tak jak kiedyś PiS.

Nieprawda. PiS o fałszerstwach i oszustwach wyborczych odbierających mu zwycięstwo mówił wiele razy, choć dowodów na to nie było. W 2014 r. po wyborach samorządowych Jarosław Kaczyński rozpętał awanturę na całą Polskę. – Sfalszowaliście te wybory! Jeśli wybory są fałszowane, to wtedy nie ma już obywateli! – oskarżał. Wyprowadził ludzi na ulice.

To były kolejne wybory przegrane przez PiS od 2007 r. Po tamtej porażce PiS nie był w stanie samodzielnie rządzić nawet w sejmikach, choć akurat w nich odniósł zwycięstwo. I właśnie wyniki z sejmików wzbudziły największe podejrzenia. Bo aż 17,47 proc., czyli 2,5 mln głosów, było nieważnych. Eksperti z Fundacji Batorego zbadali 52 tys. kart do głosowania. Okazało się, że zawiniła tzw. książeczka, zmienił jej formę wyborcy stawiali krzyżyki na każdej stronie, zamiast tylko raz na jednej.

A potem PiS stracił zainteresowanie wymierzonymi weń spiskami. Nie dlatego, że stało się jasne, że nie było fałszerstwa, ale dlatego, że po 2015 r. karta się odwróciła i zaczął wybory wygrywać.

Ale przed tymi wyborami prezydenckimi – włącznie z dniem drugiej tury – PiS i jego media znówu rozpowiadali o fałszowaniu wyborów. Podkreślam: przed. Czyli zanim nastąpiły jakiegokolwiek fakty.

– Wielkie zwycięstwo zatrzyma fałszerstwo – krzyczał przed wyborami Przemysław Czarnek, który odpowiadał w sztabie Nawrockiego za Ruch Ochrony Wyborów. Ochrony przed, a jakże, fałszerstwami. – W państwie demokratycznym i praworządnym to suweren wybiera prezydenta w wyborach powszechnych. Nie powtórzy się ani Jagodno, ani Wilanów, żadne miejsce, do którego ludzie przychodziliby po zakończeniu prac obwodowych komisji wyborczych, korzystaliby kilkukrotnie z tego sa-

mego zaświadczenia o prawie do głosowania w innej komisji wyborczej – gardłował. Teraz jednak stracił zainteresowanie tym, jak „suweren wybierał prezydenta”.

Nawrocki wygrał, ale w kilkudziesięciu przypadkach – o tylu wiadomo – karty wyborcze nie zostały uczciwie policzone. Wiemy o dwóch typach błędów: jeden to przypisywanie głosów Trzaskowskiego Nawrockiemu i odwrotnie (choć rzadziej), drugi – wrzucanie głosów oddanych na Trzaskowskiego do worka z głosami na Nawrockiego. Bez względu na to, w którą stronę te pomyłki zachodziły, należy je zidentyfikować.

A o ilu przypadkach nie wiemy? Nie wiemy. Dlatego przeliczenie wszystkich głosów da odpowiedź: jaki wynik osiągnął Trzaskowski, a jaki Nawrocki. I tylko tak poznamy mechanizm powstania błędów czy – być może – fałszerstw. Dopóki nie będzie wiadomo, jak Polacy naprawdę głosowali, teorie spiskowe będą pączkowały.

Czy dlatego że sztab Trzaskowskiego popełnił wiele błędów, należy uznać, że błędy w komisjach się nie liczą?

Nie dlatego, że ktoś jest „histerkiem”, tylko dlatego, że ci, którzy do tej pory podważali uczciwość wyborów przed głosowaniem, po wyborach podważają konieczność uczciwego przeliczenia głosów. To oni napędzają spiskowe myślenie.

Nie ma symetrii między tym, co czynił PiS przed wyborami, a tym, co się dzieje teraz. PiS z zasady krzyczy, że wybory są sfalszowane, gdy przegrywa. Strona demokratyczna krzyczy, gdy ma dowody na nieuczciwość liczenia głosów.

Marcinkiewicz pisze: „Klęska wyborcza okazała się okazją nie do uderzenia się w pierś, ale głównie do uderzenia w przeciwników”. Owszem, sztab Trzaskowskiego ma wobec wyborców obowiązki przeanalizowania wszystkich swoich błędów. Ale także musi wyborcom pomóc w zdobyciu wiedzy, jak doszło do tylu błędów w komisjach. Stąd protest złożony w Sądzie Najwyższym. Czy dlatego, że sztab Trzaskowskiego popełnił wiele błędów, należy uznać, że błędy w komisjach się nie liczą?

„Tworzymy alternatywną rzeczywistość, political fiction, że jeśli – hiperbolizując – połowa z nieprzeliczonych ponownie komisji też pomyliła koperaty, a przewodniczący w ćwierci z nich kichnęli na kratki z nazwiskiem Trzaskowskie-

go, to prezydent Warszawy wygrałby w cuglach. No bez przesady” – pisze Marcinkiewicz.

Jaką przesadę ma na myśli? Nie wiemy, ile komisji pomyliło koperaty, a ile wyniki. Dr Krzysztof Kontek napisał program, by sprawdzić, w ilu komisjach mogło dojść do anomalii, czyli przypisywania wyniku Trzaskowskiego – Nawrockiemu. Wyszło mu, że w 1482 były co najmniej dwie anomalie, a w ponad 5 tysiącach komisji – cztery.

Dr Kontek trafnie wytypował te komisje, co potwierdziło ponowne przeliczenie tam głosów. A jego kryteria okazały się ostrożne, bo odstępstwa były większe, niż szacował program. Czy to przesada oczekiwać, że w takiej sytuacji powinno zostać sprawdzone liczenie głosów we wszystkich komisjach?

Wśród komisji niewytypowanych przed Kontka, a sprawdzonych przez SN była taka, gdzie jeden głos błędnie policzono. Tak było w Katowicach, w komisji nr 53 – tu Nawrocki dostał jeden głos mniej, niż podała komisja. Żądanie sprawdzenia wszystkich głosów zmierza do wykluczenia takich błędów, a nie „do poszukiwania dowodów na poparcie założonej z góry tezy o zaplanowanym fałszerstwie i znowie przeciwników”.

Kto walczy o weryfikację faktów, osłabia teorie spiskowe na przyszłość. Po 2014 r. książeczek wyborczych już nie było. Teraz dowiedzieliśmy się, że trzeba ulepszyć procedury liczenia głosów, żeby błędy wykryte po ostatnich wyborach, nie mogły się więcej zdarzyć. To fundamentalne dla demokracji.

Marcinkiewicz: „Pchanie tezy o sfalszowaniu wyborów to droga donikąd. I droga niebezpieczna. Bo podważanie instytucji wyborów w demokracjach to pierwszy krok do jej osłabienia”. Nie. Demokrację osłabia niewiedza, jakie są prawdziwe wyniki głosowania.

Problem w tym, że PiS tak spowiewał instytucje państwa, że dziś nie ma takiej, która mogłaby podać prawdziwe wyniki, a wszystkie strony uznają je za wiarygodne.

Marcinkiewicz pisze, że trudno „ufać państwu, gdy obie strony sporu podają w wątpliwość prawidłowość przegranych przez siebie wyborów”? A ja pytam: jak ufać państwu, które nie jest w stanie podać prawdziwych wyników wyborów?

Mój kolega przyznaje, że nie znany prawdziwych wyników wyborów, ale oskarża, że domaganie się poznania prawdziwych wyników to histeria.

Nie pytam, Pawle, na kogo głosowałeś. Pytam, czy jesteś pewien na sto procent, że twój głos został prawidłowo policzony? Że dostał go ten kandydat, którego poparłeś? Jesteś? ●

Bez prawa głosu pozostaje tylko bunt

Równość zapewnia równowagę, którą cenzus narusza. A demokracja, która traci równowagę, upada.



Marcin Matczak

Po każdej porażce liberalnej demokracji – a za taką uchodzą wybory wygrane przez populistę – elity powracają do tego samego utopijno-rozpaczliwego pomysłu: może nie wszyscy powinni głosować? Może warto wprowadzić test z podstaw konstytucji, odróżniania prawdy od fake newsa, ironii od dosłowności? Albo chociaż z ortografii.

A może test IQ jako warunek głosowania? 110 punktów i wyżej: pełnia praw. Od 90 do 109: warunkowe prawo głosu pod nadzorem opiekuna. Poniżej 90 – głos symboliczny, przeliczany na 50 procent głosu racjonalnego? (Czy powinienem po każdym z powyższych zdań napisać „sarkazm”, żeby ktoś nie wyrwał tego z kontekstu?)

„Jestem Romek, IQ 122”

Ograniczyć demokrację, zanim demokracja ograniczy nas? Tę myśl formuluje się ogólniej: „O naszej przyszłości decydować powinni ludzie mądrzy”; „To nie jest elitaryzm, tylko odpowiedzialność”. A potem wjeżdżają dane – że na populistę głosowało więcej wyborców z wykształceniem podstawowym. Może więc trzeba demokrację zmodernizować – wykluczyć głos tych, którzy nie dorastają do jej złożoności?

W powieści „Mania” Lionel Shriver pojawia się pomysł wprowadzenia do konstytucji USA „klauzuli sprawności”. Pełnię praw obywatelskich mają mieć osoby z IQ wyższym niż 115, co eliminuje 84 proc. Amerykanów. Wynik testu IQ umieszcza się nie tylko na świadectwach szkolnych, ale także w rogu karty kredytowej, bo wpływa on na zdolność kredytową. Ludzie na imprezach przedstawiają się: „Jestem Romek, IQ 122”, a Kongres pracuje nad wymogiem tatuowania tych kłuczowych dwóch lub trzech cyfr na przedramieniu każdego obywatela.

Ta dystopia pokazuje, jak mogłoby wyglądać społeczeństwo używające testu IQ jako broni masowego złudzenia – i to w obie strony. Zanim przejdziemy do szczegółów (i spojlerów), powiedzmy sobie, dlaczego taki pomysł jest autentycznie idiotyczny. I przepraszam, że o tym piszę, ale naprawdę dosta-

łem po wyborach kilka e-maili z propozycją „cenzusowych reform”.

Co mierzy test IQ

• **Po pierwsze**, nie ma jak różnicować. Ktoś powie: „testy IQ są naukowe. Wprawdzie trochę uprzedzone kulturowo, zależne od stanu emocjonalnego, bardziej mierzą zdolność rozwiązywania testów niż rozumienie życia, ale to przecież szczegóły”.

No nie. Te testy skupiają się na logice, pamięci i szybkości przetwarzania. Nie mierzą empatii, sumienia, inteligencji emocjonalnej ani praktycznej. Ich wyniki silnie korelują z dostępem do edukacji i statusem materialnym. Krótko mówiąc – mierzą nie tyle potencjał, ile pozycję społeczną. A mimo to wciąż wielu traktuje test IQ jak magiczny termometr. To może lepiej uznajmy, że tylko ludzie powyżej 180 cm wzrostu mogą wybierać prezydenta? Mają przecież lepszą perspektywę.

prowołuje swój własny, zwrotny radykalizm. Agresywny Ruch Intelktualnej Równości domaga się, by uznać wszystkich za tak samo inteligentnych, a wszelkie odstępstwa traktować jak przestępstwa z nienawiści. Przecież, jak głosi hasło Ruchu – „nasze mózgi są takie same”.

Słowo „głupi” zostaje zakazane. Elementów, z których buduje się domy, nie wolno nazywać „pustakami”, a o nożach mówić, że są tępe. „Głupi i głupszy” oraz serial „Sherlock” nie mogą być rozpowszeczniawiane, bo są „intelektualnie opresyjne”. W telewizji paneliści klóć się o porucznika Columbo – czy można kreować na bohatera kogoś, kto udaje mniej bystrego, niż jest naprawdę? A może, gdy mądry udaje głupiego, staje się to poznawczym transfobem?

W świecie „Manii” Barack Obama rezygnuje z ubiegania się o drugą kadencję, bo nie ma

Cenzus intelektualny nie ma nic wspólnego z ratowaniem demokracji. Ma natomiast wiele wspólnego z terapeutyczną potrzebą elity, by poczuć się znowu lepiej niż reszta. To nie lek na całe zło – to placebo na elitarną frustrację

• **Po drugie**, gdy wyklucza się ludzi z udziału w demokracji, niszczy się informacyjne sprzężenie zwrotne: nic nie zmusza elit do słuchania mas. W efekcie elity się zamykają, a brak krytyki powoduje intelektualną ślepotę i samozadowolenie. Nie koryguje się błędów, bo nie ma kto ich wytknąć.

• **Po trzecie**, demokracja z cenzusem przestaje reprezentować, bo polityka służy tylko tym, którzy ją „rozumieją”. Spada poparcie dla programów socjalnych, edukacji, ochrony zdrowia, zyskują pomysły zgodne z interesem klas dominujących. W efekcie system traci legitymację.

• **Po czwarte**, ludzie, których nikt nie słucha, zaczynają wrzeszczeć. Radykalizują się, nie uznają reguł gry – i słusznie. Bez prawa głosu, protestu i współudziału pozostaje im bunt.

„Sherlock” na cenzurowanym

„Mania” pokazuje, że gdy cenzus opiera się na inteligencji, bunt przeciwko niemu gloryfikuje głupotę. A ten, kto odbiera głos w imię wiedzy, napędza gniew niewiedzy – ta staje się symboliczną bronią. Ludzie przestają wierzyć faktom, bo fakty należą do „tamtych”. Na marginesie: choć mówimy o świecie fikcyjnym, taki bunt widać już w świecie realnym.

„Mania” to książka o kulcie ignorancji, o cenzurze, która

na nią szans – jest zbyt inteligencko wygladzony. Mensa zostaje zlikwidowana jako współczesny Ku Klux Klan – stowarzyszenie mentalnych suprematystów.

Demokracja bez równowagi upada

„Apartheid poznawczy” zastępuje „poznawczą sprawiedliwość”. Nie ma „głupoty” – jest „alternatywne przetwarzanie danych”. Nie ma ocen ani testów – bo ich wynik mógłby obrażać. Dom Stevena Hawkinga został zdewastowany, („facet prowokował”), osoby z wysokim IQ są proszone o nieafiszowanie się, by nie wywołać lęku poznawczego u innych. Jak zawsze, wahadło się odbija – zamiast elitarnego cenzusu mamy antyelitarny terror. To groteska, ale jakże prawdziwa.

Cenzus intelektualny nie ma nic wspólnego z ratowaniem demokracji. Ma natomiast wiele wspólnego z terapeutyczną potrzebą elity, by poczuć się znowu lepiej niż reszta. To nie lek na całe zło – to placebo na elitarną frustrację.

Chciałoby się więc zawołać: „Równość, głupcze!”. Ona nie jest przeszkodą, ale zabezpiecza przed katastrofą, bo każe się wzajemnie słuchać ludziom o różnych rodzajach inteligencji. Przez to zapewnia równowagę, którą cenzus narusza. A demokracja, która traci równowagę, upada. ●

Fikcja

Poseł Berkowicz nazywając moją książkę o zaokrąglonych rogach „tomikiem” i cytując jej fragment w swoich mediach społecznościowych chyba jednak nieco infantylizuje swoich fanów.



Michał Rusinek

Jestem głęboko poruszony faktem, że pan Konrad Berkowicz – poseł na Sejm IX i X kadencji z ramienia Konfederacji Wolność i Niepodległość, specjalista od leseferyzmu, antynaturalizmu racjonalistycznego, tychizmu, liberalizmu konserwatywnego, logiki formalnej i nieformalnej, filozofii Bogusława Wolniewicza i publicystyki Janusza Korwina Mikkego, taneczny i raper – wie o moim istnieniu.

Z niejakim zdziwieniem, ale przede wszystkim wzruszeniem odnotowałem, że ze swoich wyżyn dostrzegł on moją twórczość dla najmłodszych. A dostrzegłszy ją – pokazał się przy tym nie tylko jako surowy krytyk literacki, ale i jako dobrze rokujący poeta.

Kilka tygodni temu umieścił bowiem w mediach społecznościowych filmik, w którym zwrócił się do swoich fanów-Konfederatów z pytaniem, czy pamiętają Michała Rusinka. Na wszelki wypadek, gdyby nie pamiętali, bo przecież raczej nie mają powodu pamiętać, uściślił, że chodzi o człowieka, który „poparł kandydata Platformy Obywatelskiej Aleksandra Miszałskiego w wyborach na prezydenta Krakowa”. To prawda.

Potem już jednak z prawdą jest gorzej, gdy poseł Berkowicz sugeruje m.in., że w ramach podziękowania za poparcie prezydent Miszałski, a dokładniej rzecz biorąc – krakowski magistrat „zakupił od pana Rusinka 2500 egzemplarzy jego tomiku poezji. Po cenie wyższej o 30 proc. niż w księgarniach”.

Cóż, nie tylko nie piszę tomików poezji, ale tym bardziej ich nie sprzedaję. Ba, w ogóle niestety nie zajmuję się sprzedawaniem niczego. Krakowski magistrat od 2017 roku – a więc od czasów prezydentury Jacka Majchrowskiego – wręcza rodzicom swoich nowo narodzonych mieszkańców wypawkę, w której oprócz skarpetek, czapeczki, kocyka i grzechotki w kształcie smoka znajduje się albo książka „Smaczki i smoczki krakowskie” Anny Machacz i Aleksandra Głusek, albo „Krakowski rynek dla chłopców i dziewczynek” z wierszykami mojego autorstwa i ilustracjami Iwony Calej.

Moja książka nie może być droższa od sprzedawanej w księgarniach, bo w księgarniach w ogóle nie jest ona dostępna. To znaczy jest dostępna jej inna, zwyczajna edycja. Dla krakowskich niemowlaków wydawca przy-

gotował edycję specjalną, o bezpiecznych, grubych, kartonowych stronach, z zaokrąglonymi rogami. Każdy, kto ma choć minimalną wiedzę o produkcji książek wie, że taka edycja jest z konieczności droższa. Nawet jeśli autor czy autorka książki zgodzą się na symboliczne wynagrodzenie.

Następnie poseł Berkowicz przechodzi do krytyki literackiej. Najpierw wysoce ironicznie nazywa moją twórczość „wybitną” (co przyjmuję z pokorą), po czym cytuję fanom fragment mojego „tomiku”: „I oto księżyc wszedł nad rynkiem./ jak obwarzanek z makiem lub kminkiem./ Śpią już gołębie i śpią pomniki./ I śpią dorożki, chrapią koniki”.

Po pierwsze, jako zbesztany autor muszę nieśmiało zaprotestować: napisałem „wszedł”, a nie „wszedł”, dzięki czemu pierwszy wers ma tyle samo sylab, co wszystkie pozostałe. I będę się upierał, że księżyc wschodzi, a nie wchodzi.

Po drugie, określenie „tomik” sugeruje, że są w nim wiersze dla dorosłych. Tymczasem poseł Berkowicz ani razu nie wspomina o tym, że jest to książka z wierszami dla najmłodszych czytelników. Istotnie, taka strofa w wierszu dla dorosłych byłaby nie na miejscu. Poseł Berkowicz nazywając książkę o zaokrąglonych rogach „tomikiem” i cytując jej fragment w swoich mediach społecznościowych chyba jednak nieco infantylizuje swoich fanów. Wiemy skądinąd, że zwolennicy Konfederacji to przede wszystkim osoby bardzo młode, ale raczej jednak nie aż tak, jak modelowi czytelnicy tych wierszyków. Chyba że poseł Berkowicz wie o ich dojrzałości coś, czego my nie wiemy.

„Nie pozostaje mi nic innego – mówi Berkowicz, któremu już widocznie nic innego nie pozostało – jak dodać coś, za darmo zresztą, od siebie”. Wyjmuje telefon i czyta następujący utwór liryczny: „Choć obwarzanek już mocno czerstwy,/ choć zjełczały jest na nim już kminek./ sprzedaj go miastu z całą pewnością/ przyjaciel Olka – Michał Rusinek”.

I znowu wprowadza Berkowicz swoich zwolenników w błąd sugerując, że kminek może zjełczeć. A przecież jęlczeniu ulegać mogą wyłącznie tłuszcze, kminek wszakże do nich nie należy. Proponowałbym więc zmianę drugiego wersu na: „i choć zwietrzały jest na nim kminek” – także ze względu na wyrównanie akcentów i średniówkę; jestem pewien, że poseł Berkowicz, jako raper, doceni tę drobną, ale istotną zmianę.

Dobrze się stało, że poseł Konfederacji Wolność i Niepodległość pokazał, że umie uprawiać twórczość literacką. Proponowałbym, żeby jeszcze nieco popracował nad warsztatem i zajął się literaturą. Literatura to bowiem domena fikcji, w której – nie obawiając się zarzutów o kłamstwo czy manipulację – można bezkarnie mijać się z prawdą. A tę akurat umiejętność Konrad Berkowicz opanował przecież do perfekcji. ●

Edukacja domowa

NIESPROFILOW



Nawet gitara i judo przeszkadza nauczycielom. Po co normalnej szkole aktywny uczeń

Marek Szpanowski

Był czerwiec, rok 2016, Ada dobrze to pamięta. Szkolny korytarz, wyciągnięta dłoń mamy przyszłej pierwszoklasistki.
– Chciałam poznać się z nauczycielką – w końcu przez kilka lat ważną osobą dla mojego dziecka. Tak, to na pewno była nasza pani. W czerwcu nazwiska wychowawców klas pierwszych są już ogłoszone razem z listami uczniów.

– Tylko wie pani... Nie mamy takiej procedury. Proszę przyjść 1 września.

Chłód, wzruszenie ramion, ręka zostaje w powietrzu. To wszystko, co lokalna podstawówka miała do zaferowania przejętemu rodzicowi.

Dominika właśnie skończyła doktorat z pedagogiki, a uczelnia, otwarta na jej pomysły, patronowała planom otwarcia nowego liceum.

– Siedzę na kolejnej naradzie: rektor, ludzie ze Strefy Ekonomicznej i ja. Słucham ich i rozumiem, że to już plany całkiem innej szkoły – jakiegoś korpolicyum.

U Ady wszystko się zaczęło, gdy jej najstarsze dziecko stanęło na progu podstawówki. I procedura nie przewidziała przywitania się z „panią”.

U Dominiki – gdy o własnych dzieciach jeszcze nie myślała. Za to upomniwała się o spełnienie obietnicy rektora.

Obie odpowiedzi oznaczały to samo – w reakcji na wyciągniętą rękę zobaczyły figę z makiem.

Ada prowadzi dziś dwie szkoły lub – jak wolli – „przestrzenie edukacyjne” w Poznaniu, a Dominika niepubliczne mikroliceum w Katowicach. Każ-

de z tych miejsc to droga do nauki poza systemem dla kilkudziesięciu uczniów. I wciąż są nowi. Niektórzy odchodzą ze szkół państwowych, inni z niepublicznych, ale prowadzonych w tradycyjny, klasowo-lekcyjny sposób.

Zaczęło się kropla po kropli, dziś to już nie strumyczek, ale wielotysięczna, wzbierająca fala.

– Czy to wysoki odpływ? Te 60 tysięcy „spełniających obowiązek nauki w systemie edukacji domowej”? – zadają te pytania ekspertom i rodzicom, znajomym dyrektorom szkół i pedagogom naukowcom.

Dla jednych to naturalny efekt zmian w prawie, dla innych skutek uboczny pandemii i poluzowania tradycyjnych, systemowych zapór. Tak czy siak, to konkretne wotum nieufności wobec państwowej oferty szkolnej. Taki zbiorowy gest Kozakiewicza. Niekoniecznie dla Zalewskiej, Czarnka czy Nowackiej – choć każde z tych nazwisk działa na większość rozmówców jak płachta na byka. Raczej reakcja na wszystkie ścieżki systemu – mówią mi starsi uczniowie.

Część licealistów w ED – jak skraca się „edukację domową” – to już osoby pełnoletnie. Ale nie to jest kluczowe. Policzymy ich rodziców – to ponad 100 tysięcy dorosłych, świadomych ludzi. Sto tysięcy wyborców pokazujących coś więcej niż czerwoną kartkę dla MEN.

– Promilek, tak ci powiedzieli? To mają duży problem z rachunkami – ocenia znajomy inżynier, ojciec dziecka z ED. – Dodaj sobie szkoły społeczne i prywatne. Oni wszyscy mówią, że nie ma dla nich sensownych usług publicznych w tak podstawowej dziedzinie jak szkoła. Państwo sto razy ich zawiodło – z PiS-em czy bez PiS-u. Zapytaj uczniów, którzy odważyli się odejść.

Zanim się wybiorę do szkół, zanim poznam Adę, Dominikę i trochę innych osób ważnych dla tej historii, muszę się nauczyć patrzeć bez uprzedzeń. Oczyszczyć umysł po latach pracy z młodzieżą „z systemu”, żeby

się nie dziwić ani nie widzieć zbyt jaskrawo. Ten, kto widzi zbyt jaskrawo, tego różnice i braki albo nadmiary szkół pozasystemowych mogą oślepić.

Próbuję więc odparować. A to nie jest takie proste, gdy się nasiąknęło latami rozmów z własnymi uczniami. Wprawdzie od sektora państwowego trzymam się w bezpiecznym dystansie, ale uczę od lat setki osób z podstawówek i liceów.

Pierwszy *fail* to próba rozmowy na fanpejdżach na Facebooku: – Czy będzie Pan dowodził, że stara szkoła nadaje się na śmietnik?

– Teza artykułu pewnie taka, że z systemu odchodzą lenie i szarlatani?

– Aha, „niezależny” punkt widzenia, znamy, znamy...

Porzucam te syzyfowe próby, bo jedno wiem – nic tak pięknie nie wznosi muru nieufności jak polska szkoła. W moim przypadku to po części szkoła językowa, społeczne gimnazjum i liceum, prywatna podstawówka – ale wszędzie podobny *vibe*.

Polski uczeń ma dwie cechy – zmęczenie szkołą jako miejscem i brak zaufania do nauczycieli. Czasem to wrażenie łagodnieje – gdy sprawna placówka wywalczy środki na mniejsze klasy i poświęci uczniom więcej uwagi. Częściej jednak wzajemna nieufność jest fundamentem systemu, a w państwowych szkołach moich córek i ich koleżanek panowała niepodzielnie.

Czy może zaskakiwać, że nie było procedury powitania? Że nie słyszała o niej wychowawczyni z miasteczka pod Poznaniem? Nie zaskakuje, zero zdziwień. Brak procedury – i nie wiadomo, co zrobić z wyciągniętą do szkoły ręką rodzica z sąsiedztwa.

Za to inne procedury „w systemie” mają się dobrze. I właśnie te inne wyrzucono ze szkół Ady i Dominiki.

Nie ma grafiku na semestr z góry – klasa umawia się na wspólną pracę i co kilka tygodni, w miarę potrzeb ustala zmiany („Pojutrze starsi wyjeżdżają do Krakowa, a za tydzień połowa z nas ma egzami-



POLECEITY IMAGES

ny, więc pozostali też będą mieć nowy plan – jest dużo zmian, ale da się ogarnąć – to uczniowie z Poznania). Mało grupowych zebrań z rodzicami, bo wszyscy pracują w systemie tutorskim, więc często kontaktują się z wychowawcą i przedmiotowcami pojedynczo. Nie ma pokoju nauczycielskiego, gdzie dorośli chowają się przed młodzieżą („to akurat ograniczenia obiektywne, nie da się tu zrobić tylu sal i pokoi” – pani od anglika oprowadza mnie po starej willi). Godzin konsultacji też brak, skoro rozmowy toczą się na co dzień. Nie ma „ciała pedagogicznego”, bo wszyscy są na ty.

Nie ma wyścigu do topowych ocen – choć już 9-, 10-latki dobrze się znają i czują, kto jest dobry z matmy, a kto nie ogarnia. Nikt nie słyszał o średniej ocen (choć każdy musi rozumieć, co mu idzie dobrze, a co słabo).

Hubert z klasy 6 zadumał się nad odpowiedzią. „Różnica z typową podstawówką? Może taka, że większość rzeczy robi się tu w parze czy w podgrupie. No więc każdemu zależy, żeby egzaminy wszystkim poszły szybko – inaczej jest mniej czasu na fun”.

Że nie ma dzwonek, to chyba najmniej ważne (choć może tylko z mojej, belferskiej, perspektywy). Nie ma też nakręcania paniki przed testami, brak zaliczania materiału na gwizdek, w jednym trybie i terminie.

Nie ma nawalnicy decybeli i jeszcze paru spraw, o których się przekonam.

Największe grupy uczniów odchodzących z edukacji systemowej to:

- uczniowie ze szkół, w których nie otrzymali wsparcia w sytuacji ostrych konfliktów w grupie albo konfliktu z wychowawcą;
- osoby o różnych sprecyzowanych osiągnięciach w wybranej dziedzinie (młodzi sportowcy, artyści, naukowcy) – poświęcenie kilku godzin w tygodniu na własne hobby i pasje w wielu wypadkach nie jest możliwe w systemie państwowym;

• Do ponad 60 tys.

wzrosła liczba uczniów w systemie edukacji domowej w Polsce od 2019 r., gdy było ich około 14 tys.

• Już ponad 6 proc.

polskich uczniów pobiera naukę w edukacji niepaństwowej. To odsetek kilkakrotnie wyższy niż w Niemczech, Holandii i krajach skandynawskich. Do kilkudziesięciu tysięcy uczniów edukacji domowej dochodzi 260 tys. osób w placówkach niepublicznych o profilu tradycyjnym - społecznych i prywatnych podstawówkach i liceach.

• **Marek Szpanowski** nauczyciel, publicysta i menedżer oświatowy z Warszawy

Rodzice uczniów z edukacji domowej to 100 tysięcy dorosłych, świadomych ludzi. 100 tysięcy wyborców pokazujących coś więcej niż czerwoną kartkę dla MEN

- uczniowie o zdiagnozowanych specjalnych potrzebach edukacyjnych, bez dostatecznego wsparcia w szkole (na przykład wymagający specjalistycznej pomocy logopedy, reedukatora czy psychologa lub dostosowania warunków pracy z powodu choroby);
- uczniowie o ambitnym profilu zainteresowań, którzy nie znajdują oferty szkoły systemowej w najbliższej okolicy (na przykład zmagający się z wykluczeniem komunikacyjnym na terenach wiejskich).

Ale przypadków spoza tych grup jest coraz więcej. I jeszcze krótki słowniczek, czyli o czym „oni” mówią? Bo język edukacji alternatywnej nie zawsze jest przejrzysty. Wyjaśnijmy więc:

- szkoła systemowa, systemówka – szkoła państwowa lub niepubliczna, która działa w tradycyjnym systemie klasowo-lekcyjnym;
- edukacja domowa (ED, homeschooling) – system, w którym odpowiedzialność za tygodniowy i semestralny cykl nauki przejmują rodzice i (w klasach starszych) sami uczniowie. Obowiązuje ta sama podstawa programowa co w każdej szkole, ale sposób realizacji (na przykład liczba i miejsce lekcji, tryb sprawdzania postępów) zależą od rodziny. ED nie musi odbywać się w domu – uczniowie często korzystają z zajęć oferowanych przez nowe, alternatywne szkoły;
- edukator – nauczyciel w ED, określenie podkreślające, że jego funkcja nie jest formalna (wyznaczona poziomem awansu itp.) i nie ogranicza się do nauki przedmiotu, skupiając się na wspomaganiu uczniów;
- system tutorski – praca z wyznaczonym tutorem, który pomaga uczniowi (czasem również jego rodzicom) zaplanować cele i tryb kolejnego etapu nauki;
- szkoły demokratyczne – odrzucające instruktazową i liderską rolę nauczyciela; decyduje o formie pracy podejmuje w nich zespół uczniowski – stanowią niewielki procent całego sektora ED;
- unschooling – radykalny nurt w edukacji alternatywnej podważający wartość zarówno szkół systemowych, jak i wszelkiej nauki w formach zorganizowanych; promujący uczenie się w trybie indywidualnym, w tempie zależnym od samych uczniów.

Rozmawiamy od dwóch minut i już mam jasność: Dominika nie pasowałaby do nowej szkoły dla biznesowych elit, jaką szykowali dla niej, przyszłej dyrektorki, państwowi i prywatni sponsorzy. Zbyt niskie stężenie belfra w belfrze.

Dominika nie wygląda na swoje 40 lat. Choć podkreśla ogrom pracy w nowo tworzonej szkole, nie ma w niej dużo z typowego nauczyciela. Zamiast reakcji obronnych i standardowego wypalenia czuje się raczej młodzieńczą energię i determinację.

– Wsparcie od władz lokalnych? Przydałoby się, ale nic takiego nie dostajemy – odpowiada na jedno z pierwszych pytań. – Gdy powstaje coś nowego, przeszkody są zawsze ogromne. Jednak nie dziwię się tak do końca, że samorządy reagują alergicznie na hasło „edukacja domowa”. „Chmura” zebrała na Śląsku jakieś 4 tysiące uczniów. Taka liczba wysysa co miesiąc konkretną sumę subwencji z miejskiej kasy. Tylko co to ma wspólnego z nami i naszą szkołą? Mamy trzydziestu kilku uczniów, same roczniki licealne.

Droga do miniskółki była kręta. Po studiach Dominika stawia na pracę naukową, ale nie chce się zamknąć w auli. W 2020 r. broni doktorat o twórcy pionierskiej szkoły Summerhill – mekki innowatorów.

Od kilku lat pracuje już w Uniwersytecie Otwartym – oddzielnej jednostce, dzięki której uczelnia przekracza własne mury. Zespół młodych pedagogów i naukowców wychodzi do społeczności – do osiedlowych podstawówek, domów kultury, klubów seniora. Dominice jest tam dobrze. Jak wielu młodych pracowników, znajduje w „Otwartym” miejsce do badań i praktycznej aktywności. Szkoła nauczycieli, robi zajęcia dla nastolatków, inne koleżanki pracują z całymi rodzinami, rozkręcając ambitne wykłady dla seniorów.

Śląska uczelnia chwali się tą działalnością. Rektor obiecuje pomoc w tworzeniu nowej szkoły średniej. To ma być niezależne, eksperymentalne liceum, gdzie pedagogicznym pasjonatom uda się zderzyć książko-

we teorie z rzeczywistością. Szkoła, która nie chce kopiować XX-wiecznych schematów.

Rok po doktoracie okazuje się, że rektorskie obietnice należy brać w duży nawias. Województwo pracuje właśnie nad Specjalną Strefą Ekonomiczną, by ściągnąć inwestorów i budować na Śląsku nowe gałęzie przemysłu. Strefa przychodzi z ofertą do uczelni, ta przypomina sobie o Dominice. W nowej odsłonie propozycja wygląda całkiem inaczej. Jeśli rektor ma pomóc, kontaktując inwestorów z ekspertami, to szkoła powstająca przy uczelni musi mieć formę liceum z programem IB (*International Baccalaureate*, matury międzynarodowej). Kolejna elitarna wspierana przez SSE placówka dla najzdolniejszych.

Zamiast innowacji kroi się więcej tego, co zwykle. Choć język Dominiki jest ostrożny i dyplomatyczny, sam wiem, czym jest „to, co zwykle”. Więcej tresury i wyścigu szczurów, więcej pseudoskuteczności na krótką metę. Mniej inicjatyw ze strony młodzieży i nauczycieli, mniej pola do eksperymentów. Więcej napinki, mniej nauki.

Dominika rozumie, że stoi wobec twardych realiów. Ale liceum w korpostylu jej nie przekonuje.

Po roku trafia na Kacpra, podobnego entuzjastę. Odchodzi z uczelni. Zakładają fundację, mija kolejny rok i przyjmują pierwszych uczniów do autorskiego liceum. Trzeba wynająć mieszkanie w centrum Katowic. Nie jest tanio, ale dojazd do szkoły musi być wygodny – spodziewają się na starcie małej liczby uczniów z różnych części śląskiej aglomeracji. W czerwcu zamykają trzeci rok nauki. Większość ich młodzieży korzysta z tego, że wybrała ED.

W ich liceum wolno być innym – więcej: musisz być sobą. A dzięki temu chcesz tworzyć społeczność. „Najpierw trzeba się osadzić w swojej osobowości, w relacjach z innymi i z otoczeniem. Dlatego wspólnie planujemy, sami aranżujemy klasy, dbamy o teren i otoczenie, czasem nawet razem gotujemy. Uczymy się też, oczywiście – ale nie w tym trybie co stare szkoły, nie w paraliżu procedur i wiecznej kontroli”.

Chciałbym dokładniej zrozumieć, kogo pociąga na Śląsku wzbierająca fala ED, ale nie chcę iść na skróty. Przykładu szukam poza szkołą Dominiki.

Kontakt do Alicji daje mi jej uczelniany tutor i znany komentator edukacji Mikołaj Marcela. Dziś studentka, odeszła do Szkoły w Chmurze już jako świadoma licealistka rok przed maturą – to dość częsty przypadek. Ale jest i druga strona medalu, niemal równie typowa: gdy Alicja i rodzice poznali życie poza systemem, młodszy brat szybko poszedł w jej ślady.

Tak to się toczy. Nie strumyczek, ale rzeka z licznymi dopływami. Chęć ucieczki przybiera na sile.

– U mnie początkiem był konflikt samorządu z dyrektorem. Nasz zapal wydawał nam się atutem, mogliśmy sami dużo organizować – zrobić imprezę kulturalną, rozkręcać szkolne media. Jednak zdarzały się też sprawy trudniejsze, na przykład wypadki skrajnie późnego oceniania klasówek – chcieliśmy reagować – wspomina. – Ale dyro chciał tylko nauki na gwizdek. Szybko się okazało, że cała szkoła ma po prostu takie nastawienie. Po co im aktywniejsi uczniowie? To tylko komplikacja. Trzeba rozmawiać z samorządem, reagować na pomysły, ale również na zgłaszane problemy. Albo dopuszczać do szkolnych decyzji, choćby drobnych. W końcu już nawet to, że jakiś uczeń gra na gitarze, stało się dla dyrekcji problemem.

Alicja była w jednym z bardziej znanych liceów na Śląsku. Tradycje i osiągnięcia, kadra ciesząca się uznaniem lokalnych władz i wielu rodziców. Ale stuletnia historia nie dała odpowiedzi na potrzeby Alicji. W „domowej” można było wziąć głęboki oddech.

– Nie jest kluczowe, czy to Chmura, czy inny model. Ważne, że w ED. Chodzi o czas, po prostu program liceum – tak jak go rozumie dyrekcja – wysysa dziś z ludzi 99 procent czasu i energii. A ja wreszcie mogłam sama zaplanować rytm nauki przed maturą, pogodzić go z kółkiem aktorskim i zwykłym odpoczynkiem. Byłam już pełnoletnia, chciałam tego.

Nie wie, czy dogadałaby się z inną kadra. – Być może oni są z tego rozliczani – z tej beżsensownej karuzeli testów i himalajów wymagań. Miałam wrażenie, że każda chwila wolnego czasu ma być dla mnie wyrzutem sumienia.

Kiedy tak słucham, przypomina mi się kilka rozmów z mniej otwartymi, niechętnie podającymi szczegóły uczniami z ED. U nich konflikt ze szkołą był bardziej banalny niż praca w samorządzie. Nie podobały się treningi judo zamiast niby-dobrowolnych kółek przed egzaminem. Albo makijaż. Zapal do wycieczek. Niechęć do wycieczek. Kłopotliwy aparat do badania krwi u cukrzyka. Bo bezgraniczne jest zdumienie dyrekcji na widok tego, co inne. Ten system tak ma.

– Amerykański nastolatek sam wybiera dużą część przedmiotów – mówi mi Włodzimierz Zielicz, długoletni nauczyciel matematyki i fizyki w warszawskich liceach, wciąż żywo wspominający stypendium Fulbrighta sprzed 30 lat. Na wizytę w USA został skierowany z grupą polskich działaczy i edukatorów. – Wspólna klasa funkcjonuje może na kilku lekcjach w tygodniu, poza tym grupy są zależne od poziomu i zainteresowań. Uzdolnieni ścisłowcy robią rzeczy ambitne. Ci z drugiego końca skali wystarczą podstawy na kursie „business maths”. Wtedy dużo trudniej przyjmować cierpiennicze miny i odwalać pańszczyznę, jak w większości naszych szkół średnich.

Zielicza trudno uznać za radykała – ani zbliżone poglądy, ani to samo pokolenie. Tym ciekawsze, że w pierwszych słowach pytany o najgorsze aspekty polskiej szkoły wymienia właśnie urawniłowkę ścieżek i metod. Brzmi jak echo 30-letnich pionierów i championów edukacji alternatywnej.

– Proszę przeczytać historie naszych uczniów – zachęca Michał Cieśla, rzecznik Szkoły w Chmurze. – Każdego tam pan znajdzie: i superzdolnych, i zwykłych zjadaczy chleba. Bo z przejściem do Chmury dostają szansę: czas na własną ścieżkę, na realny rozwój. – Od pierwszego dnia rodzice widzą, że mamy inny pomysł, bo dziecko nagle dostaje przestrzeń na decyzję – słyszę w innej, dużo mniejszej szkole dla uczniów z edukacji domowej.

W państwówce był szalericzny sprint za ocenami. Marzenia o świadomym, długodystansowym biegu trudno zsiścić bez ucieczki z systemu. Każdy nauczyciel coś tam słyszał na studiach o indywidualizacji, o neuro-nauce, o biologicznych podstawach rozwoju dziecka. Wie, że nie da się sztucznie wyprasować różnic między profilami uzdolnień i zasobami inteligencji. Ale w naszym systemie ostatnie kilkanaście lat to ciągła gonitwa i „nadrabianie strat programowych” (oraz żeby upchnąć stare LO w programie nowego, innym razem program likwidowanych gimnazjów w klasach 7-8).

Ergo: mądrości ze studiów stają się czczą teorią. Praktyka to stałe wypalenie belfrów, to edukacyjny stan przedzawałowy. ED daje tysiącom rodzin łyk powietrza.

Nauczyciele z systemu chętnie przytakują. – Uczniowie muszą tam wreszcie wziąć odpowiedzialność – mówi mi Jarosław Pytlak. – Choć mam różne wątpliwości wobec rozrostu ED, ten jeden aspekt jest w 100 procentach pozytywny.

Czemu to ważne?

– Zmiany kulturowe, era smartfonów, przy jednoczesnym nacisku na prawa ucznia przyniosły wspólnie efekt uboczny – modę na bierność – wylicza Pytlak. – Szkoły muszą z tym żyć od co najmniej dekad. Skoro nauka ma być wygodna i przyjemna, a coraz trudniej się skupić i oderwać od ekranów, to skutkiem jest bierne odklepywanie obowiązku. Coraz gorzej jest z samoświadomością; coraz słabsze poczucie, że mam jakąś odpowiedzialność za swoje losy w szkole.

– Jasne, nie każdy rodzic może sobie pozwolić na przejęcie sterów i pomoc w nauce – dodaje dyrektor. – I nie każde dziecko ma potrzebną dojrzałość. Tak czy siak, w ED nie ma wyjścia: ani Instagram, ani gry na telefonie nie są już wymówką, gdy trzeba zdecydować, kiedy siadać do pracy i w jakim tempie uczyć się do egzaminów.

Ale gdyby wystarczyło poprawić dobrostan uczniów i rodziców, sprawa nie byłaby tak trudna.

Nawet w edukacji zwanej domową, nawet przy pomysłach najbardziej przejętych koncepcją „podążania za rozwojem dziecka”, przewodnicy uczniowskiego stada są ważnym ogniwem. Na razie nikt nie obliczył, ilu sektor ED angażuje nauczycieli. Ale za falą odchodzących uczniów szybko popłynie drugi strumień – chętnych belfrów.

Dzięki staraniom kolejnych ekip w MEN systemówka – nie tylko państwowa – to fabryka dokumentów. Często bezsensownych.

Często elektronicznych, co tylko pogorszyło ich poziom, bo pojemność cyfrowych folderów nie zna granic. Dla belfra to godzinny pracy, bo tabelkę i raport wypełnić trzeba. Procedury są rozbudowane. Im mniejsza ważność decyzji, tym łatwiej się od niej odwołać. Rodzic przychodzący z prawnikiem, uczeń kwestionujący ocenę z WF za pierwszy semestr drugiej klasy LO, a potem nadzorujący wszystko dyrektor – kiedyś to by była fantastyka, dzisiaj to codzienność.

– Dopóki nie wzmocni się pozycja nauczycieli, nie ma co mówić o żadnych MEN-owskich wizjach i reformach – ciągnie Pytlak. – I nie chodzi tylko o zarobki. Wiadomo, że bieganie między trzema szkołami albo korki na Zoomie co wieczór nie przysporzą komfortu ani autorytetu. Ale jest jeszcze gorzej. Dziś biurokracja i procedury są wszystkim.

– Szkoła to w ogóle jedno z najtrudniejszych środowisk pracy – dodaje Violetta Kal-ka, polonistka z Torunia, założycielka najpopularniejszych grup dyskusyjnych dla nauczycieli. – Częstość aktów mobbingu ze strony administracji szkolnej przeraża, ale nie dziwi, skoro nas nie stać na podstawową opiekę psychologiczną i prawną nad pracownikami. Proszę spojrzeć na nasze fanpejdże na Facebooku, „Uwaga, mobber w szkole!” i „Nauczyciel zmienia zawód”. Nowa historia przemocy zjawia się tam kilka razy w tygodniu.

Nadejście terroru procedur przewidywał już kilkanaście lat temu Włodzimierz Zielicz. O wartości pracy ma decydować „przede wszystkim perfekcyjna dokumentacja. Na jej kontrolę nastawione jest praktycznie całe funkcjonowanie aparatu zarządzającego” – ostrzegał w branżowym czasopiśmie w 2013 r. „Efektywna szkoła to kontakt człowieka z człowiekiem, a nie miejsce produkcji dokumentów czy kontaktu urzędnika z petentem według rozbudowanych procedur. Ważny jest nie odnotowany fakt odbycia lekcji, rozmowy z rodzicem czy uczniem, lecz ich skutki. Tymczasem z wystawiania ocen, które na świecie mają charakter informacji, stworzono procedurę przypominającą wydawanie decyzji administracyjnej”.

Gdy rozmawiamy 12 lat po tamtym tekście, autor kiwa głową z politowaniem. – Nie mam satysfakcji z tego proroctwa. Wykra-kałem – ale czego się spodziewać po MEN. Oni tam żyją w wirtualnym świecie, a kurtoria i duża część dyrektorów – podobnie. Dla urzędników liczy się to, co można zapisać – tematy, stopnie, frekwencja, a nie realny świat stojący za tymi zapisami.

– Wciąż dyrektorzy sobie radzą – dodaje Pytlak. – Plan się załata emerytami, jakoś się zachęci wypalonych weteranów do kilku godzin ponad etat. Ale nasza pozycja jako pracodawców słabnie i zapaść, zwłaszcza w większych miastach, jest kwestią czasu.

Mikołaj Marcela jest kimś w rodzaju szama-na oświatowych rebeliantów. Jego nazwisko to w tradycyjnych szkołach kamień obraży. Od kilku lat pisze książki podważające szkolne mity i dogmaty. W „Selekcje. Jak szkoła niszczy ludzi, społeczeństwo i świat” i „Nie musisz. Od kultu osiągnięć do wypalonych pokoleń” filozof i literaturoznawca z Uniwersytetu Śląskiego ośmiesza ugrzeczni-one stereotypy, ale pokazuje też przykłady nauczycieli przekraczających tradycyjne ramy, rzucających systemowi wyzwanie.

Raczej młody (rocznik 1985), więc co tam może wiedzieć w porównaniu z weteranami oświaty. Gość z uniwersytetu – plus do prestiżu, minus do walorów praktycznych. Nawet nie z pedagogiki, więc pewnie oderwany od szkolnej codzienności. Im głośniej o jego tekstach, tym łatwiej obsadzić autora w roli skandalisty uprawiającego trolling systemu.

– Jego opinie można przewidzieć – mówi mi dyrektorka podstawówki. – Tacy mędracy jak pan M.M. nadrabiają radykalizmem, skoro brak im doświadczeń z linii frontu. Ale proszę go spytać o jego szkolne dzieje. Jak rodzice zadbają, żeby dziecko zawsze miało to, na co nie każdego stać, to później łatwo osądzać szeregowych belfrów.

– Mikołaj Marcela? No, jakoś nie udało nam się spotkać – przyznaje Pytlak. – Jego zdaniem w zasadzie żaden proces pracy przypominający szkołę nie wnosi wartości, wystarczy „podążanie za”, a nie uczenie. A moje doświadczenie mówi, że sprawny nauczyciel bardzo się uczniom przydaje.

Postulat „podążania za uczniem” – czyli jeden z filarów ruchu szkolnej alternatywy – w skrajnej postaci rzeczywiście zbliża się czasem do absurdu. I w takiej formie jest krytykowany nie tylko przez nauczycieli, ale też przez teoretyków i psychologów. I w wieku 8, i 14 lat uczeń dopiero kształtuje osobowość, profil uzdolnień i styl pracy. A poczucie wartości buduje się w jego psychice tym trwalej, im mocniej podpira je kontekst społeczny – weryfikowalne osiągnięcia, skuteczna adaptacja do norm i ograniczeń. Czyli to, co „wywrotowcy” bagatelizują jako wrogi dziecku system.

Spodziewam się więc starcia ze ścianą z betonu. Ale kiedy łapię za słuchawkę, po drugiej stronie nie ma ani ściany, ani zapachu do oskarżeń.

*Emilia na początku III klasy
liceum zasłała przed jedną,
drugą, następną klasówką.
Na przystanku w drodze
do szkoły, potem w klasie.
Nauczyciele nie wiedzieli,
jak zareagować.
Dziś Emilia jest w edukacji
domowej*

– Każda szkoła może skorzystać na fer-mencie z ED – odpowiada Marcela na jedno z moich pierwszych pytań. – Ta masa nowych pomysłów na angażowanie uczniów to może przecież być nasz polski znak firmowy. Wszyscy mogą stąd czerpać. Państwo-we podstawówki przede wszystkim. Trzeba tylko chcieć zastosować różne modele, które sprawdzają się w swobodnej, mniej przymusowej atmosferze. Trzeba by pozwolić na różnorodność – to wszystko.

Kilka tygodni później piję kawę z Marcelą w hipsterskim lokalu niedaleko dworca w Katowicach. Już od wejścia widzę podobny „deficyt” co u Dominiki. Nie wygląda na przytłoczonego życiem nauczyciela ani w ogóle na człowieka z edukacji. Być może brak wypalenia jest warunkiem koniecznym buntownika. Jego staranne wywody pokazują raczej naukowca niż wodza rebelii. Ale w tej precyzji jest też uczciwość i odwaga wyjścia poza swój punkt widzenia. Zaskakująco się zgadzamy – ja, praktyk, i on, kontestator – w sprawach zasadniczych.

W tym, że alternatywne szkoły dają wielu uczniom wolność realnej nauki i prawdziwy oddech, wyręczając niedołężny system. A także: że długofalowym problemem jest wzrost nierówności. Szkoła publiczna, zamiast niwelować, wytrwale je pogłębia, napędzając nurt douczek i korepetycji. Alternatywy są wciąż zbyt słabe, by tu pomóc – żeby z nich skorzystać, trzeba mieć w rodzinie kapitał kulturowy powyżej przeciętnej.

Nie zgadzamy się za to w jednym punkcie. Dla Marceli przyczółkiem zła jest system egzaminów – jednolitych, de facto obowiązkowych. Dla mnie dużo gorsza jest „średnia ocen”, bo bez niej całe testowe szalerństwo nie dotykałoby już 10-latków.

– Poradź mi kogoś z kręgów eksperckich – proszę Janka Wróbla, nauczyciela historii i znanego publicystę, z którym dzieliłem pokój nauczycielski. – Tylko w miarę możliwości eksperta, który czegoś nie wie, dobrze? Żeby to nie był człowiek, co wszystko prze-widział i ma na wszystko odpowiedź, bo takich to już słyszałem i naprawdę...

– To może Roman Leppert – Janek wchodzi mi w słowo. – No to jest taki profesor z Bydgoszczy. Powinien pasować do opisu.

Jak na profesora przystało, Leppert trzyma w rozmowie równy dystans – i od obrońców tradycyjnej szkoły, i od zarliwych buntowników.

– Zgoda, trend jest widoczny i jest reakcją na pewną sztywność systemu. Polska ED jest inna niż to, co się określa tą nazwą na Zachodzie. Nie ma w niej choćby nurtu obyczajowo-religijnego jak w USA. Jest bardziej ruchem znicięrlpiwienia, aktem uwolnienia od procedur. Nie sądzę, żeby efekt tego trendu był natychmiastowy – ale też trzeba docenić wszystko, co ożywia potencjał innowacji. To szansa i dla części uczniów, i dla wielu nauczycieli.

– Czy reakcja władz jest sensowna? No cóż, system reaguje w sposób systemom właściwy – próbą adaptacji, programem reform. Tylko zabiera się do tej reformy niezręcznie, ale to odrębny temat.

Klara: – Druga koleżanka odeszła do domowej w zeszłym roku. Wika była całkiem zdolna i nieźle się uczyła, ale pod koniec dobiła ją matma. A może też dojadły? Trudno to teraz rozstrzygnąć. No ale wie pan, jak jest w zwykłym liceum z zaległościami ze ścisłych. Może w tych innych, co mi pan kiedyś radził rozważyć, jest inaczej. Ale nie u nas. Wika miała dość. I było nas w klasie... minus dwie.

Czy słucham buntowników, czy ugodowców, aktywistów czy nauczycieli zmieniających szkoły od środka – w jednym panuje zgoda. Prawie nikt nie ma złudzeń, że MEN wie, co zrobić z ucieczką od systemu i z kluczowymi problemami szkoły. Jeśli wyciągać wnioski z moich rozmów, na resortowy plan reform nikt nie liczy. Masowo skrytykowano zwłaszcza „profil absolwenta”, kamień węgielny projektowanej przez resortowy instytut przebudowy.

– To jakby budowanie domu zaczynać od dymu z komina – podsumowuje profesor Leppert.

– Zawsze się boję, kiedy słyszę, że ministerstwo ma pomysły albo że chce reagować – to jeszcze raz Jarosław Pytlak.

Model się zadekretuje, a dyrekcje wdrożą. Mechanizm działania pozostanie – a wraz z nim nieruszona istota problemu – to skró-towa opinia nauczycieli. „Czy MEN chce skorzystać? Z naszych rozwiązań? Chyba pan żartuje” – mówi anonimowo aktywistka z ED. „Prędzej by nas zagnali do jakiegoś kąta, żeby im nikt w raportach i tabelkach nie bruździł”.

Klara: – Trzecia była Emilia. Taaak, to inny typ zupełnie. Była w naszej klasie przez dwa lata i nic tego nie zapowiadało. Nie miała wielkich osiągnięć ani specjalnych kłopotów. Nagle na początku trzeciej klasy zaczęła się stresować, zasłała przed jedną, drugą, następną klasówką... Najpierw na przystanku w drodze do szkoły, potem w klasie.

To było serio niebezpieczne, nauczyciele nie wiedzieli, jak zareagować. Jasne, że lekarz przede wszystkim, ale nie miała przewlekłych chorób, nic takiego. Stres i brak specjalnej reakcji ze szkoły i... No i ona też jest w domowej. Od połowy trzeciej klasy.

No tak. Na to wychodzi. Dziesięć procent klasy odeszło w dwa i pół roku. Bez jakichś wyraźnych powodów. O ile można to w ogóle wiedzieć. ●

● **Część** uczniów, rodziców i nauczycieli zastrzegła sobie anonimowość – ich imiona zostały zmienione. Autor dziękuje osobom, które zgodziły się podać dane. **Byli to:** Violetta Kal-ka, Alicja Juskiewicz, Weronika Orłowska, prof. Roman Leppert, Mikołaj Marcela, Mikołaj Orłowski, Jarosław Pytlak, Włodzimierz Zielicz, **oraz przedstawiciele placówek edukacji domowej:** Adriana Niedbała (Przestrzeń Edukacyjna „Ferajna”, Poznań), Dominika Hofman (Liceum Sowi-dzrzała, Katowice), Michał Cieśla (Szkoła w Chmurze).

„Zawsze świetnie przygotowana, merytorycznie nas zawstydziała, ale nie oszukujemy się...”. Dowozi Euro 2012, Madonnę na Stadionie Narodowym, sport w szkole i pomysł na pokonanie PiS, więc się jej pozbadźmy.

Z czym się zderza kobieta w rządzie

MUCHA SIĘ KREĆCI I PRZESZKADZA

Arkadiusz Gruszczyński

To będzie opowieść o tym, jak w polskiej polityce zdominowanej przez mężczyzn, kobiety nie są w stanie przebić się ze swoją agendą, nawet jeśli są pracowite, medialne i charyzmatyczne. A także o tym, jak popularna polityczka, zbierająca w każdych wyborach po kilkadziesiąt tysięcy głosów, jest konsekwentnie odsuwana na boczny tor.

W poniedziałek Joanna Mucha spotkała się w gmachu ministerstwa edukacji przy Alei Szucha z przedstawicielami środowisk ukraińskich. Temat: wsparcie dzieci z Ukrainy.

Jest ich 200 tysięcy, a od bieżącego roku szkolnego mają obowiązek uczęszczania do naszych szkół.

– Podczas zebrania grupy roboczej ds. integracji edukacyjnej dzieci będących obywatelami Ukrainy przy MEN ministra Joanna Mucha oświadczyła, że program „Szkoła dla wszystkich”, na który Komisja Europejska przekazała pół miliarda złotych, nie jest realizowany. Miała to być decyzja rządu. I ministra w związku z tym poda się dzisiaj do dymisji – przekazała naszej dziennikarce Karolinie Słowik Myrosława Keryk, prezeska Ukraińskiego Domu.

Program zakłada m.in. zatrudnienie asystentów międzykulturowych w szkołach, szkolenia dla nauczycieli i dyrektorów dotyczące pracy w klasie międzykulturowej i z dziećmi z traumą wojenną oraz wsparcie psychologiczne dla dzieci z Ukrainy. Pieniędzy nadal nie przekazano szkołom.

– Aśka nie wytrzymała. Wszystkie jej propozycje, projekty i sprawy, jakimi się zajmowała w rządzie, były blokowane. Z miesiąca na miesiąc narastała w niej frustracja – mówi mi polityk Polski 2050. Dlatego Mucha złożyła na ręce premiera Tuska dymisję.

– Wiedzieliśmy o tym od dawna, Szymon Hołownia zdawał sobie sprawę, że Mucha jest sekowana przez ministrami Barbarę Nowacką – słyszę od innego polityka. Mucha była jej zastępczynią.

Kuluarowe rozmowy potwierdziła sama Mucha. „Przez wiele ostatnich miesięcy intensywnie pracowałam nad projektami, które – głęboko w to wierzę – mogły zmieniać polską szkołę. Niestety, mimo wielu prób i rozmów, nie udało się zbudować poparcia dla ich realizacji w kierownictwie MEN i w rządzie. W tej sytuacji kontynuowanie pracy na dotychczasowym stanowisku uznałam za niezasadne” – napisała na Facebooku. Dodała, że „w sprawach, w których mogę być pomocna, pozostaję do dyspozycji rządu Koalicji 15 Października”.

To jedna wersja wydarzeń. Inną – związaną ze zwykłą sprawczością – sugeruje Bartosz Arłukowicz. – Nie znam kuluarów i faktów, mogę się odnosić do informacji medialnych. Znam panią ministrami Muchę od wielu lat, razem byliśmy w rządzie i współpracowaliśmy ze sobą. Wiem na pewno jedno: byłem przez cztery lata ministrem konstytucyjnym i kiedy chciałem przeprowadzić trudny projekt, który nie wzbudzał entuzjazmu w rządzie, to nie poddawałem się, walczyłem, rozmawiałem i przekonywałem pana premiera – wspomina poseł do Parlamentu Europejskiego, który kierował resortem zdrowia u Tuska i Ewy Kopacz w latach 2011–15. – I często bywało tak, że musiałem często bardzo długo przekonywać premiera, mocno dyskutując. Premier bardzo często nie zgadzał się ze mną, potem w czasie dyskusji ja ustępowałem albo udawało mi się przekonać Donalda Tuska do jakichś rozwiązań.

– Nie, Joanna nie wróci w tej chwili do rządu. Skupi się na pracy parlamentarnej, w końcu nadal jest posłanką – mówi mi polityk Polski 2050.

W Sejmie niektórzy twierdzą, że eks-ministra opuści Hołownię i wróci do PO. – Co pan za głupoty opowiada. Po ostatnich

wpisach Aśki nikt by jej nie przyjął – bulwersuje się ten sam polityk. Mój rozmówca ma na myśli głośny wpis Muchy po drugiej turze wyborów prezydenckich. Polityczka ostro zrecenzowała pracę sztabu Rafała Trzaskowskiego, zarzucając mu zamknięcie na opinie ekspertów, powierzenie kampanii osobom, które nie wygrały żadnych wyborów oraz bezkrytyczną wiarę we własne zdolności.

Głos Muchy był wiarygodny: posłanka spędziła w PO kilkanaście lat, doskonale poznała tę partię od środka. Ale występując w roli recenzentki Trzaskowskiego, jakby nie zauważyła, że jej szef, czyli Szymon Hołownia, miał fatalną kampanię i zdobył raptem 4,9 proc. głosów w pierwszej turze.

Na te dwa wydarzenia polityczne – ostrą i zasadniczo sprawiedliwą krytykę kampanii Trzaskowskiego oraz dymisję – należy spojrzeć nieco szerzej.

Mucha w szeroko komentowanym wpisie postawiła zasadnicze pytanie o autoreflexję partyjnych liderów. Analizę oparła na pytaniu: dlaczego największa partia tworząca rząd wystawiła polityka, który nie miał szans na wygraną? „Platforma mówi: »dajemy ci kandydata i masz na niego głosować«. O co Ci chodzi? Że liberał? Że poglądy liberalne podziela co najwyżej jedna trzecia społeczeństwa? Że żaden prezydent Polski nie był nigdy liberałem? Że scena polityczna przesunęła się w prawo (przy ich wsparciu)? Że już raz przegrał wybory, a teraz ciągnie jeszcze na sobie niezadowolone z rządu? Platformie to nie przeszkadza. Platforma da Wam kandydata niewybieralnego i będzie się dziwiła, że go nie wybraliście” – napisała.

Po czym bezlitośnie punktowała: sztab był odizolowany od ekspertów, nie słuchał żadnych rad, ignorował badania, nie potrafił przełożyć wyników badań socjologicznych na opowieść i postulaty polityczne. Słowem: Platforma sama prosiła się o porażkę.

Nie jest tajemnicą, że duże partie trudno dostosowują się do zmieniającej się rzeczywistości, więc – o czym wszyscy w polityce wiedzą – zwykle wygrywa to ugrupowanie, które potrafi połączyć ogień z wodą: na tyle odmienić agendę polityczną, żeby przyciągnąć nowych wyborców i na tyle nie wyjść poza ramy, aby nie stracić dotychczasowej bazy. PiS opanował tę metodę do perfekcji: socjalistyczne transfery socjalne obudował konserwatywną opowieścią o wspieraniu rodzin. Inny lewicowy postulat, czyli podwyższanie pensji minimalnej, Jarosław Kaczyński ubiera w szaty dbania o polski interes narodowy, a pompowanie pieniędzy w inwestycje publiczne – patriotyzmem gospodarczym. A człowieka, który nigdy nie powinien zostać prezydentem Polski, przedstawia jako męża stanu, choć ciężą na nim znajomości z gangsterami, nielegalne zajmowanie mieszkania służbowego, niejasne przejęcie komunalnej kawalerki od starszego człowieka czy podejrzenie sutenerstwa.

Leszek Jażdżewski, twórca „Liberte” i łódzkiego międzynarodowego forum idei Igrzyska Wolności, stwierdził jakiś czas temu w radiu Tok.fm, że domyślną partią władzy w Polsce jest PiS. Kolejne tygodnie po wyborach potwierdzają tę tezę. Ludzie Jarosława Kaczyńskiego przygotowują pakiet ustaw, które tuż po zaprzysiężeniu Karol Nawrocki wyśle do Sejmu. Co w tym czasie robią ludzie Tuska? Zastanawiają się, czy obojętnie ich rekonstrukcja rządu. A cała Koalicja 15 Października zajmuje się sama sobą.

A przecież PO w ostatnich latach miała dwa przełomowe momenty programowe: w 2019 roku zdecydowanie opowiedziała się za prawem do aborcji do 12. tygodnia, co było firmowane przez popularną wówczas i kojarzoną raczej z konserwatywnymi środowiskami Małgorzatę Kidawę-Błońską. Wtedy też PO zaczęła mówić głośno o związkach partnerskich. Tym samym skostniała, przegrana i poobijana partia dostała nieco tlenu. A potem do polityki wrócił Tusk, który



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

dio; nie wiadomo, w jakim kierunku zmierza system ochrony zdrowia, nie tylko skrajnie niedofinansowany, ale też zwyczajnie źle zorganizowany; nie mówi się nic o przeciwdziałaniu wykluczeniu komunikacyjnemu w Polsce powiatowej.

Tak więc Mucha zwyczajnie zderzyła z politycznym rozleniwieniem. Z drugiej strony, jak zauważa Arłukowicz, praca w rządzie jest grą zespołową, a jednocześnie dowożenie projektów trzeba – jak w każdej firmie, korporacji czy instytucji publicznej – po prostu sobie zagwarantować. Polityka to tak naprawdę zakulisowe rozmowy, niekończące się spotkania, uzgadnianie strategii i konsekwencja w jej realizacji. Skoro Mucha nie potrafiła tego wszystko zrobić, być może nie nadawała się do pracy w rządzie.

Prawda zawsze leży jednak tam, gdzie leży, czyli Mucha spotkała się z oporem w rządzie, a jednocześnie niewystarczająco wykorzystała wszystkie narzędzia, jakie miała w rękach.

Ale to nie wyklucza trzeciej możliwości: a może Mucha jest przykładem politycznego

li o „fanaberii językowej”. „Czy krytyka pani »ministrowi« to medialna nagonka? Naszym zdaniem Joanna Mucha sama sobie szkodzi. Miejmy nadzieję, że nie zaszkodzi jednak polskim sportowcom” – rozważała „Rzeczpospolita”.

A Tomasz Lis w telewizyjnym programie przepytывał ministrę ze składu reprezentacji. – Żaden minister nie był wcześniej przepytывany. Lubię sport, Ligę Mistrzów, ligę angielską, hiszpańską, czy tenis. To nie jest tak, że jestem osobą, która nigdy w życiu nie kibicowała. Moją dewizą, jeśli chodzi o sport, jest: najpierw go uprawiać, potem go oglądać – odgryzała się Mucha.

To działo się raptem 14 lat temu.

Euro 2012 przebiegło zgodnie z planem, ale Tusk i tak postanowił ją odwołać. Przy okazji dymisji udzieliła Agnieszce Kublik wywiadu, w którym mówiła: – Niestety, mężczyźni robią taką politykę, której ja nie umiem robić i nie chcę się jej uczyć. Politykę, która polega na zdobywaniu wpływów, a nie polity-

Polityk Polski 2050: Aśka nie wytrzymała. Wszystkie jej propozycje, projekty i sprawy, jakimi się zajmowała w rządzie, były blokowane. Z miesiąca na miesiąc narastała w niej frustracja

potrafił w atrakcyjny sposób snuć opowieść o destrukcyjnych rządach Kaczyńskiego.

Nałożmy na to filtr, który zaproponowała Joanna Mucha: sposób prowadzenia polityki w 2025 roku różni się od partyjnej kuchni w 2015 roku. Mucha powiedziała głośno to, co dziennikarze zajmujący się polityką wiedzieli od miesięcy. A mianowicie, że koalicja rządząca nie ma porządnego zaplecza politycznego, które na bieżąco analizowałoby badania zamawiane za grube pieniądze, a następnie przekładała je na przekazy dnia.

Może zabrzmi to brutalnie, ale sprawny rząd w 2025 r. musi mieć swojego Michała Dworczyka i Piotra Müllera. Czyli „załatwiacza”, obrotną, bliską premierowi osobę koordynującą całą maszynę rządową oraz wygadanego polityka, który dzień i noc odpowiada na wszystkie pytania dziennikarzy.

Sztab Trzaskowskiego już w listopadzie wiedział, że społeczeństwo z jakiegoś powodu mocno skręca na prawo. Nawet liberalna baza wierna na PO zaczynała narzekać na pomoc udzielaną przez państwo Ukraincom. W grudniu osoba z bliskiego otoczenia prezydenta Warszawy opowiadała mi, że to będzie konserwatywna kampania. Albo nikt nie miał odwagi powiedzieć tego Tuszkowi, gdy decydowały się losy prezydenckiej nominacji, albo premier stwierdził, że Trzaskowski będzie w stanie przekroczyć sam siebie, albo – jak pisze Mucha – liderzy PO kolejny raz uwierzyli w swoją „zajebistość”.

A pytanie, z kim tak naprawdę Mucha przegrała, pozostaje otwarte. Z jednej strony koalicja rządząca ma poważny i widoczny problem z dowożeniem projektów ustaw czy nawet rozporządzeń, które poprawiałyby funkcjonowanie państwa. Przykłady można mnożyć: rozliczenia rządów PiS utknęły w martwym punkcie; media publiczne nadal są w stanie likwidacji, co uniemożliwia na przykład zaciąganie kredytów na niezbędne inwestycje w TVP czy Polskim Ra-

prymusa, którego partyjni liderzy z mieszanymi uczuciami – „kompetencje, ale ta ambicja” – wysyłają na niewdzięczne odcinki? Przecież – co umknęło nam wszystkim – Holownia nie bronił jakoś szczególnie mocno Muchy, nie zorganizował z nią wspólnej konferencji prasowej, nie grzmiał o rządzie, w którym nie było miejsca dla utalentowanej kobiety.

Ten trop sugerują jej początki w „dużej” polityce. Na początku ubiegłej dekady szeregowa posłanka została ministram sportu. – Zawsze świetnie przygotowana, merytorycznie nas zawstydziała, ale nie oszukujmy się: Joasia nie była przygotowana do tej funkcji – wspomina były minister, który pracował z Muchą w drugim rządzie Tuska.

To były jeszcze czasy, kiedy kobieta na takim stanowisku wywoływała śmiech i powszechne kpiny. Oto przykład z Onetu: „Słynąca z urody nowa minister sportu dr Joanna Mucha jest jedną z największych niespodzianek w nowym rządzie. Opozycja już od początku nie zostawia na niej suchej nitki. Politolodzy również powątpiewają w jej kompetencje i dokonania twierdząc, że ma być tylko kolejnym »ładnym rzecznikiem« rządu Tuska. Jednak Mucha wyszła już z niejednej politycznej opresji zwycięsko i cieszy się ogromnym społecznym zaufaniem. Zaufał jej też Donald Tusk, powierzając zadanie specjalne: dokończenie projektu Euro 2012”.

Jest „obiektem westchnień wielu kolegów z PO” – mówił Janusz Palikot, wówczas jej partyjny przyjaciel z Lublina.

– Joanna Mucha jest dzisiaj absolutną faworytką do rozkładówki w „Playboyu”. Czytelnicy bardzo chcieliby zobaczyć panią minister sportu w stroju Ewy – stwierdzał Marcin Meller, wtedy redaktor naczelny słynnego pisma dla mężczyzn.

Kiedy Mucha poprosiła, aby zwracano się do niej „pani ministro”, dziennikarze pisa-

kę polegającą na zmienianiu rzeczywistości. Tej polityki, nie rozumiem, jest bez sensu i nie akceptuję.

Mucha zwróciła uwagę, że nie zbudowała frakcji partyjnej, ale opowiadała też o nieobecności kobiet w debacie publicznej. Właśnie wtedy lansowała parytet na listach wyborczych, czyli mechanizm, który dziś jest normą w partiach liberalnych. Głośno mówiła o tym, że 15-latkę powinny móc samodzielnie, bez rodziców, chodzić na wizyty ginekologiczne i o Konwencji Stambulskiej o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet.

Dymisja Muchy była tym bardziej niezrozumiała, że nie tylko dawała skoncentrowanej na administrowaniu i „niewtrącaniu się” Platformie postępowy, zaangażowany, „za-chodni” listek figowy, ale też załatwiała konkret. I to bliskie sercu premiera: dowiozła projekty upowszechnienia sportu, opracowała wiele strategii, które miały doprowadzić do rozruszania dzieci i młodzieży.

A były to czasy relatywnego spokoju politycznego i społecznego, rząd mógł zajmować się takimi projektami, jak budowa piłkarskich „orlików” we wszystkich gminach czy rozwijaniem sieci autostrad. Ta słynna ciepła woda w kranie płynęła również dzięki pracy Joanny Muchy. Choć zdarzało jej się sparzyć – jeszcze do niedawna musiała się tłumaczyć z przekazania 6 milionów z rezerwy budżetowej na organizację koncertu Madonny na Stadionie Narodowym w 2012 r. Broniła się, że pieniądze i tak miały trafić na działania promocyjne.

W kolejnych latach nie mogła się odnaleźć w Platformie Obywatelskiej. Choć nadal się starała: w 2017 roku, kiedy wszyscy – od zesperowanych polityków demokratycznej opozycji, przez lewicowych, centrowych i liberalnych publicystów po przejętych łamaniem prawa wyborców – zastanawiali się, jak przełamać dominację odpornej na wszelkie zarzuty i afery socjalno-bogoojczyń-

nej PiS-owskiej prawicy, przygotowała program reformy PO. Pisała o bezpieczeństwie socjalnym i zdrowotnym obywateli, poprawie jakości zatrudnienia i rynku pracy, dofinansowaniu nauki, postawieniu na innowację, nie tylko na usługi i produkcję, o reformie edukacji.

Partyjni liderzy zlekceważyli jej opinie. Przewodniczący Grzegorz Schetyna, który po wyborczej klęsce 2015 roku dostał od rezydującego w Brukseli Tuska zadanie ogarnięcia partii, stwierdził jedynie, że program Muchy jest „ciekawym”, a Jan Grabiec – dziś szef kancelarii premiera, wtedy rzecznik PO – przyznał szczerze, że nie miał czasu się z nim zapoznać.

Za to kiedy na przełomie 2019 i 2020 roku rzuciła wyzwanie Schetynie i chciała zostać przewodniczącą PO, w partii mówili o niej: „nasz Piotruś Pan w spódnicy”.

Już po przejściu do Polski 2050 w 2021 r. mówiła w Onecie, że PO „tak zafiksowała się na tym, że nienawidzi PiS, iż przestała dostrzegać cokolwiek innego wokół siebie, przestała być autorefleksyjna. W ten sposób nie wygra się wyborów”. – W trakcie kampanii wyborczej na przewodniczącą PO mówiłam, jakie są choroby Platformy. Że bycie totalną opozycją nas zabije. Wiedziałam, że media publiczne będą to wykorzystywać przeciwko nam, ale to był ostatni moment na mocne potrząśnięcie Platformą – wspominała.

I tak jak dzisiaj: żaden z partyjnych liderów nie był zainteresowany obroną Joanny Muchy. Na przemian lekceważyli ją i usadzali i partyjni baronowie, i partyjni aktywi, ale nie wyborcy – w wyborach parlamentarnych zdobywała rekordowe wyniki, włącznie z ostatnimi w październiku 2023.

Polityczna biografia Joanny Muchy – nawet jeśli, jak uważał przez lata Palikot, oparta na zdradzie i zakulisowej grze – jest typowym przykładem wypychania z życia publicznego merytorycznych, świetnie przygotowanych, sprawnych polityczek. Kiedy w 2017 roku Mucha opowiadała o dysfunkcyjnej partii, która skupia się jedynie na nieustannym atakowaniu PiS, proponowała tak naprawdę nową strategię polityczną, zarys programu oraz sposoby na ogarnięcie się i odzyskanie energii. Czyli to samo, co dziś, kiedy skrytykowała sztab i kampanię Trzaskowskiego.

Skończyło się też tym samym, co osiem lat temu: irytacją partyjnych liderów oraz na poły zbywającymi, na poły lekceważącymi komentarzami o tym, że program partii wisi na stronie internetowej PO. – Dokument jest zawieszony na stronie Platformy, można się z nim zapoznać. Jak już pani poseł Mucha ma z tym problem, to mogą wskazać miejsce – mówił Sławomir Neumann, ówczesny szef klubu parlamentarnego PO.”.

Antropolożka, filozofka i feministka Rebecca Solnit w eseju „Mężczyźni objaśniają mi świat” pisała, że „kobiety są systematycznie wykluczane z dyskursu i władzy, nie dlatego, że nie mają nic do powiedzenia, lecz dlatego, że systemy władzy chcą zachować status quo, w którym dominują mężczyźni”. W innym miejscu dodawała: „Zmienianie świata zaczyna się od zmiany opowieści, które słyszymy o tym, kim są kobiety i co mogą osiągnąć. Bez tego wypchnięcie ich z polityki i innych sfer życia publicznego będzie trwało nadal”.

Skoro koalicja rządząca nie zmieni prawa aborcyjnego – najpierw, bo „przecież Duda i tak zawetuje, a wybory prezydenckie za pasem i rozdrażnimy konserwatywny elektorat”, teraz, „bo przecież Nawrocki i tak zawetuje, a wybory parlamentarne za pasem i rozdrażnimy konserwatywny elektorat” – to powinna w jakiś inny, choćby czysto wizerunkowy sposób, za wszelką cenę udowodnić, że stoi po stronie praw kobiet.

A nic tak nie działa na wyobraźnię, jak dzielenie się władzą i uchwalanie mechanizmów włączających kobiety – zwłaszcza wyłamujące się ze schematu zdyscyplinowanej i wiernej partyjnej czynowniczki – w życie publiczne. Lekcje Joanny Muchy i Rebeki Solnit są cały czas aktualne. ●

Laureat Pulitzera:
instrukcja przetrwania w USA

Joan Didion
w kubańskim Miami

KSIAŻKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

NR 3 (72)
czerwiec 2025
cena 19,99 zł
(w tym 8% VAT)
indeks 276073
www.wyborcza.pl

Bolesław Prus
JAKĄ LALKE
CHCIAŁBY
ZOBACZYĆ DZIŚ?

W SPRZEDAŻY,
RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ
DO PACZKOMATU

brzydź się plotkowania
czego wolimy wiedzieć

Sponsor numeru:
John le Carré

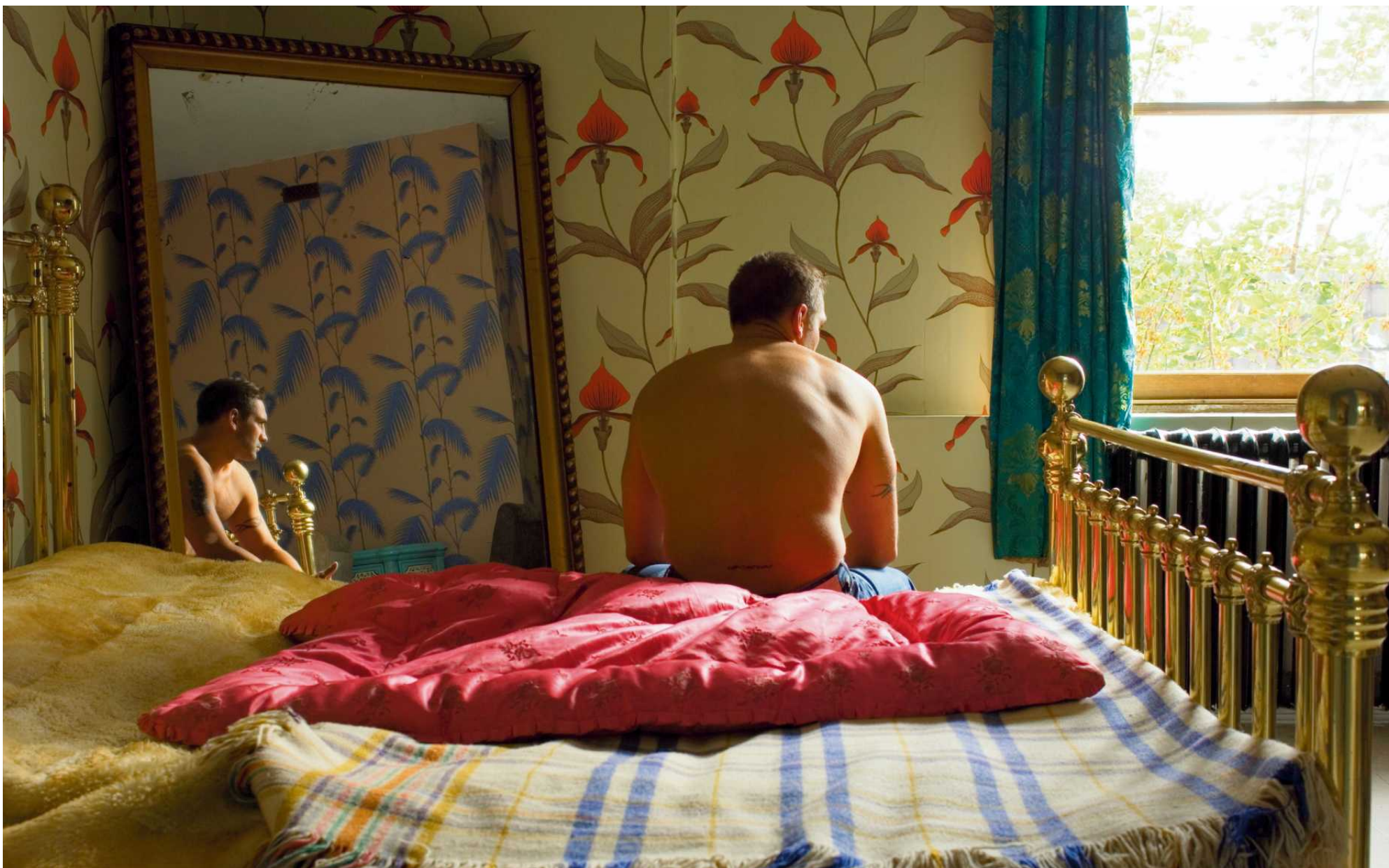
**KSIAŻKI
NA LATO
POLECAJĄ:**
• Bator • Szczygiel
• Bieńczyk • Łyskawa
• Chmielarz • Orbitowski
• Dauksza • Dybczak

- + „Lalka” na ekrany! Co Prus radziłby dziś filmowcom?
- + Plotkowanie ratuje świat
- + John le Carré: szpieg, który został mędrce
- + L jak Lśnienie, a k jak król. Nie tylko grozy. Alfabet Stephen Kinga
- + polecajki książkowe na plażę

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

Gdzieś *Znikło* wszystko, co kocham



FOT. GETTY IMAGES

Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy moja żona zapytała mnie, czy jestem szczęśliwy.

Tomasz Jakubowski

PIOTR: – Oglądałem w sieci taki film. Ankieter pytał kobiety z długim stażem małżeńskim o związki. W pewnym momencie pyta jedną z nich, czy jest szczęśliwa. Ta odpowiadała, że owszem, tak.

Następne pytanie dotyczy męża: czy ona myśli, że on jest szczęśliwy? – Nie wiem, chyba tak. Gdyby był nieszczęśliwy, to chyba by ode mnie odszedł – odpowiedziała.

Pomyślałem wtedy najpierw, że jak można tego nie wiedzieć! Potem próbowałem sobie przypomnieć, kiedy moja żona zapytała mnie o to, czy jestem szczęśliwy. Kompletna pustka. Jeśli o to pytała, to musiało być wiele lat temu.

– A jesteś szczęśliwy?
– Momentami.
– Odczuwasz samotność?
– Chyba częściej niż szczęście.
– Samotność nie jest brakiem kontaktów społecznych, ale brakiem bliskości – mówi mi **prof. dr hab. Tomasz Szlendak** z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. – Jednak sieć wsparcia u kobiet jest dużo większa niż u mężczyzn. One przeprowadzają rozmowy pozwalające rozładować problemy. U mężczyzn nie ma prawie w ogóle takich rozmów, jest wymiana informacji, ale nie rozmowy emocjonalne – podkreśla socjolog.

– Mężczyźni nie są nauczani, by takie rozmowy z siebie wyrzucać, nie ma takiego obyczaju nawet. I przez to cierpią bardziej. Do tego proszę zwrócić uwagę, że dziś o samotności mężczyzn częściej czyta się w prasie kobiecej, a nie męskiej.

Jedną z opowieści usłyszałem na przerwie podczas spotkania służbowego, inną od współpasażera w samolocie, zupełnie obcego człowieka. Niektóre były bardzo podobne, niemal identyczne. Może istnieje taki typ mężczyzny, który działa według schematu, pakuje się w te same pułapki?

5

• RAZY WIĘCEJ MĘŻCZYZN
niż kobiet popełnia samobójstwo

• Z badań doktora Piotra Mroczy z Klubu Jagiellońskiego – prawnika specjalizującego się w prawie karnym i kryminologii oraz prawie medycznym i prawach pacjenta – wynika, że samobójstwa popełniają najczęściej osoby dojrzałe, znajdujące się w drugiej połowie życia. Grupą najbardziej zagrożoną są mężczyźni w wieku od 45 do 54 lat.

Rozmawiałem z mężczyznami w związkach, na pierwszy rzut oka szczęśliwymi, dobrze zarabiającymi, mającymi pasje, spełnionymi w pracy. Mającymi nie tylko rodzinę, ale i sporą grupę znajomych. Takimi, którzy nie muszą na nic narzekać, bo mają niemal wszystko. I których łączy właśnie to „niemal”. Czują się samotni.

JAN: – Tak, myślałem kilka razy o wzięciu rozmyślenia, rozstaniu się. Dobro rodziny, dzieci – to wszystko okazało się silniejsze. Żona jest szczęśliwa. Przynajmniej tak mówi. Ma już wymarzony dom, dzieci, ułożonego, wychowanego i dobrze zarabiającego męża, który nawet czasem podziela jej pasje. Rozwód byłby dla nas potężnym ciosem, choć zapewne dużo większym dla niej. To pewnie byłaby tragedia. Nie tylko osobista. To byłby wstyd przed jej dość konserwatywną rodziną, że nie wyszło, że dzieci będą z rozbitej rodziny. Bo jesteśmy dla innych wzorem.

Kocham swoją żonę, ale coraz częściej czuję się uwięziony. Trochę jakbym był z innej planety lub szpiegiem przez lata udającym kogoś innego. Jakbym czekał na rozkaz powrotu do „domu”.

– Samotność to jest bardzo subiektywne odczucie – mówi **prof. dr hab. n. med. Błażej Misiak** z Katedry i Kliniki Psychiatrii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Pojawia się wtedy, gdy nie jesteśmy zadowoleni z liczby lub jakości kontaktów społecznych. To jest coś, co nie jest obiektywne do oceny przez jakiegokolwiek badacza i tym się różni samotność od izolacji społecznej, która jest obiektywną miarą wskazującą na niską liczbę kontaktów społecznych.

MAREK: – Moja żona jest w oczach wielu osób cudowną kobietą. Tylko ona nie widzi, że jej starania dotyczą domu i dzieci, ale już nie mnie. To jest wspinała kobieta, na prawdę. Tylko po urodzeniu się dzieci ja jako osoba, mężczyzna właściwie przestałem istnieć, stałem się niewidzialny.

Duży dom to masa obowiązków, monotonia, stały cykl działań, łatwo popaść rutynę, nas też to dopadło. Staralem się więc co jakiś czas przerwać to, albo wysyłając dzieci do rodziców i zapraszając ją na wykwinną kolację, albo organizując jej czas, by spędziła go sama, bez dzieci, żeby miała ten czas tylko dla siebie.

Dajesz innym oparcie, a potem już tak zostaje: nie możesz pełnić innej funkcji, masz być tym silnym, na którego mogą liczyć inni. Ale sam przestajesz być ważny, znikasz z dnia na dzień.

Ona bierze na siebie cały ciężar, wiecznie jest zmęczona. To nie znaczy, że ja nie mam obowiązków lub że w ogóle można ich nie mieć. Czasem ją uspokajam, że musi odpocząć, ale zawsze jest coś do zrobienia. Nie umie odpoczywać, nic nie robić. Ale w sumie ma przecież rację, nie? I nie można nawet na ten temat dyskutować, podejmowałem takie próby. Po prostu nie wierzę, że życie składa się tylko z obowiązków dnia powszechnego, planowania dni, pamiętania o wszystkim. Tak, to niezwykle ważne, ale nie można zapomnieć o partnerze.

Nie mamy problemów łóżkowych czy finansowych, dzieci są zdrowe. Tylko jakby o mnie się w tym wszystkim nie pamiętało.

Prof. Misiak: – Nasze badania pokazały, że mężczyznom o wiele trudniej przyznać się do wszelkich problemów natury psychicznej. Problemy mężczyzn mają często bardziej podstępny przebieg, ponieważ są ukrywane przed otoczeniem czy nawet samym sobą.

PIOTR: – Zauważyłem kiedyś taką rzecz. Gdy moje dziecko uległo poważnemu wypadkowi i znalazło się w szpitalu, bliscy pytali żonę, jak sobie radzi. Pytali też o to nas, szczerze się martwili. Ale nikt nie zapytał mnie, jak ja sobie z tym radzę. Z góry założono, że mam być twardy, stanąć na wysokości zadania.

JAN: – To nie jest taka rzecz, którą łatwo powiedzieć głośno. Znów będzie, że marudzę, w jej oczach pewnie przestanę być twardy, powie, że mam wszystko, że wymagam za dużo, że przechodzę kryzys, a na koniec pójdziemy do łóżka i sprawa znów przycichnie. Nie umiem wprost powiedzieć: „Wiem, że mnie kochasz, jesteś wspaniałą matką, zasuwasz jak mrówka, ale ja czuję, że mi czegoś brak”. Wyjdę na dumnia, zrobię z siebie duże dziecko.

Sam zresztą łajam się za takie myślenie: „Masz wszystko, czego, do cholery, jeszcze chcesz?”. Dziś znam odpowiedź. Chciałbym przez krótką chwilę przestać być samotny. Bo gdzieś tam, w środku, we mnie jest cholernie samotny facet. Mimo tego wszystkiego, co mam.

– Jak sobie radzisz?

– Uciekam w aktywności, głównie fizyczne: rower, siłownia, basen.

Prof. Szlendak: – Mężczyźni rzadziej mają możliwość wyżalenia się, bo to jest brane jako słabość. I oni o tym wiedzą, że przyznanie się do braku kontaktów jest jednoznaczny przyznaniem się do życiowej porażki. A brak bliskości wzmagą poczucie izolacji, do tego elementarny brak dotyku na poziomie fizycznym. Kobiety w większości nie mają tego rodzaju problemów. Ich samotność rozumiana jest często jako brak partnera w związku. W przypadku mężczyzn samotność oznacza często całkowitą

izolację, mężczyźni są pozbawieni jakichkolwiek kontaktów, nie tylko bliskości.

MAREK: – Choć kocham swoją żonę, to czasem boję się tego, że się nagle zakocham. Tak głupio, w jakimś podlotku, dziewczynie młodszej o 20 lat. I „zabujam się” jak ten dureń, jak kiedyś premier Marcinkiewicz w Izabelli, bo ona będzie miała to, czego mi tak cholernie brakuje. Prostej czułości, którą pamiętam sprzed lat. Wspólnego przytulania, dotyku, ale związanego nie z seksem, tylko właśnie z czułością.

– Rozmawiałeś o tym z żoną?

– Wielokrotnie. Ona traktuje to bardzo poważnie, zawsze bierze winę na siebie, uważa, że zawiodła jako żona. I zwykle kończy się to tym, że to ja muszę ją pocieszać.

JAN: – W pewnym okresie życia zaczynaś inaczej liczyć lata. Nie „ile masz?”, ale „ile zostało”. Czas przyspiesza. To nie musi być skończenie tej słynnej czterdziestki, to może być pięćdziesiątka. Nagle dostajesz obuchem w nos: „A więc tak ma wyglądać moje życie do końca?”. Bo już wiesz, tak będzie, że zostało ci te kilkanaście, może kilkadziesiąt lat życia, ale że ono już się kończy. I choć masz wszystko, zaczynasz przestawać wierzyć w sens tego. Zaczynasz pytać sam siebie, co będzie, gdy cię zabraknie.

I okazuje się, że nic. Że jeśli znikniesz, wszystko będzie toczyło się wytyczonym przez ciebie szlakiem, bo przecież przygotowywałeś dzieci do samodzielności, żeby poradziły sobie, gdy cię nie będzie. A wtedy pojawiają się myśli samobójcze. Bardzo niebezpieczny moment.

Prawie każdy z moich rozmówców przyznał, że pojawiały się u niego takie myśli.

Moja żona nie ukrywa, że „pracuje” nade mną, bym stał się „lepszy”. Mówi mi jak mam postępować, jak żyć, organizuje mi moje życie. Poprawia mnie, wytyka błędy i wszystko to robi „z miłości”

Prof. Błażej Misiak zwraca uwagę, że niezależnie od statystyk to kobiety częściej dokonują prób samobójczych. Ale tych najtragiczniejszych, bo udanych, kończących się śmiercią, dokonują mężczyźni.

– Mężczyźni robią to dużo skuteczniej – podkreśla psychiatra.

PIOTR: – Moja samotność wynika z tego, że choć jestem już po rozwodzie, żona nie chce mnie do końca zostawić, nie pozwala też na stworzenie nowego związku. A ja nie umiem się jej twardo postawić, bo w sumie jest jedyną osobą, którą mam i którą wciąż kocham.

Piotr poznał swoją żonę kilkanaście lat temu. – Byłem na tyle zakochany, że przeprowadziłem się dla niej do stolicy, pozostawiając bliższą rodzinę i znajomych daleko. Szybko urodziło nam się dziecko, szybko dorosło, to były szczęśliwe lata. I szybko się okazało, że im dłużej jesteśmy ze sobą, tym bardziej żona woli spędzać czas ze swoimi znajomymi niż ze mną. W pewnym momencie tak rozeszły nam się drogi, że nie było mowy o zejściu. Rozwidliśmy się, żona się wyprowadziła. Roz-

50

• PROC.

nawet tyłu Polaków w wieku od 18 do ponad 80 lat może odczuwać samotność przewlekłą, pogłębioną i wieloletnią – wynika z badań naukowców z Katedry Psychiatrii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu

stailiśmy się w zgodzie, nie mam tu zamiaru rzucać winy na nią czy siebie.

Chwilę trwało, nim się otrząsałem, ale się udało. Zacząłem myśleć o kimś w moim życiu, nie chcę sam się zestarzeć, mało kto chyba chce. Próbowałem randkować przez aplikacje, ale to nie szło, szybko się zorientowałem, że to nie dla mnie.

Im dłużej nie mieszkam z żoną, tym bardziej interesuje się moim życiem. Czasami wpada i mi gotuje, czasem zaprasza na swój wernisaż. I doprowadza do sytuacji, w której myślę, że się zejdziemy. Tymczasem to nie tak. Mamy wąskie grono znajomych i w sumie zawsze wie, co się

tomiaś u kobiet jest inaczej. One częściej i z lepszym skutkiem szukają pomocy czy u specjalistów, czy osób bliskich.

Prof. Szlendak: – Kultura wizualna portali społecznościowych jest na pewno jedną z przyczyn samotności. Mechanizmy aplikacji sprzyjają uwypukleniu atrakcyjności i w związku z tym podnoszeniu atrakcyjności kobiet, którym na dwuwymiarowych zdjęciach łatwiej zaprezentować własną atrakcyjność niż w przypadku mężczyzn. A na atrakcyjność składa się dużo więcej niż fizys, zdjęcia nie zdradzają atrakcyjnego głosu, inteligencji, przez co profile męskie są oceniane w tych portalach niżej, przeciętne kobiety dostają więcej odpowiedzi zachęt i w ten sposób podnosi się ich atrakcyjność.

I znów: nikt tu nie jest winny, taki jest mechanizm dzisiejszego randkowania.

MICHAŁ: – Nie jestem w związku. Raczej w związkach. I chyba sam jestem winny swojej samotności. Rozstałem się z żoną, powodów było wiele, nie będę zrzucał winy na którąś ze stron. Chodziło głównie o łóżko, w moim małżeństwie seks zamienił się w system kar i nagród. Chyba nikt nigdy nie usłyszał w życiu tyle razy co ja, że ma „szlaban na seks” lub „dziś śpisz na kanapie”. Potrafiła przy znajomych powiedzieć „jeszcze raz tak się odezwiesz, i z seksu nici przez tydzień”, co zwykle bawiło moich przyjaciół.

To już przeszłość. Wiem, że przyciągam kobiety, dbam o siebie, dobrze wyglądam, dostawałem wcześniej wiele sygnałów, ale w małżeństwie byłem wierny. No to po rozstaniu zacząłem z tych propozycji korzystać. To były głównie szczęśliwe mężatki znudzone codziennością. Pasował mi ten układ, był moment, że miałem kilka takich „związków” naraz. I nie musiałem o nic prosić. Nie ponosiłem też tak zwanych dodatkowych kosztów, jak: urodziny dzieci, święta, wizyty u teściów, planowanie wakacji. One po wszystkim wracały do swojego domu, zawsze lojalne wobec rodziny.

Zmieniło się, gdy skończyłem 50 lat. Nagle zostałem sam, bo im podobało się tak, jak było do tej pory. Gdy rozpocząłem rozmowę o czymś trwałszym, zaczęły znikać z mojego życia.

Wcale nie ukrywam, że nie chciałbym na starość zostać sam. I nagle wszystkie te kobiety grzecznie wróciły do swoich mężów, przestałem być dla nich interesujący. Dziś wciąż jestem w kilku takich „związkach”, czyli sam.

– I jak sobie z tym radzisz?

– Na co dzień sport, wysiłek fizyczny, udzielam się w różnych akcjach, musiałem jakoś umeblować tę pustkę.

Prof. Szlendak: – W istocie bardzo często kobieca samotność nie jest samotnością rozumianą w znaczeniu psychologicznym czy społecznym, co wynika z faktu, że kobiety częściej są otoczone większą liczbą bliskich osób. Nie narzekają na brak bliskości czy kontaktów. Ta samotność często rozumiana jest jako brak partnera w związku.

W przypadku mężczyzn samotność oznacza często całkowitą izolację. Mężczyźni są pozbawieni jakichkolwiek kontaktów, nie tylko tej bliskości.

PAWEŁ: – Przyznam, że nawet boję się mówić o tym z innymi i nie mówię publicznie. Dlaczego? Bo w moim małym i dość liberalnym środowisku jakkolwiek krytyka kobiet to niemal natychmiastowe oskarżenie o mizoginię, o chęć powrotu do lat 50.

Ja też walczyłem o równouprawnienie. Też chodziłem na protesty i krzyczałem: „Ani jednej więcej!”, bo uważałem i wciąż uważam, że tak po prostu trzeba, że należy walczyć o elementarne, ludzkie prawa kobiet. Zostawałem w dzieciach w domu lub brałem wolne z pracy, by żona mogła pójść na protest. Dziś czuję się, jakbym dostał rykoszetem. Mam wrażenie, że żona, która głęboko zaangażowała się w sprawę, przy-

okazji głęboko znienawidziła wszystkich mężczyzn, w tym mnie. A ja się czuję winny przed sobą, bo się do tego przyczynilem.

Jestem w miejscu, w którym nie chciałby się znaleźć żaden facet: mieszkam z osobą, którą kocham, a która mnie nienawidzi. A ja nie wiem za co.

Nie mam zamiaru narzekać na kobiety zasadniczo, tu chodzi wyłącznie o nas. O mnie. Zostałem odsunięty nie tylko od żony, ale też od córek. Czyli niemal od wszystkiego, o czym kiedyś marzyłem. Jestem piętnowany, moje zachowania są „przemocowe”, „wynikają z mizoginii”. Wciąż muszę walczyć, tym razem nie z politykami, ale z własną żoną.

Jestem mężczyzną, więc z definicji jestem dla niej zły. Żona stworzyła ramkę, formę, w którą mnie codziennie wlewa. Tkwią w jakimś chorym schemacie, a w jej przekonaniu innych form już nie ma. Moje próby zmiany tego tylko ją utwierdzają, że to ona ma rację.

Zwróćcie uwagę, ile jest w mediach artykułów, w których robi się z facetów przemocowych potworów i stale polaryzuje obie płcie. Nie znaczy to oczywiście, że faceci lub kobiety są lub nie są winni. Ale to chyba poszło w złą stronę, bo dziś po uszach dostają też ci dobrzy, którzy chcieli i wciąż chcą równouprawnienia, a z których stale się robi w mediach wroga. Obserwuję to szczególnie w prasie kobiecej. A wyobrażacie sobie taką gazetę, ale w drugiej stronie? W której opisywano by każde zachowanie negatywne kobiety jako przemoc wobec drugiej płci?

– I co z tym zrobisz?

– To, co się dzieje u mnie od kilku lat, to prosta droga do rozpadu mojej rodziny. I pewnie tak będzie: wyjdę na przemocowca, faceta, który porzucił najbliższych. Póki co jestem z tym sam.

Specjaliści zauważają, że rewolucjonści najczęściej zostają pierwszymi ofiarami wszelkich rewolucji, jeśli zaś taki mężczyzna jest najbliższą partnerką i mamy do czynienia z bliskim związkiem, to na nim skupi się definiowanie przez nią zachowań „przemocowych” czy „patriarchalnych”. Podkreśla się też, że głębokie zaangażowanie w daną sprawę może oznaczać nieświadomy brak liczenia się z najbliższymi i ich potrzebami.

ARTUR: – Moja żona nie ukrywa, że „pracuje” nade mną, bym stał się „lepsz”. Mówi mi, jak mam postępować, jak żyć, organizuje mi moje życie. Poprawia mnie, wytyka błędy i wszystko to robi „z miło-

W pewnym okresie życia
zaczynasz inaczej liczyć lata.
Nie „ile masz?”, a „ile zostało”.
To nie musi to być skończenie
tej słynnej 40-stki, to może
być 50-tka. Nagle dostajesz
obuchem w nos. Zaczynasz pytać
sam siebie, co będzie, gdy cię
zabraknie. I okazuje się, że nic

ści”. Czyli wychowuje tak, jak wychowywała mnie matka. Czasem nią po prostu jest. Wtedy cały mój romantyzm idzie w piach, znika pożądanie. Za każdym razem, gdy mnie poprawia, gdy rozwiązuje jakiś mój problem, gdy decyduje za mnie, dla mojego dobra, wiem, że nie będę miał na nią ochoty.

Próba powiedzenia jej o tym spełza na niczym, zamienia się w potężną kłótnię i nawet się temu nie dziwię.

MARCIN: – Wiem, że moja żona jest na mnie zła, bo niewiele mówię o swoich emocjach. A ja cichnę, bo czuję, że przestaję w czymkolwiek wygrywać. Nie chodzi mi o kłótnie. Po prostu czuję, że wszystko, co robię, robię źle, moje działania są nierozumiane. Więc wycofuję się, milknę. Rzucaję w wir pracy, w telewizję, w hobby. Nie umiem być romantyczny, ale nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego, że zostanę odrzucony. I nie mam słów na to, jak to wyjaśnić.

Dla innych na zewnątrz wygląda to tak, jakby mnie nic nie obchodziło, ale ja wewnątrz tonę. Zapadam się w sobie. Kiedy milczę, chronię siebie przed kolejnym rozczarowaniem.

ARTUR: – Mnie nie uczono języka emocji. Zamiast mówić, działałem. I głębiej zapadam się w siebie, bo każda próba „naprawy” z jej strony to nacisk. Oczywi-

ście jej to nie wychodzi i czuje się rozczarowana, więc winę zrzuca na mnie. A wystarczyłoby nie robić nic, poczekać, aż sam się odezwę. I wtedy z uwagą wysłuchać i spróbować zrozumieć. Nie atakować, nie oceniać. Być ze mną jak z partnerem, na równi, a nie działać z pozycji siły. Dać mi szansę, czasem schować swoje ego do kieszeni.

ROBERT: – W dużym skrócie: Mamy wspólnie dzieci, kupiliśmy dom pod Warszawą na kredyt. Źle zaczęło się robić w momencie, gdy żona awansowała i zaczęła zarabiać dużo więcej niż ja. Z dnia na dzień, chwila po chwili zacząłem dostawać od niej – najpierw delikatne, potem coraz silniejsze – sygnały, że jestem od niej gorszy, że ona i tak dałaby sobie radę, gdyby była sama, że w sumie jestem jej już niepotrzebny. Zupełnie zapomniała o latach, gdy to ja nas utrzymywałem. A potem to narastało. Przy wielu okazjach podkreśla moje niskie zarobki, zwłaszcza gdy się pokłócimy, choć raczej nie o pieniądze. Bez żenady mówi, że „jak mi się nie podoba”, mogę się wyprowadzić, a ona „sobie świetnie poradzi”.

Słyszę to bardzo często, od lat. Później się oczywiście godzimy, ale za kilka dni znów się zaczyna, szczególnie gdy ona coś zawali lub gdy zabraknie jej argumentów.

W takich momentach zaciskam zęby. Bo jaką mam alternatywę? Stracę rodzinę. To, co kocham, co budowałem przez tyle lat. Ważę to na takiej mojej niewidzialnej wadze i stale mi wychodzi, że muszę wytrzymać, że inni mają gorzej.

Zawsze się jakoś godzimy, są też w naszym życiu wspaniałe chwile. To nie tak, że codziennie cierpię. Chodzi o to, że wciąż towarzyszy mi poczucie, że nie dałem rady jako mężczyzna. A przypominanie mi o tym, że zarabiam dużo mniej, że to ona spłaciła nasz kredyt, zapłaciła za drogie wakacje, nowy samochód, sprzęt, że to wszystko właściwie idzie z jej środków, na pewno niczego nie ułatwia.

Ja wołałbym dziś tego nie mieć i wrócić do tych starych czasów, gdy nie byliśmy może tak majątni, ale na pewno szczęśliwsi. A najbardziej wkurza to, że widzę, jak oddalamy się od siebie, że codzienny dystans między nami rośnie, że za chwilę nie będzie już co zbierać z podłogi, szczególnie gdy dzieci wyprowadzą się z domu. To mnie wewnętrznie niszczy.

– A jak sobie radzisz na co dzień?

– Emigracja wewnętrzna. Skupiam się na domowych i służbowych obowiązkach, niestety czasem uciekam w alkohol.

Prof. Szlendak: – Każdą traumę, którą się przeżywa, trzeba czymś zalać, wypełnić ten czas, na przykład nałogowo oddać się jakiejś czynności, żeby się od złego bodźca oderwać. Mężczyźni mają dużo większą skłonność do nałogów, łatwiej tracą nad tym kontrolę. Jednocześnie mężczyznom łatwiej zamiatać to pod dywan. I ja-koś w tym trwać.

Prof. Misiak: – Osobom, które mają rozbudowaną sieć kontaktów społecznych, ale odczuwają samotność, interwencja polegająca na zachęcaniu do interakcji z drugim człowiekiem nie pomoże, często pogłębiając poczucie dyskomfortu. Takie osoby mają dużo znajomych, osób bliskich, ale mimo to odczuwają samotność. To nie jest interwencja dla nich. Potrzebne jest przyjrzenie się temu i zrozumienie, co leży u podłoża ich samotności.

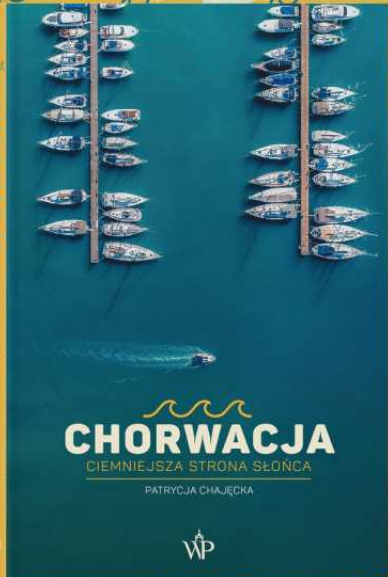
Z badań zespołu naukowców z Katedry Psychiatrii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, który przez wiele miesięcy badał zjawisko samotności w Polsce, wynika, że czynnikami ryzyka przewlekłej samotności nie jest miejsce zamieszkania, status zatrudnienia, zagrożenia związane z utratą pracy ani wysokość zarobków. Jedynym demograficznym czynnikiem ryzyka jest płeć.

REKLAMA

Kraj/34379232

Chorwacja – mozaika opowieści,
historii i malowniczych
krajobrazów.

Poznaj jej nieznane oblicze!



ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje
nam się

Kulisy infiltracji Iranu przez Mosad

TO, CO ZROBILI,
PRZEKRACZA
WYOBRAŹNIĘ

Operację, którą Izrael rozpoczął wojnę, poprzedziły długie przygotowania służb wywiadowczych, z którymi mogą się równać jedynie niektóre działania ukraińskiego wywiadu przeciwko Rosji.

Guillaume de Dieuleveult, Delphine Minoui

LE FIGARO

KORESPONDENCJA Z JEROZOLIMY

Jesteśmy gotowi na każdy scenariusz!” – zapewniał jeszcze 12 czerwca generał Hosejn Salami, szef Gwardii Rewolucyjnej (Pasdaranu), przed kamerami irańskiej telewizji. Kilka godzin później ten wysoki rangą oficer i jeden z najbliższych ludzi najwyższego przywódcy, ajatollaha Chameneiego, był jedną z pierwszych ofiar operacji „Rising Lion” – zginął w zaatakowanej kwaterze głównej dowództwa Gwardii.

„To nie tylko porażka militarna: to upadek mitu. Reżim, który przez dziesięciolecia budował swoją legitymację na zapewnianiu o strategicznej nietykliwości i ‘oporze’ wobec dwóch szatanów, małego, czyli Izraela, oraz dużego, czyli USA. Tymczasem nie był nawet w stanie chronić własnych kluczowych dowódców”, zauważa irański dziennikarz Sharareh Mehboudi, który schronił się w Paryżu.

Nie ma najmniejszych wątpliwości: wyeliminowanie w ciągu niecałego tygodnia ponad dwudziestu czołowych irańskich wojskowych, urzędników i naukowców oraz zniszczenie strategicznych obiektów obnażyło słabość irańskiego aparatu bezpieczeństwa oraz ekspozycję reżimu na działania izraelskich służb wywiadowczych. Te ostatnie infiltrują Islamską Republikę coraz skuteczniej od kilku lat.

Sabotaż na terytorium wroga

Tej samej nocy 13 czerwca, kiedy 200 izraelskich myśliwców wystartowało, by uderzyć na Iran, „żołnierze cienia” wkroczyli do akcji.

Po raz pierwszy w swojej historii izraelska armia rozpoczęła taką operację: zmasowany, skoordynowany atak ponad 1500 kilometrów od swojego terytorium. Izraelscy piloci wiedzieli, że ich powodzenie zależało od skuteczności zespołów Mosadu na terytorium wroga.

Te oddziały, najprawdopodobniej złożone głównie z Irańczyków zwierzbowanych przez izraelski wywiad, są nadal w Iranie i mają dwa cele. Po pierwsze, zdekapitować reżim: zabić szefów armii, ludzi z otoczenia Chameneiego i naukowców odpowiedzialnych za program nuklearny. Po drugie, zneutralizować zdolność irańskiej armii do reagowania i odwetu.

Te dwa elementy są ze sobą powiązane. „Od czasu wojny z Hezbollahem jesienią ubiegłego roku wiemy, że aby zneutralizować zdolności armii, trzeba nie tylko uderzyć w jej infrastrukturę wojskową, ale także punktowo eliminować tych, którzy nią dowodzą”, podkreśla podpułkownik Sarit Zehavi, izraelski oficer rezerwy i założyciel think-tanku specjalizującego się w kwestiach bezpieczeństwa.

Oficerowie zabici w swoich sypialniach

Zabójstwa podczas pierwszej nocy oddają stopień wiedzy o strukturze reżimu ajatollahów zdobytej

przez agentów Mosadu. Niektórzy wysocy rangą oficerowie zostali zabici w swoich sypialniach przez drony kamikadze, innych izraelska armia zbombardowała w bunkrze, bo wiedziała, że tam się zbiorą po wszczęciu alarmu.

Te ataki sparaliżowały proces decyzyjny irańskiego aparatu bezpieczeństwa, ale inne zespoły operacyjne pracowały w tym samym czasie nad zneutralizowaniem jego ogólnych zdolności do reagowania. Sima Shine, była oficer Mosadu i specjalistka ds. Iranu w Instytucie Studiów nad Bezpieczeństwem Narodowym w Tel Awiwie, sama wciąż jest zdumiona skalą tej operacji. „To, co zrobiono, jest poza wyobraźnią”, mówi. Według niej, zespoły Mosadu działały na trzech frontach jednocześnie.

„W środkowym Iranie rozmieszczono systemy precyzyjnego naprowadzania w pobliżu miejsc, w których stacjonują baterie pocisków ziemia-powietrze. Mosad potajemnie rozmieścił zaawansowane technologicznie systemy uderzeniowe na pojazdach – był to sposób podobny do tego, co Ukraińcy niedawno zrobili w Rosji w ramach ataku na położone głęboko w kraju bazy lotnicze”.

„Ten atak niemal całkowicie zniszczył irańskie systemy obronne”, kontynuuje Sima Shine. Celem było umożliwienie izraelskim samolotom F-15 i F-35 swobodnego operowania w irańskiej przestrzeni powietrznej, zwłaszcza na zachodzie kraju: już nazajutrz izraelska armia ogłosiła, że sprawuje nad nią kontrolę.

W tym samym czasie uderzono wybuchającymi dronami w wyrzutnie rakiet ziemia-ziemia, które miały odpowiedzieć na izraelski atak. Mosad wiedział, że ten system stanowił słaby punkt wroga, ponieważ Iran miał wiele pocisków, ale niewiele wyrzutni.

Drony zostały zmontowane na miejscu w Iranie, w tajnych warsztatach, przy użyciu materiałów, które trafiły do kraju w większości zwykłymi kanałami komercyjnymi lub zostały przemycone przez granicę z Turcją. Efekt: dziesiątki wyrzutni zostało zniszczonych, co tłumaczyłoby względną słabość irańskiej odpowiedzi: najpierw atak dronów, a następnie, w sobotnią noc, około 200 pocisków wystrzelonych w trzech kolejnych salwach. Izrael obawiał się znacznie ostrzejszej odpowiedzi.

Irańskie służby zbyt pochłonęły represje wobec własnych obywateli

W kolejnych dniach Mosad ponownie pokazał, w jakim stopniu kontroluje sytuację, pomimo antyspiegowskiej paranoi od dawna przecięt panującej w Teheranie.

Do prawdopodobnych następców zamordowanych dowódców wysłano wiadomości, np. list wsunięty pod drzwi, telefon pod numer aparatu żony. „Wiadomość była jasna: wiemy, gdzie jesteś, możemy do ciebie w każdej chwili dotrzeć”, wyjaśnił w rozmowie z „Washington Post” anonimowy izraelski oficer. We wtorek zginął kolejny generał dywizji, dopiero mianowany na swoje stanowisko, ponieważ poprzednik został zamordowany cztery dni wcześniej. Faktycznie żaden irański przywódca nie czuje się w tej chwili bezpieczny.



• „Zabici przez Netanjahu” na ulicach Teheranu. Portrety dowódców Korpusu Strażników Rewolucji, którzy zginęli w atakach Izraelczyków

FOT. MORTEZA NIKOUBAZL/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

Jak Islamska Republika mogła dopuścić do tak daleko posuniętej penetracji z zewnątrz przez swojego największego wroga?

Przecież ajatollahowie wiedzieli, że znajdują się na celowniku Tel Awiwu. Liczne w ostatnich latach zabójstwa inżynierów nuklearnych w Iranie powinny były dać irańskim służbom pojęcie o skali infiltracji dokonanej przez Mosad.

Ale represje wobec każdej fali demonstracji (od pierwszej dużej w 2009 r., poprzez masowe protesty w latach 2017-19, po antyreżimowy ruch „Kobieta, Życie, Wolność” w 2022 r. po zabiciu przez policję Mahsy Amini za rzekomo niewłaściwie zasłonięte włosy) tak pochłonęły irańskie służby, że przesłoniło im realne zagrożenie.

„Podczas gdy agenci kontrwywiadu Republiki Islamskiej instalowali kamery monitorujące, aby śledzić kobiety, które nie nosiły chust na ulicy lub w swoich samochodach, i traktowali każdego własnego obywatela jak potencjalnego wroga, wróg prawdziwy wkroczył do Iranu po cichu”, zauważa Sharareh Mehboudi.

Wykorzystując rosnącą przepaść między coraz bardziej odizolowanym rządem a masą niezadowolonych ludzi, Izrael zdołał stworzyć sieć informatorów w całym kraju.

Osiągnął to, rekrutując sfrustrowaną młodzież, reaktywując dawne powiązania z niektórymi działaczami na obszarach zamieszkałych przez mniejszość kurdyjską i, według niektórych źródeł, wciągając do współpracy członków Ludowych Mudżahedinów, dysydenckiej grupy na uchodźstwie, która jako

Mosad wiedział, co stanowi słaby punkt wroga: Iran miał wiele pocisków, ale niewiele wyrzutni. Ich zniszczenie dało izraelskiemu lotnictwu wolną rękę



pierwsza ujawniła istnienie kompleksu nuklearnego Natanz w 2002 r.

Istnieją wszelkie powody, by sądzić, że część struktur Korpusu Strażników Rewolucji, elitarnej organizacji militarnej reżimu, również została zinfiltrowana. Korumpowanie funkcjonariuszy mogło być ułatwione w sytuacji pogłębiającego się kryzysu gospodarczego.

Stopniowe rozmontowywanie irańskiej „osi oporu”

Ukierunkowane zabójstwa, cybernetyczne ataki hakujące, ataki dronów: ta wojna w cieniu trwała od lat. Została ona jednak zintensyfikowana po wydarzeniach z 7 października 2023 r. Kiedy bojówki Hamasu zaatakowały Izrael i zmasakrowały setki cywilów, zaskoczone izraelskie służby zdały sobie sprawę z podstawowego faktu: „Nasi wrogowie mówią otwarcie, co chcą zrobić, a kiedy tylko otwiera się okazja, po prostu robią to” – mówi izraelski oficer. Atak Hamasu zmienił podejście Izraelczyków do ataku na Iran.

Gdy rozkręcała się odwetowa wojna w Strefie Gazy, równocześnie Izrael przygotowywał się do walki z Iranem, który od lat budował sieć sojuszników w regionie: Hamas, szyicki Hezbollah, szyickie bojówki w Iraku i jemeńscy Huti. Pierwszym klockiem w upadającym domino był Baszar al-Asad, dyktator Syrii, któremu sojusznicy Iran nie był w stanie pomóc w obliczu zbrojnej ofensywy rebeliantów. Stopniowo „ukryta” wojna między Tel Awiwem a Teheranem nabierała kształtu, za każdym razem z użyciem tej samej kombinacji tajnych operacji i otwartych ataków. W kwietniu 2024 dwóch irańskich generałów zginęło w izraelskim nalocie na konsulat ambasady Republiki Islamskiej w Damaszku. Kilka dni później Iran wystrzelił setki pocisków raketowych w kierunku Izraela.

Gdy wkrótce potem Ismael Haniyeh, polityczny przywódca Hamasu, został zamordowany w swojej sypialni podczas oficjalnej wizyty w Teheranie, Islamska Republika odpowiedziała kolejną salwą rakiet w październiku. W międzyczasie Izrael pracował nad rozbiciem słynnej irańskiej „osi oporu”, która rozciągała się od Bejrutu po Damaszek.

We wrześniu rozpoczął wojnę z libańskim Hezbollahem, który także okazał się całkowicie zinfiltrowany przez Mosad. W symultanicznym ataku kilka tysięcy wysokiej rangi członków Partii Boga zostało zabitych lub ranionych przez eks-

plozje mini ładunków umieszczonych w ich telefonach i pagerach. Kilka dni później Hasan Nasrallah, charyzmatyczny przywódca Hezbollahu, został zabity wraz z kilkoma innymi dowódcami szyickiej milicji, gdy spotkali się w swojej kwaterze w centrum Bejrutu.

Ofensywa „Rising Lion” przeciwko Islamskiej Republice jest po prostu kontynuacją obranej przed paroma laty nowej taktyki opartej na wykorzystaniu niebywalej przewagi technologicznej Izraela. Jeśli Iran został tak ciężko trafiony w samo serce, to dlatego, że Izraelowi udało się wcześniej wprowadzić na terytorium Iranu, bez wątplenia przy udziale Kurdów, komponenty do budowy dronów kamikadze, aby można je było aktywować w odpowiednim momencie.

Polowanie na szpiegów

Zapewne próbując zjednoczyć społeczeństwo przeciwko „zagranicznym agentom”, w tym tygodniu irańska telewizja wyemitowała zdjęcia z przeszkania trzypiętrowego warsztatu montażu dronów w pobliżu Teheranu. Media donosiły również o odkryciu innych chałupniczych warsztatów w regionach Zanzanu i Isfahanu, a także o aresztowaniu kilku osób. Według rzecznika policji, „skonfiskowano ponad 200 kg materiałów wybuchowych, 23 drony i sprzęt naprowadzający”. Furgonetki przewożące drony zostały rzekomo przechwycone w kilku częściach kraju.

Według agencji Tabnak, 28 aresztowanych już osób jest oskarżonych o „współpracę z Mosadem”. W międzyczasie teokratyczny reżim powraca do swoich starych metod zastraszania: w miniony poniedziałek irański wymiar sprawiedliwości ogłosił, że dokonał egzekucji Esmaeila Fekriego, który został aresztowany w 2023 r. i skazany za próbę przekazania „tajnych i wrażliwych informacji” izraelskim służbom.

Również w Izraelu istnieją obawy przed irańską infiltracją. Izraelczycy też są aresztowani pod zarzutem szpiegostwa: w ostatnią sobotę, dzień po rozpoczęciu operacji „Rising Lion”, jednostki antyterrorystyczne aresztowały dwóch kolejnych mężczyzn podejrzanych o pracę dla Teheranu. Kilka dni wcześniej aresztowano 13-latkę, który według służb został „zmanipulowany” przez irańskiego agenta. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

Ian Bremmer o amerykańskim ataku:

Decyzja podyktowana przez ego Trumpa

– Donald Trump potrzebował szybkiego sukcesu i przede wszystkim nie chciał, żeby cała zasługa została przypisana Izraelowi – mówi założyciel Eurasia Group, nowojorskiej firmy analizującej sytuację geopolityczną.

Paolo Mastrolilli

la Repubblica

Ian Bremmer nie ma złudzeń: w amerykańskim ataku na Iran chodziło tylko o ego Trumpa. Uważa, że mamy do czynienia z użyciem militarnej potęgi USA do zaspokojenia narcyzmu ich przywódcy, czego dowodem są kompulsywne posty zamieszczane przez Trumpa w Truth Social. „Chociaż na razie widzimy sygnały odprężenia, długofalowe skutki mogą być groźne, bo atak USA, zamiast przynieść rozwiązanie kryzysu na Bliskim Wschodzie, prawdopodobnie doprowadzi do jego eskalacji” – uważa ekspert.

Dlaczego prezydent USA zaatakował Iran, i to właśnie w takim momencie?

– Oczekiwałem tego od ponad tygodnia. Przywódcy irańscy powiedzieli, że nie zamierzają się poddać, ponieważ ich ewentualna rezygnacja z programu nuklearnego podważyłaby całą legitymację ich władzy. Więc nawet oni woleli atak USA. Trump dał z kolei jasno do zrozumienia, że chce kapiitulacji, i że w przeciwnym razie zaatakuję. I konsekwentnie to właśnie zrobił.

Czy to było słuszne posunięcie?

– Nie, ponieważ teraz, mimo ogłoszenia „pokoju”, ryzyko eskalacji jest o wiele większe niż Stany są gotowe przyznać. A poza tym atak nie był potrzebny. Ataki bombowe Izraelczyków, przeprowadzone wcześniej z pomocą USA, już spowodowały irański program nuklearny o co najmniej dziewięć miesięcy, a według niektórych ekspertów może nawet o kilka lat. Trump nie musiał więc atakować pod koniec zeszłego tygodnia, także dlatego, że miał po swojej stronie prawie całą społeczność międzynarodową. Prezydent nie chciał jednak, aby całą zasługą za operację została przypisana Izraelowi, również dlatego, że w ostatnim czasie poniósł fiasko w szeregu negocjacji: w sprawie Ukrainy, Strefy Gazy i Iranu. Potrzebował więc sukcesu militarnego. Krótko mówiąc, zrobił to, żeby zaspokoić swoje ego, a nie z troski o bezpieczeństwo narodowe czy sytuację w regionie. Dlatego uważam, że to błąd.

Co się może wydarzyć teraz?

– Istnieje niebezpieczeństwo, że Iran weźmie realny odwet na USA, na amerykańskich żołnierzach w regionie, zagrożona będzie żegluga w regionie i handel surowcami. Waszyngton nie chce powiedzieć, że jest w stanie wojny z Teheranem, ale Izrael nie ma z tym

problemu. Amerykanie chcą uniknąć eskalacji, ale to już nie zależy tylko od nich. Jesteśmy więc teraz w znacznie bardziej niebezpiecznej sytuacji niż kilka dni temu. Z drugiej strony, nie sądzę, by Iran całkiem zablokował cieśninę Ormuz, ponieważ nadal sam eksportuje tamtędy ropę i musi to robić.

Czy dostrzega pan ryzyko terroryzmu w USA i Europie?

– Oczywiście. Jak dotąd irański rząd reagował bardzo umiarkowanie i nie zrobił zbyt wiele, pomimo faktu, że jego program nuklearny został zniszczony, a wielu przywódców wojskowych zabitych. Problem polega na tym, że teraz presja wewnętrzna w reżimie wzrośnie, a autonomiczne elementy w siłach zbrojnych mogą działać z własnej inicjatywy – nawet jeśli 86-letni Chamenei nadal żyje – przeprowadzając ataki, zamachy lub cyberataki.

Wielu obawia się, że jeśli Iran zachował część swojego programu nuklearnego, to teraz zyskał motywację do wyprodukowania bomby atomowej, ale całkowicie w tajemnicy, jak Kłm Płn.

– Jest prawdopodobne, że przeniesli i ukryli niektóre elementy, ale na pewno teraz będzie im trudniej skonstruować broń. Co więcej, USA poinformowały Iran o nadchodzącym ataku, właśnie dlatego, że Trump chciał zadać spektakularny cios, aby pokazać wszystkim, że nie rzuca słów na wiatr i że jest zwycięski – ale jednocześnie bardzo chciał uniknąć eskalacji, która skazałaby USA na zwiększenie zaangażowania militarnego.

Szef Pentagonu powiedział, że cel był ograniczony do trzech obiektów nuklearnych i teraz potrzebne są negocjacje. Czy Teheran może to zaakceptować?

– Myślę, że ogłoszony przez Trumpa rozejm nie zapobiegnie dalszemu przelewowi krwi. Izrael będzie chciał stoperdować negocjacje, bo Izrael na razie nie chce pokoju, chce wykorzystać sytuację do maksimum.

Czy reżim w Iranie może upaść?

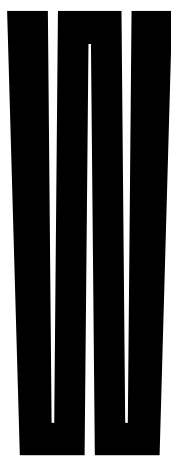
– Nie, nie sądzę. Może w dalszej przyszłości, ale teraz, kiedy zaangażowali się Amerykanie, upadek stał się mało prawdopodobny, ponieważ oczywiście nastąpi reakcja nacjonalistyczna, efekt flagi.

Co powinna zrobić Europa?

– Iran to zupełnie inna sprawa niż Strefa Gazy. Europejczycy byli już bardzo krytyczni wobec Izraela, zwłaszcza z powodu antyhumanitarnej krzywdy wyrządzanej Palestyńczykom. Teheran jest jednak ekstremistycznym reżimem islamskim, bardzo brutalną dyktaturą, odpowiedzialną za terroryzm na całym Bliskim Wschodzie i na świecie. Reżim ma niewielu przyjaciół, a większa część państw europejskich popierała prawo Izraela do obrony, więc zapewne poprze jego wszelkie ataki na Iran. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

Mateusz Mazzini



nowej administracji są dwie frakcje, które skrajnie różnie postrzegają potrzeby i cele kraju w zakresie bezpieczeństwa narodowego.

Do jednej należą eksperci, którzy popierają obecny od wielu lat pomysł „piwotu na Pacyfik”. Relokację oddziałów Marines z Europy do krajów sojuszniczych w Azji, skoncentrowanie się na Chinach jako największym zagrożeniu dla USA.

Druga frakcja, której naczelnym ideologiem jest Steve Bannon, guru alt-rightu, „Człowiek, Który Wymyślił Trumpa”, myśli inaczej. – Dla nich *all security is homeland security*. Wróg jest już wewnątrz kraju, ewentualnie czyha na granicach. I na tym należy się skupić, jeśli chodzi o bezpieczeństwo – mówiła mi w marcu Rory Daniels, szefowa Asia Society Policy Institute, amerykańskiego oddziału jednego z najważniejszych na świecie think tanków zajmujących się azjatycką polityką i gospodarką.

Rozmawialiśmy wtedy o czymś innym niż temat tego tekstu. Zastanawialiśmy się, jak powrót Donalda Trumpa do Białego Domu wpłynie na układ sił w Azji, gdzie mnóstwo krajów niemal całkowicie wisi na amerykańskim wsparciu wojskowym. Od inauguracji minęły wtedy niecałe dwa miesiące, codzienna analiza stosunków międzynarodowych oznaczała nieustanne przebijanie się przez chaos i oburzenie na łamanie przez Amerykanów kolejnych norm powojennego porządku. Wiadomo było, że głównym celem w – jak to się obecnie mówi – obszarze bezpieczeństwa publicznego będą masowe deportacje imigrantów, ale mało kto wierzył, że obiecana przez Trumpa w kampanii liczba kilkunastu milionów ludzi jest w ogóle realna.

Dzisiaj, kiedy rząd federalny wysyła wojsko na ulice Los Angeles, a Trump zapowiada, że przywróci bazom wojskowym konfederackich patronów z czasów wojny secesyjnej, wizja wykorzystania mundurów do walki z przeciwnikami politycznymi przestaje być kanwą kolejnego filmowego czy beletrystycznego thrilleru.

Protesty przeciwko agresywnym interwencjom agentów ICE – Immigration and Customs Enforcement, federalnej służby celnej odpowiedzialnej za znajdowanie, doprowadzanie do sądu i deportowanie nielegalnych imigrantów – rozpoczęły się w Los Angeles w piątek 6 czerwca.

Działania ICE wzbudzają kontrowersje od początku drugiej kadencji Trumpa, bo agenci często naruszają podstawowe prawa obywatelskie osób, które aresztują. Zdarza im się też aresztować i nękać ludzi, którzy w USA przebywają całkowicie legalnie.

Głośno o ich metodach zrobiło się przy okazji zatrzymań dwójki studentów z uczelni na Zachodnim Wybrzeżu. Pierwszy był Algierczyk Mahmoud Khalil, jeden z przywódców ubiegłorocznych antyizraelskich protestów na nowojorskiej Columbii, druga – Turczynka Rumeysa Ozturk, doktorantka na Tufts University w Bostonie.

Ich przypadki były skrajnie różne, bo Khalil rzeczywiście angażował się mocno po stronie palestyńskiej w głośnych, często zawierających sporo mowy nienawiści i antysemityzmu protestach na kampusie Columbii. Ale u Ozturk, nawet przy du-

13,7 mln

• tylu nielegalnych migrantów żyje w USA wg danych telewizji PBS. Trumpiści mówią o 12 mln, a ośrodek badawczy Pew Research Centre, że to nieco ponad 11 mln

żej dozie złej woli, trudno doszukać się jakiegos przewinienia – zarzucono jej współautorstwo felietonu w uczelnianej gazecie, w którym studenci potępiali działania armii Izraela w Gazie i wzywali do pokoju na Bliskim Wschodzie.

Nie do końca wiadomo, czemu ICE aresztowało 30-latkę za jeden tekst, w dodatku o minimalnym zasięgu. Wśród niektórych byłych amerykańskich urzędników federalnych i wykładowców akademickich krąży jednak teoria tyleż szokująca, co mroząca krew w żyłach.

W marcu portal Axios poinformował, że sekretarz stanu Marco Ru-

bio autoryzował w swoim departamencie używanie sztucznej inteligencji do identyfikowania tych studentów, którym należy cofnąć wizy, odebrać zielone karty, aresztować ich i ostatecznie deportować. Klucz miał być prosty – poparcie dla Hamasu.

Sztuczna inteligencja zaczęła przeczesywać serwisy społecznościowe, komentarze na portalach i stronach dużych gazet, fora uczelniane, witryny kół studenckich. I trafiła na podpis „Rumeysy Ozturk” pod tekstem, który zawierał w treści słowo „Hamas” i nie był jednoznacznie proizraelski.

Ponieważ wszyscy w administracji, w tym odpowiedzialny za wydawanie wiz studenckich Departament Stanu, są pod olbrzymią presją, by dostarczyć Trumpowi jak najwyższe statystyki obcokrajowców odesłanych do centrów deportacyjnych, kryteria działania AI ustawiono jak najszerzej. W taki oto sposób 30-letnia Turczynka, która robi doktorat z pedagogiki wczesnoszkolnej i apeluje

o pokój, została uznana przez rząd Stanów Zjednoczonych za osobę aktywnie wspierającą terroryzm.

O ofensywie ludzi Trumpa przeciwko studenckim aktywistom napisano już wiele tekstów, lecz rzadko koncentrowano się w nich na samym akcie aresztowania. A to ważny aspekt problemu, bo o ile można wyobrazić sobie ultrakonserwatywny i izolacjonistyczny argument prawny popierający odebranie zielonych kart i wiz, to nie da się uzasadnić sposobu, w jaki młodzi ludzie zostali zgarnięci przez ICE.

Słowo „zgarnięci” jest tu jak najbardziej adekwatne, bo w obu przypadkach aresztowanie wyglądało bardziej jak porwanie.

Niestety dla służb federalnych – do sieci natychmiast przedostały się nagrania. Widać na nich nieumundurowanych mężczyzn i kobiety, którzy uparcie odmawiają identyfikacji. W przypadku Ozturk nie odpowiadają nawet na pytania, tylko wypychają ją do samochodu. Każdy jest ubrany inaczej, prawie wszyscy mają na twarzach kominiarki lub czarne chusty oraz okulary przeciwsłoneczne.

Wkrótce ten schemat zaczął się powtarzać w całych Stanach. Kilku czy kilkunastu agentów w cywilnych ciuchach, z za-



Trump IDZIE DO WOJS

Dla szeregowców ma historię o awansie społecznym, dla podoficerów i niższych szarż – o wyrównaniu krzywd z poprzednich lat



KA

słoniętymi twarzami, wchodzi do domów bez nakazu, wyciąga ludzi z samochodów, wybija szyby. Nie mają mundurów ani odznak. Często nie sprawdzają nawet tożsamości ofiar, co potem prowadzi do tragicznych pomyłek.

30 kwietnia telewizja NBC opublikowała materiał o amerykańskiej rodzinie z Oklahoma City, której dom został spłądrowany przez służby federalne. Mundurowi, choć bez mundurów, weszli do domu siłą mimo okrzyków przerażenia i bez żadnego oporu matki i jej trzech córek. Krzyczeli, że są aresztowane, a ich mienie zostanie zarekwirowane z powodu związków z gangami z Ameryki Centralnej.

Jak relacjonowała w telewizji matka i najstarsza z dziewczyn ich nieruchomość przeszukiwało 20 uzbrojonych mężczyzn. W pierwszej chwili kobiety myślały, że to napad i chciały dzwonić na policję. Wtedy oficerowie zabrali im komórki i oznajmili, że reprezentują trzy różne służby federalne: ICE, FBI oraz USMS – U.S. Marshals Service (instytucję odpowiedzialną za ochronę sądów i innych budynków federalnych).

Kobiety opowiadały dziennikarzom, że agenci kazali im wyjść na zewnątrz i nie pozwolili się ubrać. Najmłodsze córki były przeszukiwane na oczach starszych męż-

• **Los Angeles, 11.06.2025. Starcia z policją w czasie protestów przeciwko imigracyjnym łapankom, które prowadzą amerykańskie służby federalne**

FOT. REUTERS/DAVID SWANSON

czyn pomimo protestu matki. Rodzinie zabrano całą znajdującą się w domu gotówkę.

I może taką akcję dałoby się jeszcze uzasadnić, gdyby nie to, że została to była pomyłka. W korespondencji z NBC Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego – Homeland Security (DHS) – przyznał, że adres, na który wystawiono nakaz przeszukania, zgadzał się – ale nikt nie zauważył, że nieruchomość zmieniła właściciela. Rodzina przeprowadziła się tam niedawno z Maryland. W dodatku są białymi Amerykanami, a nie Gwatemalczykami, których szwadron służb federalnych miał zastraszować. Matka próbowała to tłumaczyć agentom w trakcie przeszukania, ale nie chcieli słuchać.

Musieli się jednak zorientować, że coś jest nie tak, bo jeden z funkcjonariuszy zaczął przeproszać, że zostały potraktowane „trochę za ostro”. Tylko co komu po przeprosinach, skoro kobieta, której mąż pracuje w innym stanie, została z córkami bez środków do życia. Na pytanie, kiedy zwrócić pieniądze, agenci odpowiedzieli, że to kwestia „tygodni, może miesięcy”. Rodzina przetrwała, bo sąsiedzi i lokalna społeczność zorganizowali zbiórki.

W tej historii uwagę zwraca pewien szczegół: Homeland Security, a więc departament rządu federalnego zarządzający ICE, przyznał się do pomyłki, ale służby prasowe U.S. Marshals Service zaprzeczyły, że ich agenci brali udział w przeszukaniu – mimo że anonimowi mężczyźni sami tak się przedstawili.

Akcja w Oklahoma City skupia jak w soczewce realia funkcjonowania aparatu przymusu w drugiej administracji Trumpa. Agenci instytucji federalnych działają chaotycznie, na granicy prawa lub otwarcie poza nim, używając nieproporcjonalnej siły i pod ogromną presją polityczną. Nikt nie sprawuje nad nimi nadzoru, a za błędy popelnione kosztem niewinnych ludzi nie czekają ich żadne kary. Liczy się ostateczny cel, czyli oczyszczenie USA z... no właśnie, kogo?

Trump w kampanii wyborczej podawał różne liczby, ale najczęściej, i on przedstawiciele ruchu Make America Great Again – rzucali 12 milionów – tyłu w USA ma być imigrantów, którzy nie podlegają żadnej formie ochrony prawnej przyznanej przez rząd federalny.

Lecz w obiegu jest kilka różnych statystyk – co zabawne, przekraczających szacunki trumpistów. Centrum analityczne Migration Policy Institute i znany instytut badawczy Pew Research Centre, mówią o nieco ponad 11 milionach. Konserwatywne ośrodki badawcze – o 12 milionach. Ale z lutowej analizy opublikowanej przez publiczną telewizję PBS wynika, że „nieudokumentowanych” imigrantów – czyli ludzi, którzy przeszli granicę nielegalnie i nie otrzymali ochrony prawnej – jest w USA 13,7 miliona.

Ta niby niewielka różnica ma ogromne znaczenie. I dla Trumpa, który chciałby nieustannie chwalić się sukcesami w usuwaniu niebezpiecznych „obcych”, a tu może się okazać, że wcale ich nie ubyło, bo jego propagandyści nie doszacowali liczby wyjściowej. I dla Demokratów, którzy deklarują się jako obrońcy tych „obcych”, bo rezerwuwar wdzięcznych – przyszłych być może – wyborców okazuje się większy.

Od 12 do kilkudziesięciu

• **tytu policjantów (zależnie od źródeł) zostało rannych podczas trwających ponad dwa tygodnie zamieszek w Los Angeles, w których uczestniczyło około 100 tys. ludzi**

Administracja Trumpa o wielu rzeczach związanych z nielegalną migracją woli jednak nie mówić.

Nie tylko o tym, że masowe deportacje już odbijają się na amerykańskiej gospodarce – ale nie na wielkich korporacjach, lecz na turystyce, drobnych usługach czy rolnictwie. Czyli na tych sektorach, którym MAGA obiecywała powrót do dawnej koniunktury.

Nie wspomina np. o tym, że – jak podaje Migration Policy Institute – aż 79 proc. wszystkich tych osób przebywa w kraju od co najmniej pięciu lat.

Aż 16 proc. z nich jest w USA od pięciu do dziewięciu lat. Oznacza to, że do kraju trafili w czasie, gdy prezydentem był Donald Trump – ten sam, który dzisiaj chlubi się bezwzględnością w blokowaniu tzw. nieautoryzowanych przejść przez granicę.

Nieprawdą jest też to, że nielegalna migracja osiągnęła historyczny szczyt za kadencji prezydenta Joe Bidena.

Owszem, jak wynika z danych Pew Research, krzywa poszła wtedy w górę, ale w dużej mierze było to odbicie związane z wygaszaniem wszędzie na świecie reżimów sanitarnych wprowadzonych z powodu pandemii koronawirusa. Nie mówiąc o tym, że za Bidena liczba nielegalnych przekroczeń granicy dopiero zaczęła zbliżać się do poziomu z końcówki drugiej kadencji George’a W. Busha, bądź co bądź republikanina i neokonserwatysty.

Chęć przykrycia manipulacji statystykami jest jednym z powodów tak agresywnego podejścia do obcokrajowców. Najświeższe dostępne dane o deportacjach DHS przekazało magazynowi „Time” we wtorek 10 czerwca: od inauguracji, czyli w ciągu 20 tygodni, deportowano z USA 207 tysięcy osób.

Maszyna antyimigracyjna pracuje więc zdecydowanie za wolno. Przy utrzymaniu obecnego tempa na koniec pierwszego roku prezydentury deportacji byłoby 538 tysięcy. Mnożąc to przez cztery lata kadencji – wychodzi niecałe 2,2 miliona osób. Kilka razy mniej, niż Trump obiecał wyborcom.

Przyczyna takiego stanu rzeczy jest prosta. Agencje federalne, z definicji sterowane centralnie z Waszyngtonu, są bardzo nieefektywne, gdy działają same w terenie. Dara Lind i Matthew Yglesias, dwójka analityków politycznych związanych z portalem Vox, w styczniowej rozmowie z Ezrą Kleinem z „New York Timesa” przypomniła, że najbardziej efektywne w deportacjach były, co może wydać się paradoksalne, administracje prowadzone przez Partię Demokratyczną.

Widać to w danych DHS, z których wynika, że nawet gdyby Trump doszedł do 538 tysięcy deportacji na koniec roku, i tak osiągnąłby wynik słabszy niż Barack Obama w pierwszych 12 miesiącach swoich rządów (582 tysiące deportowanych). Nie mówiąc już o Billu Clintonie, który kilkakrotnie przebił milion deportowanych nielegalnych imigrantów.

Lind i Yglesias tłumaczą, że było to możliwe dzięki współpracy agencji federalnych i Białego Domu z władzami stanowymi

i lokalnymi. To one mają najwięcej informacji, znają miejscową specyfikę, pracodawców, rynki nieruchomości i po prostu okolice, są najskuteczniejsze w ich identyfikacji.

Dla Trumpa to jednak problem, bo aż trzy położone na południu stany, kluczowe z punktu widzenia zatrzymania migrantów z Meksyku i Ameryki Centralnej, kontrolują Demokraci. A przy obecnej polaryzacji i radykalizacji nie ma szans, żeby władze Kalifornii, Arizony i Nowego Meksyku współpracowały z szefową DHS Kristi Noem czy Stephenem Millerem, wiceszefem personelu w Białym Domu odpowiedzialnym za politykę migracyjną.

Dlatego administracja zdana jest na siłę, brutalność i wyłapywanie ludzi jak leci – bo innych narzędzi nie ma. A odpuścić Trump nie może, bo to najważniejszy mit założycielski MAGA, sięgający jeszcze czasów słynnego ruchu Minutemen, antyimi-granckiej bojówki z wczesnych lat 2000.

Główny nurt elektoratu prezydenta – nie żadne ekstremalne skrzydła – mówi wprost, że od lat na południu USA trwa inwazja na niewyobrażalną skalę.

Zgodnie z tą optyką południowe stany są obszarem działań wojennych, które zagrażają stabilności rządu federalnego i przetrwaniu całego państwa.

Jeśli więc ma tam miejsce de facto wojna, uzasadnione jest wysłanie regularnego wojska. Co sekretarz obrony Pete Hegseth już zrobił, wysyłając do Los Angeles 700 Marines.

Mimo politycznego ryzyka i narzekań drobnych przedsiębiorców czy farmerów, nasilanie represji jest Trumpowi na rękę. Bo jeśli uda się wyborcom w całym kraju pokazać, że obce siły, w tym latynoskie gangi i grupy terrorystyczne, działają na dużym obszarze, łatwiej będzie uzasadnić wprowadzenie stanu wyjątkowego w całym kraju.

Telewizje w rodzaju Fox News, alt-rightowi influencerzy, administracja i sam prezydent będą tłumaczyć, że USA zaatakowano z wewnątrz kraju. Obcy już tu są, a pomagają im ci, którzy ich tu wpuścili – liberałowie i lewica. Pozbyć się, aresztować, wydrwić z kraju, może nawet fizycznie wyeliminować, należy więc i jednych, i drugich.

Wówczas naprawdę okaże się, że *all security is homeland security*, jak chciał Steve Bannon i jak sygnalizowała mi w marcu Rorry Daniels.

Właśnie dlatego starcie Trumpa i jego ludzi z gubernatorem Kalifornii Gavinem Newsomem jest dla obecnej administracji pojedynkiem wręcz wymarzoną. Jak zauważył w podcaście „The Rest is Politics” konserwatywny brytyjski polityk i komentator Rory Stewart, konflikt z Kalifornią spełnia trzy kluczowe dla prezydenta warunki.

Po pierwsze, jego adwersarzem jest polityk Partii Demokratycznej. Nazwisko Newsoma już od lat pada w kontekście nominacji prezydenckiej, a teraz jego akcje w ważnych frakcjach partii rosną jeszcze bardziej, bo jako jeden z niewielu otwarcie krytykuje liberalny zwrot światopoglądowy z ostatnich lat.

Po drugie, tłumaczy Stewart, walka odbywa się na terenie stanu, w którym Demokraci dominują – dzięki czemu Trump może powiedzieć, że to środowisko polityczne w ogóle nie radzi sobie z rządzeniem.

Po trzecie – spór dotyczy absolutnie kluczowego dla administracji tematu, czyli imigracji. Z punktu widzenia MAGA to wręcz polityczne bingo.

207 tys.

• **tylko osób deportowano ze Stanów Zjednoczonych od stycznia do początku czerwca, czyli w pierwszych 20 tygodniach urzędowania administracji Trumpa**

Więc Biały Dom eskaluje konflikt. Na poziomie militarnym, wysyłając przeciwko demonstrantom Gwardię Narodową i regularne wojsko, ale także w warstwie retorycznej. Współpracownicy Trumpa używają przy tym argumentów, które mają niewiele wspólnego z prawdą.

9 czerwca Pentagon poinformował o zmobilizowaniu dwóch tysięcy członków Gwardii Narodowej do odzyskania kontroli nad protestami. Problem w tym, że ta decyzja należy do władz federalnych w bardzo ograniczonej liczbie przypadków. Nominalnie bowiem Gwardia funkcjonuje na poziomie stanu i to władze stanowe wystosowują do Waszyngtonu prośbę o jej użycie. Wyjątkiem są sytuacje, w których pojawia się zagrożenie zbrojnego przewrotu lub kiedy rząd federalny uzna, że lokalni politycy nie są w stanie przywrócić kontroli na miejscu.

Tak było w 1965 r., kiedy prezydent Lyndon B. Johnson wyrwał dowództwo nad Gwardią Narodową w Alabamie z rąk wspierającego segregację rasową gubernatora George'a Wallace'a. Zrobił to m. in., żeby chronić słynną demonstrację wspierającą ruch praw obywatelskich w Selmie. Dziś Partia Demokratyczna i amerykańscy obrońcy praw człowieka uznają ten moment za jeden z najbardziej chwalebnych w historii tamtejszej demokracji.

Teraz nie ma żadnych dowodów na to, że Newsom czy burmistrzynie Los Angeles Karen Bass stracili kontrolę nad miastem. Interaktywna mapa stacji CBS News pokazuje cztery większe ogniska demonstracji skupione najczęściej wokół federalnych centrów przetrzymywania imigrantów. Zdecydowana większość protestów jest w pokojowa, według biura szeryfa hrabstwa Los Angeles zaledwie 1 procent demonstrantów jest agresywnych i niszczy mienie publiczne.

Owszem, dochodzi do starć z policją, aktów wandalizmu, ale trudno mówić o „utracie kontroli”. Według różnych danych cytowanych przez ABC News, NBC i trum-powską Fox News liczba rannych policjantów (a więc mundurowych podlegających władzom lokalnym) od 6 czerwca wynosi od 12 do „kilkudziesięciu”. Biorąc pod uwagę fakt, że w Los Angeles mieszka prawie 4 miliony osób, a w całym hrabstwie 10 milionów, na ulice zaś wyszło – w sumie – nie więcej niż 100 tysięcy z nich, trudno uznać to miejsce za strefę działań wojennych.

Według ludzi Trumpa jednak tak właśnie jest. Stephen Miller nieustannie pisze w serwisach społecznościowych o zamachu na „amerykańską cywilizację” i możliwym przewrocie. Dodaje też, że władze stanowe powinny zostać obalone natychmiast za współudział we wpuszczaniu do kraju milionów „nielegalnych”. Tom Homan, architekt masowych deportacji w obecnej administracji, wezwał nawet do aresztowania Newsoma, na co Trump odparł, że to „dobry pomysł”.

I jest też warstwa wizualna – zdjęcia protestujących, którzy wymachują flagami Meksyku, Salwadoru, Gwatemali. Robią to, bo ludzie pochodzący z tych krajów są zgarniani z ulic przez ICE. Lecz dla zwolenników MAGA to dowód na to, że demonstranci są obcą armią, niełojalną i przejmującą kontrolę nad terytorium USA.

Tymczasem Newsom idzie na pełną konfrontację z władzami federalnymi. Złożył przeciwko nim pozew o nieprawne wysłanie Gwardii Narodowej na ulice Los Angeles, w wystąpieniach publicznych mówi otwarcie o autorytaryzmie, który zaczyna dominować w całym kraju. Trudno przewidzieć, jak to starcie się zakończy, ale pewne jest, że Trump będzie dalej eskalować, bo nie ma innego wyjścia.

Jego problemem jest nie tyle sam fakt, że rzeczywiście maszeruje w kierunku autorytaryzmu, ile to, że robi to zbyt szybko. W myśl strategii stworzonej przez Bannona, żeby „zalać pole przeciwnika” masą jednoczesnych działań, administracja musi co chwilę otwierać nowe fronty. A po ewentualnym obaleniu władz stanowych zaledwie pięć miesięcy po inauguracji niewiele już ta-

kich frontów zostanie przed wprowadzeniem pełnowymiarowej dyktatury.

Na razie, jak zauważają między innymi politolog i rzecznik rządu Tony'ego Blaira, dziś współprowadzący podcast „The Rest is Politics” Alistair Campbell oraz jedni z najważniejszych współczesnych badaczy demokracji, profesorowie Adam Przeworski z New York University i Steven Levitsky z Harvardu, od takiego ustroju Amerykę dzielą dwie rzeczy – wolne, mogące przynieść zmianę władzy wybory oraz zbrojne użycie wojska przeciwko ludności cywilnej.

Wojsko w Los Angeles na razie do cywilów nie strzela. Trump z kolei robi wszystko, żeby żołnierzy przeciągnąć na swoją stronę. Kilka tygodni temu, przemawiając do kadetów w West Point, opowiadał o niebezpieczeństwach związanych z liberalizmem. Później w bazie Fort Bragg w Karolinie Północnej nazwał Gavina Newsoma i Karen Bass „niekompetentnymi, opłacanymi z zewnątrz agitatorami”.

Niektórzy żołnierze na dźwięk tych nazwisk odpowiedzieli buczeniem. Nikt z władz bazy, dowódców wojskowych ani cywilnych urzędników nie zareagował. Biuro prasowe Białego Domu napisało kilku redakcjom, że wystąpienie „było fantastyczne i całkowicie neutralne politycznie”.

A to tylko ostatnie z wielu działań, którymi Trump chce zaskarbić sobie przychyłość wojskowych, zwłaszcza średniego i niższego szczebla. Nie jest tajemnicą, że ani on, ani Hegseth nie są fanami najważniejszych wojskowych dowódców. Jeszcze przed ba-

stali wyprowadzeni przez ochronę z Pentagonu. Przyczyn ich zwolnienia nie podano, nieoficjalnie chodziło o osobistą wojnę z Joe'em Kasperem. Szef gabinetu Hegsetha uważał, że ta trójka uruchomiła wobec niego wewnętrzne śledztwo w związku z podejrzeniem o uzależnienie od narkotyków – co uniemożliwia otrzymanie poświadczenia bezpieczeństwa i klauzuli tajności.

Kasper ostatecznie też wyliciał z Departamentu Obrony, a większość kluczowych pozycji pozostaje nieobsadzona. Tymczasem Hegseth grozi badaniem wykrywaczem kłamstw każdemu podwładnemu i próbuje wprowadzić zakaz rozmów z mediami, nawet incognito.

Trumpowi to wszystko bardzo się podoba, a jeszcze bardziej przypadła mu do gustu ofensywa przeciwko DEI („diversity, equality, inclusion”), czyli promowaniu inkluzyjności i różnorodności w armii. Już w styczniu, zaraz po inauguracji, nakazał usunięcie 555 książek i 41 materiałów edukacyjnych z bibliotek szkół prowadzonych na terenie baz wojskowych.

Zarzut? Szerzenie biologicznej nieprawdy na temat płci i kobiet – takie sformułowania znalazły się w rozporządzeniu Hegsetha. Więc dzieci amerykańskich żołnierzy i pracowników cywilnych wojska – bo inicjatywa dotyczyła podstawówek i szkół średnich w bazach wojskowych, które są kilkunasto-, kilkudziesięciotysięcznymi miastami – nie przeczytają już między innymi „Roku 1984” Orwella, „Nowego wspaniałego świata” Huxleya, „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood, a nawet... podręcznika do matury z psychologii.

Po pierwszej kadencji Trump narzekał, że generałowie nie byli lojalni, za ideał wierności wskazując oddanie nazistowskich wojskowych wobec Hitlera

talią o reelekcję eksprezydent narzekał, że w pierwszej kadencji generałowie nie byli wobec niego całkowicie lojalni, za ideał wierności wskazując oddanie nazistowskich wojskowych wobec Adolfa Hitlera.

Później Hegseth, jeden z najważniejszych, wręcz modelowych polityków ery Trumpa – były prezenter Fox News słynący z kontrowersyjnych wypowiedzi, gotowy obrazić każdego liberała zawsze i wszędzie – rozpoczął w Pentagonie trum-powską kontrrewolucję, w dodatku na sterydach.

Wypowiadający się anonimowo pracownicy Departamentu Obrony jednoznacznie stwierdzają, że takiego chaosu, jaki wprowadził major Gwardii Narodowej i weteran misji w Iraku i Afganistanie, nie było tam nigdy. W połowie czerwca „New York Magazine” podał, że z powodu ruchów kadrowych sekretarza obrony Amerykanie stracili sporą część zdolności operacyjnej. „W przypadku dowolnego konfliktu, który wymagałby naszej konkretnej interwencji militarnej, jesteśmy w dupie. W gabinecie Hegsetha nie ma żadnej osoby z jakimkolwiek doświadczeniem” – mówił informator reporterce Kerry Howley.

Z kolei Jack Detsch, ceniony dziennikarz wojskowy, w cyklu artykułów dla Politico pokazuje, że w Pentagonie panuje paranoja, która przenosi się powoli na całe siły zbrojne. Hegseth ma obsesję całkowitej lojalności i od współpracowników wymaga przede wszystkim jej. Z tego powodu już wywalił tych najbardziej doświadczonych.

W kwietniu jego główny doradca Dan Caldwell oraz odpowiedzialni za gabinet i personel Darin Selnick i Colin Carroll zo-

na rządzącą krajem przez minione dwie dekady, ale też wojskowych dowódców, którzy często na szczycie siedzą równie długo. Re-prezentantem tego gniewu i frustracji jest nie tylko Hegseth, ale też wiceprezydent J.D. Vance, „bidok”, który – nim skończył Yale i został protegowanym libertarianina Petera Thiela, szarej eminencji Doliny Krzemowej – uciekł z beznadziei umierającego prowincjonalnego miasteczka do marines i odsłużył swoje w Iraku.

Druga kadencja Trumpa jest więc okazją do czystki na górze i wypuszczenia wyżej sfrustrowanych oficerów, którzy na żadaną wojnę jechać nie będą chcieli. Co z kolei jest bardzo spójne z doktryną polityki zagranicznej Trumpa. *America First* to amerykański imperializm w sprawdzonym izolacjonistycznym stylu z przełomu XIX i XX wieku, kiedy USA budowały wpływy bez militarne-go angażowania się na całego, samą groźbą swojej potęgi.

Lecz prezydent ewidentnie jest niepewny swojej pozycji wśród wojskowych. Jadąc do Fort Bragg, tak bał się publicznego upokorzenia, że jego ludzie kazali organizatorom w jednostce wytypować do towarzyszenia Trumpowi na scenie żołnierzy, których poglądy zgadzają się z linią ideologiczną tej administracji (a najlepiej również „o sportowych sylwetkach, którzy nie wyglądają na grubych”).

Jak ujawniły lokalna telewizja WRAL News oraz portal Military.com, żołnierze w Fort Bragg otrzymali bardzo jasne instrukcje od przełożonych. Łamiące wiele wewnętrznych regulacji Pentagonu: „Jeśli ktoś nie zgadza się z poglądami prezydenta, powinien porozmawiać ze swoim dowódcą i usunąć się z przestrzeni, która będzie fotografowana” – można przeczytać w komunikacji ujawnionej przez Steve'a Beynona z Military.com.

Profesor Przeworski, jeden z najwybitniejszych badaczy demokracji i autorytaryzmów, od początku drugiej kadencji Trumpa pisze na portalu Substack dziennik – coś na kształt studium upadku amerykańskiej demokracji. W jednym z wpisów przypominał historię pożaru Reichstagu w 1933 roku. O podpalenie oskarżono holenderskiego komunistę Marinusa van der Lubbe, ale najpewniej było prowokacją nazistów. Po pożarze w Rzeszy zawieszono prawa obywatelskie i wprowadzono stan wyjątkowy. To był ostateczny krok pozwalający Hitlerowi na całkowite przejęcie władzy.

„Zastanawiam się, co mogłoby być pożarem Reichstagu dla Trumpa”, pisze Przeworski.

Biorąc pod uwagę to, że amerykański prezydent też gardzi wolnościami jednostki, praworządnością i niezależnością instytucji, jest woluntarystą, a imigranci są dla niego tym, kim Żydzi i komuniści dla NSDAP – nawet jeśli nie obiektem realnej nienawiści, to poręcznym narzędziem – odpowiedź nasuwa się sama. Trump właśnie szuka swojego Reichstagu w Los Angeles. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA GAZETA

Mateusz Mazzini

● Rocznik 1990. Reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie, Bilbao i Londonie. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochetcie” oraz ostatnio „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”.

Dobre książki na lato

RETROPISANIE *łączy* LUDZI

Z PISARZEM **MARKIEM KRAJEWSKIM**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**
ZDJĘCIA **KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL**



„Kiedy po pięciu godzinach i czterdziestu dwóch minutach wstaję od biurka, to już nie myślę o swojej pracy. Poza momentem, gdy tworzę plan akcji. Wtedy myślę o fabule nieustannie. Tak, pod wieloma względami jestem dziwakiem”

WOJCIECH SZOT: Ponoć pracujesz 5 godzin i 42 minuty.

MAREK KRAJEWSKI: – Wyliczyłem to sobie.

Jak?

– Staram się żyć zgodnie z naturą, to znaczy żyć zgodnie z jakąś zasadą panującą w świecie. Tą zasadą jest „złota proporcja”. W skrócie chodzi o stosunek między dwoma liczbami, który w przybliżeniu wynosi 1,618. Określamy go grecką literą φ (phi). W życiu musi być czas na pracę, życie rodzinne, rozrywki i sen. I tak poddałem 24 godziny doby złotemu proporcjonowaniu i wyszło mi, że mógłbym pracować 9 godzin i 12 minut albo 5 godzin i 42 minuty. Dziewięć godzin to przesada. Stąd te 5 godzin i 42 minuty.

To oczywiście czas na pracę, przerwy się doń nie wliczają. Kiedy wstaję, by zrobić sobie herbatę, wyłączam minutnik.

Robi wrażenie.

– Tak, pod wieloma względami jestem dziwką.

Pod jakim jeszcze?

– Jestem człowiekiem skrajnie pedantycznym. Do bólu punktualnym. Nie lubię zmian w życiu. Jestem przywiązany do pewnych stałych poczyni. Oczywiście potrafię być elastyczny, ale ma to swoje granice.

Kolekcjonujesz coś?

– Mam wiele starych książek telefonicznych. Gdy byłem nastolatkiem, uwielbiałem przeglądać książki telefoniczne Wrocławia. Fascynowały mnie nazwiska niepolskie – żydowskie, greckie, ale też niemieckie. Interesowały mnie nazwiska śląskie. Gdy natrafiałem na takie nazwisko, np. Horst Szlosarek, to od razu budowałem sobie w głowie historię człowieka, który je nosił. Książki telefoniczne już w latach nastoletnich były dla mnie świadectwem wielokulturowości Wrocławia.

Jako dziecko też uwielbiałem książki telefoniczne. Szukałem swojego nazwiska, ale też liczyłem na to, w której miejscowości jest więcej abonentów.

– Rozumiem to doskonale. Dumą mojej kolekcji jest przedwojenna lwowska książka telefoniczna. Jeden z ostatnich śladów polskości Lwowa, wspaniałego miasta, o którym wiele słyszałem w latach mojego dzieciństwa.

Z którego roku?

– Z 1939. Kupiłem ją na ulicy we Lwowie. Niestety, pan, który ją oferował, widział mnie wcześniej w telewizji i wiedział, kim jestem, więc nie była to niska suma. Ale nie żałuję ani grosza. Fascynujące są te wszystkie nazwiska, nazwy firm. Mój nieżyjący wykładowca, profesor Jerzy Łanowski, powiedział kiedyś, że można by napisać ciekawą historię, mając za materiał książki telefoniczne miasta z różnych lat.

Kto ci opowiadał o Lwowie?

– Mój cioteczny dziadek. Czyli brat mojej babki ze strony matki. Innymi jeszcze słowy: brat mojej babki po kądzieli.

Byłem dzieckiem chorowitym, a moi obydwaj rodzice pracowali. Zatem opiekował się mną ów cioteczny dziadek, którego w rodzinie nazywało się „wujem Michałem”. Wuj Michał opowiadał o Lwowie swojej młodości. Siłą rzeczy te obrazy miasta były mocno wyidealizowane. Gdyby na ich podstawie chcieć opowiedzieć o Lwowie, to okazałoby się, że było to cudowne, sielankowe miejsce, w którym – w pełnej zgodzie – żyły ze sobą trzy nacje. Dzisiaj wiemy, że ta zgoda była często iluzoryczna. Nie mogę jednak odmówić wujowi Michałowi umiejętności plastycznego, bardzo sugestywnego opowiadania.

Do Lwowa pojechałem dopiero w 2007 roku, jako dojrzały, czterdziestoletni mężczyzna. Z okazji premiery mojej pierwszej książki wydanej po ukraińsku.

Wtedy te opowieści wuja stanęły mi przed oczami jak żywe.

Wrocław, Lwów...

– I centrum Polski. Stamtąd, znad piaszczystych brzegów Pilicy, pochodził mój ojciec. Urodził się w wielodzietnej rodzinie, bo dziadek Kazimierz Krajewski dorobił się dziewięciorga dzieci. Mój ojciec wyjechał daleko od rodzinnego gniazda. Postanowił szukać szans na lepsze życie we Wrocławiu. Tu poznał moją matkę, Kresowiankę. Jestem dzieckiem typowej wrocławskiej rodziny. Ktoś z Kresów, ktoś z centrum Polski albo z Wielkopolski. Ale chyba dobrze o tym wiesz, bo przeczytałem, że jesteś z Wałbrzycha.

Dokładniej to z Boguszowa. I zawsze mnie bawił mit, że my wszyscy tu jesteśmy dziećmi i wnukami dostojnych lwowskich mieszczan.

– Miałem dużo od siebie starszego kolegę z Wałbrzycha – niestety, już zmarł – który opowiadał o tym, jak na wałbrzyskim podwórku w latach 60. bawiły się dzieci Żydów, przybyszy z Francji, Greków, Polaków z Kresów i z Mazowsza. W efekcie te wszystkie dzieci porozumiewały się jakimś wolapikiem, na który składało się słownictwo wielu języków i dialektów.

Różnorodność Dolnego Śląska zawsze mnie fascynowała. Wyobraź sobie taką scenę. Jest rok 1976. Mam dziesięć lat. Z ojcem idziemy zbierać kwiaty bzu, żeby zrobić z nich napar. Wtedy we Wrocławiu bzy rosły wszędzie. Weszliśmy w jakieś dalekie ru-

że dzisiaj dziwnie brzmieć, ale naprawdę poezja Herberta była drogowskim moją młodości.

Wierszy jednak nie pisałeś?

– Nie. Ani wierszy, ani opowiadań. W liceum lubiłem dwa przedmioty – łacinę i matematykę. I ich się uczyłem, lekceważąc trochę pozostałe. Jednak studia z filologii klasycznej na Uniwersytecie Wrocławskim wybrałem drogą eliminacji. Wahałem się między filozofią, filologią klasyczną a polonistyką. Tej ostatniej jednak się bałem, pamiętając kiepskie licealne recenzje; filozofia była wykładana w duchu Marksa, co mnie odstręczało. I tak wyszła mi filologia klasyczna. Na studiach najbardziej interesowała mnie gramatyka. Nie literatura czy kultura, lecz gramatyka.

Hm...

– Widzę, że gramatyka to nie jest twoja bajka? Rozumiem. Ja jestem człowiekiem o umyśle analitycznym i ścisłym.

Lata leciały, podczas studiów się ożeniłem, założyłem rodzinę. Nadal nie myślałem, że będę pisarzem. Chciałem być nauczycielem. A precyzyjniej – nauczycielem łaciny. Ale życie potoczyło się inaczej.

Czyli?

– Pewnego dnia... To był taki bardzo charakterystyczny poranek... Krążyły legendy o wielkich twórcach, że pewnego dnia w jakimś nagłym przebiegu olśnienia zobaczyli swoją przyszłość. I ja, choć jestem ich bladym cieniem, miałem taki poranek.

Panuje opinia, że pisarze byli dobrzy z polskiego, pisali w szkole ciekawe wypracowania...

Moje zawsze wracały z recenzjami w rodzaju: „Krajewski, staraj się opanować myśli i pióro”.

nowisko zarośnięte krzakami. I nagle widzę śniadego faceta w fezie, a obok niego stadko owiec. Jakby się tu nagle przeniósł ze skalistych wybrzeży Grecji.

Jak się to stało, że zostałeś pisarzem?

– To nie była wcale oczywista droga. Panuje taka opinia, że przeważnie pisarze byli dobrzy z polskiego, pisali w szkole ciekawe wypracowania... Moje wypracowania licealne zawsze wracały z recenzjami w rodzaju: „Krajewski, staraj się opanować myśli i pióro”. I z ocenami „trzy plus” lub „cztery”, „pięć minus” wyjątkowo.

Maturę zdałem dużo lepiej, ale i tak nigdy bym nie przypuszczał, że będę pisarzem. Uwielbiałem czytać. Wiesz, w latach 80. czytanie niektórych autorów było swoistym snobizmem. Żeby zdobyć serce koleżanki – tak ładnie to nazwijmy – warto było na imprezie cytować Dostojewskiego, wypadało czytać Gombrowicza i Witkacego, a już najlepiej Cortazara. Może nie wszystko z tego rozumieliśmy, ale jednak, z różnych pobudek, wgryzaliśmy się w tę literaturę.

Kiedy wyszły wiersze zebrane Rafała Wojaczka, to czytaliśmy je niemal zbiorowo, analizowaliśmy i dyskutowaliśmy na długich przerwach przy papierosie.

Chciałem być intelektualistą, czyli kimś, kto dużo pali i dyskutuje o muzyce i literaturze.

Dużo było w tym pozy, udawania, ale jednak dla wielu z nas była to ważna lekcja. Na pewno dla mnie to było ważne. To mo-

Pracowałem wtedy w Bibliotece Ossolineum, w dziale starych druków. Katalogowałem książki. Była to praca, którą bardzo lubiłem, bo zgadzała się z moim temperamentem, głęboką potrzebą porządkowania świata. W upalny lipcowy poranek 1991 roku zrobiłem sobie przerwę w pracy i wyszedłem na papierosa. Usiadłem pod kasztanowcem i nieoczekiwanie dla samego siebie wymyśliłem nagle dominantę powieści „Śmierć w Breslau”.

To nie jest długa powieść.

– Zgadza się, zatem wymyślenie jej akcji nie było z mojej strony wielkim wyczynem. Szybko mi poszło. Pierwotnie miał być to horror, którego akcja będzie się rozgrywać w przedwojennym Wrocławiu. Jednak im dłużej rozmyślałem nad tym pomysłem, tym bardziej czułem, że to musi być kryminał. Szybko to sobie poukładałem. Długo fabulę nosiłem w głowie, nie miałem czasu, żeby zabrać się do pisania. Dzieci były małe, żona nie pracowała. Oczywiście z pracy w bibliotece nie dało się przeżyć, więc – jak każdy humanista – udzielałem korepetycji, tłumaczyłem z łaciny i niemieckiego. Tymczasem zacząłem pracować na uniwersytecie. I tak miały lata.

W 1997 roku Wrocław załapał powódź. Wyjechałem na wakacje. Zapomniałem zabrać ze sobą materiałów do doktoratu, nad którym pracowałem. Nagle się okazało, że nie mam co robić. Wtedy przypomniałem sobie o tym lipcowym upalnym poranku,

kiedy wymyśliłem powieść. Poszedłem do kiosku, kupiłem zeszyt, długopis i zacząłem pisać. I tyle.

Zaskakująca spontaniczność.

– Rzeczywiście, to rzadki w moim życiu spontan.

Dlaczego miejscem akcji uczyniłeś przedwojenny Wrocław?

– Bo był zagadką, a zagadki nas intrygują. Jeszcze lepiej, gdy zagadki spowite są całunem tabu. W latach mojej młodości mówienie o niemieckim Wrocławiu było tabu. Pisanie o nim spotkałoby się z reakcją szkoły czy tzw. czynników oficjalnych. Według oficjalnej propagandy Wrocław był prapolskim miastem, a niemiecka historia to był drobny epizod w dziejach, który przeminał szczęśliwym wyrokiem sprawiedliwości dziejowej, czyli dzięki naszemu przyjacielowi Związkowi Radzieckiemu.

Kłopot w tym, że każdy widział, że było inaczej. Wszędzie przecież były ślady niemieckości. Mieszkalem w starej kamienicy. Na drzewach mieszkania była pozioma szpara z kłapką i napisem: „Briefe” zamiast „listy”. Takich śladów było mnóstwo. Od dziecka mnie to fascynowało.

Pamiętam, że uprosiłem ojca, by w antykwariacie za grube pieniądze kupił mi niemiecką mapę Wrocławia, a raczej Breslau. Na niej dokonywałem pierwszych podróży palcem po mapie. Patrzyłem na nazwy ulic, a tu Martin-Opitz-Strasse. Kim był Martin Opitz? Sięgam po encyklopedię. Siedemnastowieczny niemiecki poeta. I tak ulica po ulicy odkrywałem nieistniejące miasto. Ta pasja zanikła w liceum, ale odżyła na studiach.

Nasz instytut mieścił się w niesamowitym budynku, w dawnym pałacu książąt legnicko-brzeskich przy ulicy Szewskiej 49. Przed wojną był się tam Osteuropa-Institut. Zostały po nim książki i atmosfera starej, niemieckiej biblioteki. Wszystkie te fascynacje doprowadziły mnie do tego poranka pod kasztanowcem. A potem uległy literackiej inkarnacji w postaci „Śmierci w Breslau”.

Trafieś idealnie w moment dziejowy.

– Po 1989 roku zapotrzebowanie na opowieść o przedwojennym Wrocławiu było olbrzymie. Nie było chyba lokalu w centrum Wrocławia, w którym nie byłoby jego przedwojennych zdjęć. Wychodziły albumy w rodzaju „Wrocław na starej fotografii”, „ulice i place Wrocławia”. Kupowałem je namiętnie, dzięki czemu mój spacer palcem po mapie zyskał wizualizację. Zobaczenie „swojej” ulicy na starym zdjęciu było dla mnie niezwykłym przeżyciem. Dla mnie i dla wielu wrocławian jego dawni mieszkańcy przestali być tylko zbrodniarzami, ale stali się ludźmi, którzy doprowadzili to miasto do niesłychanego rozkwitu.

Podobny proces zachodził też we Lwowie, gdzie dla wielu osób polska przeszłość przestała być czymś wrogim, a stała się elementem tradycji, która wzbogaca miasto.

Trafieś nie tylko z tematem, nie tylko w czas, ale także z gatunkiem.

– Młodzi nie garnęli się do kryminału. Kojarzył się on raczej z twórcami kryminałów milicyjnych, ewentualnie z książkami Joanny Chmielewskiej. Nieżyjący już Piotr Bratkowski nazwał mnie „ojcem chrzestnym polskiego kryminału” i coś w tym jest. Udało mi się coś bardzo ważnego dla pisarzy – znalazłem swoją niszę. Nie wiem, czy dzisiaj bym sobie poradził.

Jednak nie była to droga usłana różami. „Śmierć w Breslau” miała też przeciwników.

– Nielicznych, ale jednak.

Mam dwa takie wspomnienia. Pierwsze to pewna Niemka, która na spotkaniu w Wiesbaden, gdy książka ukazała się po niemiecku, zapytała, jak mogę tak źle pisać o jej ukochanym mieście. Gdy z niego wyjeżdżała, było to piękne miasto, a ja z niego robię – jak to ujęła – siedlisko zbrodni i występku. Takich osobistych reakcji było kilka.

Był też pan Władysław, który – gdy tylko ukazywały się moje książki z „Breslau” w tytule – protestował, pisząc do jednej z wrocławskich gazet, że Krajewski powinien się zająć walkami z bandami zbrojnego podziemia prowadzonymi przez ludzi, którzy „utrwalali” władzę ludową. Być może pan Władysław był jednym z pionierów czy milicjantów, którzy tu przyjechali tuż po ’45 roku.

„Breslau” zamiast „Wrocław” to była prowokacja?

– Oczywiście. Tytuł musi zachęcić, a „Śmierć we Wrocławiu” nie jest chwytliwym tytułem. Jednocześnie wiele osób doceniło właśnie ten Breslau. Dostrzeżono w tym przelamywanie tabu.

Pamiętasz swoją pierwszą umowę na książkę?

– Zacznijmy od kontekstu. Jest końcówka lat 90., na rynku kiepska koniunktura dla polskich autorów. A mnie się udaje. Znajduję wydawcę od razu. Wydawnictwo Dolnośląskie było wtedy potentatem dzięki serii „A to Polska właśnie”, w której ukazywały się książki takie jak „Karkonosze”, „Miłosz”, „Wojtyła” czy „My z Napoleonem”. Wszystkie pięknie ilustrowane, idealne na prezenty. Ale żeby nie było tak dobrze, to muszę przyznać, że na decyzję wydawnictwa czekałem półtora roku.

Nie szukałeś innego wydawcy?

– Nie, bo nie miałem nadziei, że to w ogóle się uda. Miałem pracę, więc mogłem poczeekać. A umowa? Byłem szczęśliwy, że ktoś chce mnie wydać. Że mogę pracować ze świetną redaktorką, panią Janiną Majerową. Tak szczęśliwy, że niczego nie negocjowałem. Dostałem też jednoznaczny sygnał, że nie mam szans na żadne negocjacje. Nie był to zatem jakiś oszałamiający zarobek. Również promocja w Wydawnictwie Dolnośląskim mnie nie rozpieszczała.

Mimo to we Wrocławiu stałem się znany. Ludzie mnie czytali, rozpoznawali. Zaczęto mnie uważać za eksperta w sprawach historii miasta. Nie byłoby tego bez Wydawnictwa Dolnośląskiego, więc nie powiem o nim złego słowa. Jednak dopiero wtedy, gdy w 2003 roku zostałem autorem W.A.B., ruszyła promocja i zaczęło się wiele mówić o moich książkach.

Kiedy poczułeś, że naprawdę się dzieje?

– Gdy wystąpiłem w programie „Kawa czy herbata” w TVP. To był pierwszy polski nadawany na żywo program śniadaniowy. Nie mam tremy, ale wtedy nogi mi drżały.

Gdy w 2006 roku dostałem Paszport „Polityki”, poczułem, że nie dam rady łączyć pracy naukowej, pisania habilitacji z pracą literacką i wyjazdami na spotkania autorskie. Na szczęście była przy mnie osoba twardo stąpająca po ziemi, czyli moja żona, która doskonale wiedziała, kiedy nadejdzie właściwy czas, by odejść z uczelni. Uznała, że jeszcze chwilę powinienem poczekać. Długo to nie trwało. W roku 2007 opuściłem mury uniwersytetu.

Wspomniałeś o promocji. 25 lat później jest zupełnie inny świat?

– Tak. Na początku wieku chodziłem do empiiku, przeglądałem gazety, szukając z duszą na ramieniu recenzji swoich książek. Przejmowałem się krytycznymi opiniami.

Dzisiaj jest zupełnie inaczej – omówienia pojawiają się w internecie już w dniu premiery, a krytycznych uwag jest w sieci mnóstwo. Istnieją portale w rodzaju Lubimyczytać.pl. Czytam je, cenię pracę zatrudnionych tam osób oraz noty zwykłych czytelników. Dzięki nim autor może przekłuć własne pisarskie ego. Jeśli czytasz o sobie bardzo krytyczne, czasami nawet nieuzasadnione opinie, zyskujesz świadomość, że nie jesteś pępkiem świata. Rozumiesz, że odbiór twoich książek jest jak sinusoida – raz lepiej, raz gorzej. Wiesz, że nie zawsze udaje ci się zachować ten sam poziom. To doświadczenie literackiego weterana, którym jestem.

Dobre książki na lato. Wyberzmy je razem



Zapraszamy do wspólnego stworzenia listy książek dobrych na lato – inteligentnych i wciągających.

Wojciech Szot

Olg Tokarczuk w „Lalce i perle” pisała, że „czytanie dobrej powieści sprawia przyjemność i radość”. Czy przyjemność i radość dają nam książki zaliczane do kanonu literatury? Niekoniecznie.

Mark Twain: „Klasyka to to, co wszyscy chcieliby przeczytać i czego nikt nie czyta”.

Dlatego „Wyborcza” zaprasza Was do zabawy. Stworzmy razem listę książek, które wciągają. Które chce się czytać do późna w nocy, które zabierzemy na wakacje i polecimy znajomym. Mądre, zaskakujące, przyjemne. Kryminały, powieści obyczajowe, westerny, klasyka albo nowości – bez ograniczeń. Chodzi o książki, które dają radość, a często nie trafiają na listy nagród literackich.

Dziennikarze „Wyborczej” już wybrali 25 tytułów. Teraz kolej na Ciebie!

Jeśli brakuje Ci na tej liście jakiegoś tytułu – zgłoś go. I napisz kilka zdań, dlaczego warto po niego sięgnąć.

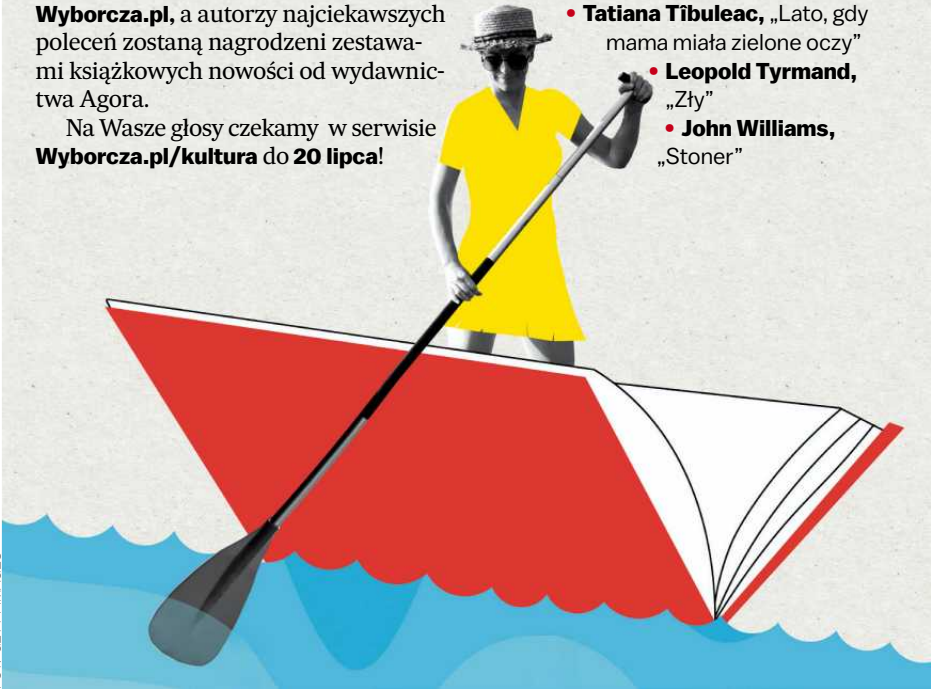
Wasze propozycje i najciekawsze uzasadnienia będziemy publikować na **Wyborcza.pl**, a autorzy najciekawszych poleceń zostaną nagrodzeni zestawami książkowych nowości od wydawnictwa Agora.

Na Wasze głosy czekamy w serwisie **Wyborcza.pl/kultura** do **20 lipca!**

LISTA KSIĄŻEK NA LATO, KTÓRE WYBRALIŚMY W „WYBORCZEJ”:

- **Douglas Adams**, „Autostopem przez galaktykę”
- **Lucia Berlin**, „Instrukcja dla pań sprzątających”
- **Agatha Christie**, „I nie było już nikogo”
- **Suzanne Collins**, „Igrzyska śmierci”
- **Umberto Eco**, „Imię róży”
- **Elena Ferrante**, „Genialna przyjaciółka”
- **Fannie Flagg**, „Smażone zielone pomidory”
- **David Grann**, „Sprawa Wagera”
- **John Irving**, „Świat według Garpa”
- **Stephen King**, „Misery”
- **Marek Krajewski**, „Śmierć w Breslau”
- **Stieg Larsson**, „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”
- **Ursula Le Guin**, „Lewa ręka ciemności”
- **Harper Lee**, „Zabić drozda”
- **Mariana Leky**, „Sen o okapi”
- **Orhan Pamuk**, „Muzeum niewinności”
- **Ota Pavel**, „Śmierć pięknych saren”
- **Terry Pratchett**, „Zbrojni”
- **Andrzej Sapkowski**, „Miecz przeznaczenia”
- **Dominika Słowik**, „Zimowla”
- **Zadie Smith**, „Białe zęby”
- **Elizabeth Strout**, „Olive Kitteridge”
- **Tatiana Tíbuleac**, „Lato, gdy mama miała zielone oczy”
- **Leopold Tyrmand**, „Żył”
- **John Williams**, „Stoner”

FOI GETTY IMAGES



Przesadzasz.

– Wojtek, ja napisałem 32 książki! Jestem starym pisarzem, prawda?

Kraszewski napisał ponad 200.

– To mnie uspokoiłeś.

Ale poczekaj, umknął mi jakiś wątek... O wiem! Promocja. Jest ona sporym obciążeniem dla niektórych autorów. To nie tylko literackie podróże czy wywiady, ale też prowadzenie kont na platformach społecznościowych. Niektórzy autorzy bywają wręcz przymuszani przez wydawców do ich osobistego prowadzenia.

Sam byłeś aktywniejszy kiedyś w socialach.

– Prowadziłem profil, na którym zamieszczałem trzy wpisy tygodniowo. Tematem jednego z nich było moje życie literackie, drugiego – Wrocław, trzeciego – inne moje aktywności i zainteresowania. To było czasochłonne, w pewnym momencie brakowało mi tematów, szczególnie z dwóch pierwszych dziedzin. A ja jestem człowiekiem, jak już wiesz, nastawionym zadaniowo. Miałby być trzy wpisy, to były trzy.

Jest też inna zmiana w życiu literackim.

Polityka wtargnęła do literatury. Gdy na początku lat dwutysięcznych spotykaliśmy się na festiwalach literackich, nie rozmawialiśmy prawie wcale o polityce. Byliśmy szczęśliwi, że wchodzimy do Unii Europejskiej, przepelnieni nadzieją. Choć mieliśmy odmienne poglądy, nikt nikogo nie stawiał poza nawias środowiska. Pamiętam raczej dobrą atmosferę wspólnoty ludzi pióra. Dzisiaj jest inaczej.

W twoich książkach aktualnej polityki nigdy nie było.

– Nie chcę – ani jako Marek Krajewski, ani ustami moich bohaterów – wypowiadać się na tematy polityczne i religijne.

Boisz się?

– Nie, po prostu nie chcę antagonizować. Nie chcę w literaturze popularnej, która z definicji winna być kierowana do wielu, wznosić murów niechęci. Nie chcę dzielić.

Ale może właśnie dzięki literaturze mógłbyś kogoś przekonać do rewizji

poglądów, przesunąć go na skali. Nie ma w tobie pozytywistycznej pasji?

– Niewiele. Za to wielu moich kolegów po piórze wypowiada się na tematy polityczne i robi to bezkompromisowo. Im to zostawiam, sam dobrze się czuję w bezpiecznym kostiumie retro. Moje retropisanie łączy ludzi o różnych poglądach politycznych. Ale mój wybór kostiumu historycznego nie był spowodowany – co podkreślam expressis verbis – chęcią uniknięcia antagonizującej teraźniejszości. Fascynacja historią Wrocławia było moim jedynym impulsem.

W „Cyklopie”, najnowszej powieści, jednak sięgasz po bardzo trudną przeszłość. Pisziesz o postawach Polaków podczas II wojny światowej. I te postawy są często wręcz ekstremalne. Są zdrajcy, antysemita, kolaboranci.

– Literatura powinna być – jak mówił Stendhal – zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu. Dzisiaj rolę tego zwierciadła przejęła literatura popularna, także kryminał. Mój gościniec jest historyczny. Pokazuję ludzi postawionych przed bardzo trudnymi decyzjami. Czy bronić najbliższych kosztem wspólnoty? Czy wybrać „większe dobro”, ale przy okazji samemu stracić coś dla siebie cennego? Kogo bronić – bliskich czy ojczyzny? Podczas wojny ludzie stają przed takimi dramatycznymi wyborami, są poddawani okrutnym próbom.

Nie chcę za wiele zdradzać, ale moi bohaterowie będą podejmowali decyzje, które czytelnicy różnie ocenią. „Cyklop” to początek nowego cyklu, w którym Popiełski jest kapitanem Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej. Nie wiem jeszcze, ile książek w tym cyklu powstanie. Ale chciałem w ten świat wejść z przytupem, to znaczy rozwijając wiele wątków. Czy to mi się udało? Nie mnie oceniać.

Tematy, które poruszasz w „Cyklopie”, potrafią wciąż budzić kontrowersje.

– Być może. Ale te kontrowersje podsumowałbym jednym zdaniem: tak właśnie było. Tematy te budują świat przedstawiony, w którym się czuję dobrze i bezpiecznie. Moje wycieczki do współczesności może nie były porażką, ale też przechodziły raczej bez echa.

Myślisz o „Ostatnim pisarzu”? Rzeczywiście więcej się o tej książce mówiło przed jej wydaniem niż po nim.

– Los nie był też łaskaw dla powieści retro, która nie była typowym kryminałem, lecz raczej horrorem. To wydana w 2022 roku „Demonomachia”, do której mocno się przyłożyłem, także emocjonalnie. Opisałem w niej świat Żydów zamieszkujących na przełomie XIX i XX wieku podkrakowskie Podgórze. Recepcję tej książki pokrzyżował los. Ukazała się ona dwa dni przed pełnoskalową rosyjską agresją na Ukrainę. Mało kto się wtedy interesował czymś więcej niż wojną.

Ale wracając do „Ostatniego pisarza”... Temat tej dystopii rozgrywającej się w 2077 roku okazał się chyba zbyt radykalnie odmienny od tego, do czego przyzwyczaiłem czytelników. Gdy kilka miesięcy później ogłosiłem, że wracam do bezpiecznego świata retro, usłyszałem z ich strony głosy aprobaty. Skoro czytelnicy chcą ode mnie takiego świata, to dlaczego miałbym być temu przeciwny?

Choćby z powodu ambicji literackich.

– Nie mam wielkich ambicji, a moich wypowiedzi o nietrafionych eksperymentach nie traktuj, proszę, jako narzekania. Jedno z najmańdrzejszych i tautologicznych, czyli logicznie zawsze prawdziwych zdań, brzmi: „Jest, jak jest”. Podpisuję się pod nim obiema rękami. Traktuję pisanie jako pracę i jestem szczęśliwy, że mogę z niej żyć. Uwielbiam ją, ale to zawsze praca. A po latach pracy jest emerytura. Nie widzę powodu, dla którego pewnego dnia nie miałbym zostać po prostu emerytem. Wtedy zajmę się czymś innym.

Czym?

– Filozofia. Zwłaszcza starożytną. Teraz tłumaczę „Rozmyślania” Marka Aureliusza. Nie dlatego, że tłumaczenie Krzysztofa Łapińskiego sprzed 15 lat jest złe, wręcz przeciwnie! Dlatego, że chcę przygotować tłumaczenie przeplatające się z osobistym komentarzem. Komentarz i przekład muszą być stylistycznie jednolite.

Dlaczego Marek Aureliusz?

– To pisarz, który w pewnym momencie życia bardzo mi pomógł. To osobista sprawa, nie chcę o niej zbyt dużo mówić. Bardzo wiele mu zawdzięczam.

Dużo ci brakuje do momentu, gdy będziesz mógł przejść na emeryturę?

– Trochę. Zawsze są jakieś wydatki. Mam 59 lat i myślę, że będę pisał książki do 70. roku życia. Zatem przede mną jeszcze przynajmniej dwadzieścia książek. Dwie na rok to częstotliwość, która pozwala mi żyć z pisaniami.

Masz już wnuki. Myślałeś o książce dla nich?

– Nie, literatura dziecięca mnie nie kusi. To byłby kolejny eksperyment. Jak widzisz, że znoszę eksperymenty, choć dużo się dzięki nim ucze. Eksperymenty literackie jak „Ostra”, „Demonomachia” czy „Ostatni pisarz” okazały się ryzykowne.

„Ostatniego pisarza” przeczytałem z dużym zainteresowaniem. Rozważasz w nim, co się stanie z pisaniem, literaturą w sytuacji rozwoju sztucznej inteligencji.

– W rozmowach z pisarzami jest pewien stały zestaw pytań. „Skąd pomysł?”, „Co pana inspiruje?”, „Dlaczego to miasto?”. Nie kpię z tego, to ważne pytania i chętnie na nie odpowiadam. W ostatnich latach doszły do nich kolejne kwestie: co zmieniła w moim życiu literackim pandemia koronawirusa oraz czy nie obawiam się sztucznej inteligencji.

Prawdę mówiąc, długi czas sztuczna inteligencja zupełnie mnie nie interesowała. Lubię nowinki technologiczne, ale bardziej interesują mnie gadzety nieelektroniczne. Mam na przykład specjalną gilotynkę do jakiej na miętko.

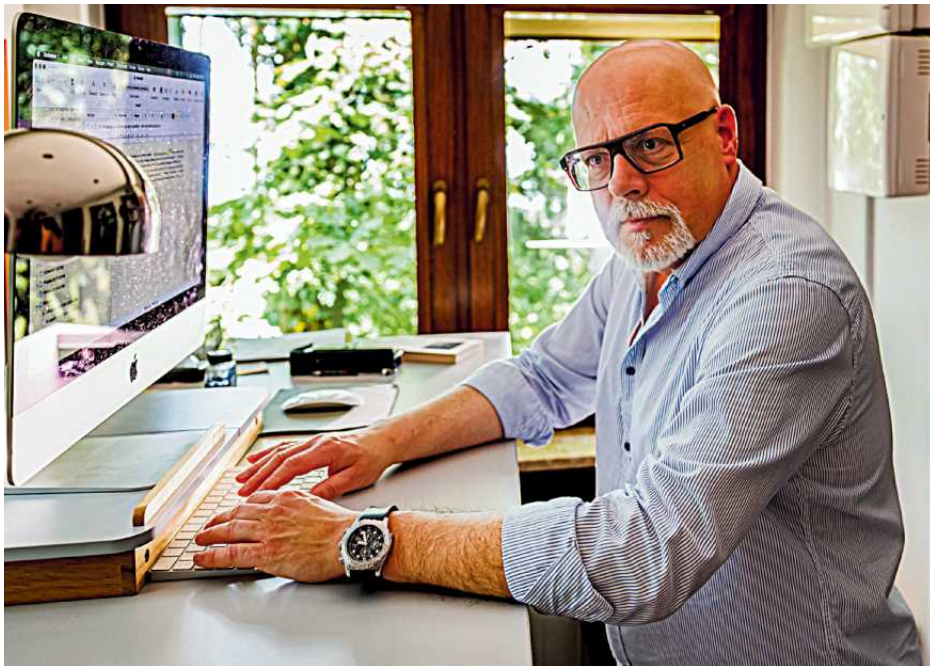
Co masz?!

– Takie narzędzie, które pozwala idealnie otworzyć jajko ugotowane na miętko.

Wróćmy do sztucznej inteligencji.

– Zaciekawilo mnie, że współcześnie coraz popularniejsi stają się bajarze. Ludzie, którzy zawodowo opowiadają bajki. Dzieciom i dorosłym. Czyż to nie świadczy o tym, że w techniczonym świecie szukamy sposobów na powrót do źródeł? Do tradycji homeryckiej.

Dlatego przyszłość mnie nie przeraża – nawet gdyby sztuczna inteligencja całkowicie przejęła literaturę, to zawsze będzie

**Marek Krajewski. Pisarz i filolog klasyczny**

• Rocznik 1966. Autor kryminałów i doktoratu pt. „Prozodia greckich zapożyczeń u Plauta”. Debiutował w 1999 roku powieścią „Śmierć w Breslau”, której bohaterem uczynił Eberharda Mocka, funkcjonariusza wydziału kryminalnego policji z początku XX wieku. W 2009 roku ukazała się „Głowa Minotaura”, w której do życia powołał postać Edwarda Popielskiego, międzywojennego lwowskiego komisarza policji, absolwenta Uniwersytetu Wiedeńskiego na wydziale filologii. Krajewski jest laureatem m.in. Paszportu „Polityki”.

miejsce dla osób, które opowiadają. Te rozważania stały się właśnie kanwą „Ostatniego pisarza”.

Popularność audiobooków, podcastów czy choćby to, że w internetowym wydaniu „Wyborczej” można nas nie tylko czytać, ale także słuchać, świadczą o powrocie do oralności?

– Wydaje mi się, że tak. Sam korzystam z dobrodziejstw technologii. Kiedy robię codzienny marszobiegi, zwykle słucham audycji albo audiobooków. Uwielbiam książki w interpretacjach znakomitych aktorów jak na przykład Krzysztof Gosztyła.

Jeśli zaczniemy raczej słuchać, niż czytać, to w przyszłości w inny sposób będą się kształtowały nasze funkcje poznawcze.

– Człowiek przyszłości na pewno będzie komunikował się inaczej niż dzisiaj. Pisząc „Ostatniego pisarza”, wyobraziłem sobie wydział filologiczny uniwersytetu. Jak się zmieni, gdy sztuczna inteligencja będzie w czasie rzeczywistym przekładała mowę.

Każdy, kto uczył się języków obcych, wie, ile wysiłku to kosztuje, ale też – jak zmusza mózg do pracy. Rumuńska neurobiolożka Viorica Marian w książce „Potęga języka” udowadnia, że im więcej znasz języków, tym lepiej postrzegasz świat i masz mniejsze szanse na demencję.

Po 1989 roku
zapotrzebowanie na
opowieść o przedwojennym
Wrocławiu było olbrzymie.
Wychodziły albumy
w rodzaju „Wrocław na starej
fotografii”. Kupowałem je
namiętnie

Ale po co uczyć się języków w dystopijnym świecie, w którym AI natychmiast tłumaczy wszystko w czasie rzeczywistym? Ile osób zrezygnuje z ciężkiej pracy, a później z tej satysfakcji, jaką ci daje świadomość, że dzięki obcemu językowi wchodzisz w obcy świat? To fascynujące pytania, które rozwijałem w „Ostatnim pisarzu”.

Czy bohaterowie twoich książek dużo czerpią z samego Marka Krajewskiego?

– Są pisarze, którzy twierdzą, że nie mają nic wspólnego ze swoimi bohaterami. Ja nie mogę tego o sobie powiedzieć, choćby dlatego, że moimi protagonistami są filologowie klasyczni prezentujący dużą dbałość

o powierzchowność. Dzisiaj jestem ubrany na sportowo, ale zazwyczaj chodzę w garniturze.

Czerwone skarpetki dopasowane do czerwonych sznurówek. Doceniam.

– Pedantem jestem. Gdy wracam do domu i żona przestawi kwiaty, to zawsze zauważę.

Jakim jesteś czytelnikiem?

– Rzadko sięgam po beletrystykę. Lubię książki filozoficzne pisane zwłaszcza w nurcie analitycznym. Ale kiedy się już zmęczę suchymi wywodami logicznymi, potrafię nieomal rzucać się na powieści. To coś na kształt umysłowego resetu. Przypomina to sytuację, gdy w upalny dzień wchodzisz do starej kamienicy, by znaleźć ochłodę. Gdy mam ten moment resetu, czytam zachłannie i szybko. Codziennie jedną książkę. Trwa to przez dwa-trzy tygodnie. I koniec. Po tym szaleństwie wracam do mojego uporządkowanego świata. Można powiedzieć, że literatura jest moją kompulsją.

Dużo czytam też na użytek mojej pracy. Od lat fascynują mnie powiązania między nazizmem a okultyzmem, o czym z pewnością wiedzą moi stali czytelnicy.

Okultyzm fascynuje cię tylko zawodowo?

– Tak, wyłącznie jako materia literacka.

Krajewski pisarz i Krajewski po godzinach pracy to często dwie różne osoby. Kiedy po tych pięciu godzinach i czterdziestu dwóch minutach wstaję od biurka – a dodajmy, że zatrzymuję minutnik nawet w momentach, gdy rozmawiam przez telefon czy idę na obiad – to już nie myślę o mojej pracy. Poza jednym momentem – gdy tworzę plan akcji. Wtedy myślę o fabule planowanej aktualnie powieści nieustannie, bo mam przed sobą problem do rozwiązania. Kiedy już mam wszystko ułożone i zaczynam pisać, to mogę wrócić do trybu zadaniowego.

A kiedy już będziesz miał te 70 lat i postawisz ostatnią kropkę w ostatniej dokładnie zaplanowanej książce. To co dalej? Co z tymi pięcioma godzinami i czterdziestoma dwiema minutami?

– Nie wiem sam. Teraz, gdy kończę książkę – a zawsze wysyłam ją do mojej redaktorki w dniu, na który się umówiliśmy – przez pierwsze dni wolne od pracy czuję nieuzasadnione wyrzuty sumienia, że leniuchuję, mam wrażenie, że pływam bezwładnie w jakiejś gęstej magmie. Więc pewnie będzie podobnie.

Może musisz ten moment zaplanować?

– To dobry pomysł. Zaplanowałbym wtedy wyjazd do Rzymu. To moja druga ojczyzna. ●

• Zdjęcia Marka Krajewskiego zrobiono 23.06.2025 w Antoninie: w Pałacu Myśliwskim Książąt Radziwiłłów oraz w domku letniskowym pisarza

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34383921

WSPRZEDAŻY**ŻYCIE Z AI:** Jak z niej korzystamy i dlaczego rozmawiamy z chatem GPT?**DOROTA KOLAK:** Nie lubię błyszczeć**KATARZYNA PAKOŚIŃSKA:** Jak mnie wychowano**wysokieobcasy**
extra**W PREZENCIE:** magazyn „Psychologia dla rodziców”



FOT. ROBERT PALKAN/NETFLIX

CHCEMY WSZYSCY WOLNOŚCI? JA TEŻ

Postrzegam się przede wszystkim
jako aktorkę teatralną.
W teatrze nie ma protez ani miejsca na asekurację.

Z MAŁGORZATĄ KOŻUCHOWSKĄ
ROZMAWIA MAJA STANISZEWSKA

Jest pani zapracowaną aktorką. Nie marzyła pani nigdy, żeby zostać taką Anielą, jaką gra pani w serialu – kobietą, której mąż zarabia, a ona wydaje?
– Nie, bo zawsze chciałam być niezależna i wolna. Wręcz mówiłam mamie, że nie wyjdę za mąż, nie będę nikogo obsługiwać, nie potrzebuję tego. Byłam tak ortodoksyjna, że jak się umawiałam na randki, to płaciłam za siebie, nie chciałam musieć być potem za coś wdzięczna.
W końcu jednak wyszłam za mąż. I to jest super, że człowiek dojrzewa do pewnych rzeczy. Uważam jednak, że kobieta, także w małżeństwie, musi mieć pole do samorealizacji i musi mieć swoje pieniądze. Wybrałam zawód aktorki, bo uważałam, że będę w tym dobra i że będzie mi to sprawiało przyjemność. Ale też miałam poczucie, że to jest zawód, który będzie mi dawał wolność.
Myślę, że to pokłosie czasu, w którym się urodziłam i wychowywałam. My tej wolności byliśmy pozbawiani, moi rodzice musieli o nią walczyć. Byłam tego świadkiem. „Solidarność”, radość z wyboru papieża Polaka, strajki, pierestrojka, upadek muru berlińskiego, wybory kontraktowe – ja tym nasiąkałam, to była moja rzeczywistość.

Zna pani prawdziwe Aniele?
– Znam historie podobne na tym pierwszym poziomie, historie niepracujących żon bardzo bogatych mężów, ale takich nieobliczalnych i odważnych osób bez żadnych hamulców jak Anieli nie znam. Mimo że straciła swoje dotychczasowe dostatek w willi pod Warszawą i wylądowała w mieszkanku na Pradze, Anieli się nie poddaje. Choć właściwie co ruch, to skuch.

Oglądając serial, zastanawiałam się, co ona właściwie potrafi? Ma dobry gust, ale to tyle.
– Rzeczywiście jej nowe znajome z pracy czy z osiedla mówią: „Chcemy być takie jak ty, naucz nas, jak się zachowywać, ubierać, jakie pić wino, by się odnaleźć w dobrym towarzystwie”. Świat, z którego pochodzi,

jest dla nich światem kompletnie abstrakcyjnym i nieznanym.
Zresztą nie tylko dla nich. Kiedyś spacerując po obrzeżach Parku Zdrojowego w Konstancinie, natknęłam się na nowoczesną willę, taki dom totalny z obłędnym widokiem na las. Zastanawiałam się, kto tam zamieszka, czym się zajmuje, jak wygląda życie tych ludzi. Stworzyłam sobie historię w głowie, która niekoniecznie musi być prawdziwa. I co się okazało? Ten dom zagrał dom Anieli.
Anieli ma poczucie własnej wartości i umie to wykorzystać. Wie, jak się ubrać, jak prowadzić rozmowę, jak zrobić wrażenie. Potrafi też zarazić energią, przekonać do projektu, snuć wizje. Ma osobowość.

Na męża jednak przestało to działać i ją zostawił.
– Kryzys wieku średniego. Takie historie, umówmy się, zdarzają się dość często.
Anieli wydaje się totalnie egocentryczna, nastawiona na siebie, na przyjemności, korzystanie z życia...

...za jego pieniądze...
– ...ale też nie wiadomo, ile ona włożyła w ich wspólne życie, w dom, w jego sukces. Tego serial nie wyjaśnia.
A ja znam taką historię. Naprawdę wspaniałe małżeństwo, tylko zazdrościć albo bić brawo. I nagle mąż wdaje się w romans z osobą, z którą jest na co dzień w pracy. Żona, która pomagała mu stawiać firmę od zera, pracowała z nim na jej sukces, ale po urodzeniu dzieci zajęła się nim i domem, występuje o rozwód z orzeczeniem o winie i zaczyna się wojna totalna o podział majątku, o tę firmę.
Bardzo mi się to połączyło z Anielą. Ona w areszcie, do którego trafia po incydencie z mężem, krzyczy: „Państwo nie broni zdradzanych kobiet”. Bardzo się z tym zdaniem identyfikowałam, bo pamiętałam, ile ta moja znajoma wysiłku włożyła w zbudowanie wspólnego majątku i w to, żeby życie jej rodziny było wręcz bajkowe. Co z tego, że nie chodziła codziennie do pracy?

• **Serial „Anieli” (2025), scen. Paweł Demirski, reż. Jakub Piątek i Kuba Czekaj. Jako snobka, którą mąż zostawia bez grosza i która odnajduje na nowo sens życia na warszawskiej Pradze. Najnowsza polska produkcja Netflixa**

Serial jest satyrą, wiele jest w nim przejaskrawione. Ale to nie jest tak, że pani bohaterka nie zna świata bez wielkich pieniędzy, bo przecież musi pamiętać czasy PRL.
– Dobrobyt może sprawić, że ludzie zapominają. Albo nie chcą pamiętać.
Ja pamiętałam czasy PRL. Wychowałam się na toruńskim Rubinkowie, osiedlu bloków z wielkiej płyty między Wisłą a Elaną, zakładami produkcji włókien sztucznych. Były i mrówki faraona, i karaluchy, i zsypy.
W mieszkaniach wszyscy mieli ten sam tapczan, ten sam regał, a jak się udało gdzieś zdobyć dywan, to było święto. Mama szyła mnie i siostrze ubrania z tego, co udało się akurat kupić. Do dziś pamiętam spódnice z płótna harcerskiego, na której coś wyhaftowała, żeby nie była taka smutna. Mama była bardzo uzdolniona, miała dobry gust, który po niej odziedziczyłam.
Byłam szczęśliwym dzieckiem, grałam w gumę, siedziałam na trzepaku, chodziłam na spacer z psem. Ale też dosyć szybko – od szóstej klasy szkoły podstawowej, kiedy postanowiłam, że zostanę aktorką – jeździłam z tego mojego blokowiska dwa razy w tygodniu do Młodzieżowego Domu Kultury na Starówce na zajęcia teatralne. A Starówka toruńska jest piękna, więc już wtedy miałam zderzenie dwóch światów.
Miałam też niezwykłą podstawówkę, w której pierwszy dyrektor Józef Wesołowski wprowadził demokrację, był uczniowski sejm, był prezydent, premier, ministrowie. Było to niezwykle jak na przełom lat 70. i 80., wszystkie delegacje zagraniczne, które przyjeżdżały do Torunia, odwiedzały naszą szkołę. Zostałam wybrana na prezydentkę, ale drugi rok mojej kadencji przypadł na nową dyrektorkę, która traktowała całą tę szkolną demokrację fasadowo. Dzięki jed-

nak warunkom, w których się wychowywałam, potrafiłam się odnaleźć w rzeczywistości po 1989 roku.

Są trzy aktorki Kożuchowskie: ta z popularnych seriali, ta z Teatru Narodowego, a wcześniej Dramatycznego i ta filmowa.
– Ale to cały czas jedna i ta sama Kożuchowska. Choć czasem słyszę od osób, które mnie znają z seriali, a przyjdą na spektakl: „Nie wiedziałam, że pani robi takie rzeczy”. Żeby zobaczyć, jaką naprawdę jestem aktorką, trzeba przyjść do teatru.
W kinie miałam najmniej okazji do robienia ciekawych czy przełomowych rzeczy. Zaczęłam mocną rolą w „Kilerze”, to mnie określiło jako aktorkę komediową i charakterystyczną, taką temperamentną.
Długo dostawałam podobne propozycje, odmawiałam, bo chciałam zrobić coś innego i dlatego zgodziłam się zagrać czarny charakter w serialu. Nikt nie wiedział, że Polacy tak pokochają „M jak miłość”, że będzie się ciągnęło latami. I że stanie się w pewnym momencie moją kulą u nogi.
Rola Hanka Mostowiak sprawiła, że stałam się bardzo, bardzo popularna i rozpoznawalna, a z czasem także lubiana. Na początku ludzie się plecami do mnie odwracali. Po kilku latach poprosiłam Ilonę Łepkowską, żeby spróbowała trochę Hankę zmienić. To się udało, sympatia była wielka.
W końcu jednak poczułam, że Hanka nie tylko mnie nie rozwija, ale odbiera mi inne możliwości, bo jej wizerunek zaczyna się zlewać z moim. I z jednej strony nie dostaję przez to propozycji, a z drugiej, nawet gdy je dostaję, to producenci je blokują. Wiedziałam, że muszę odejść. Bałam się, że publiczność mi tego nie wybaczy, z drugiej strony bałam się też, że producenci „M jak miłość”, którzy traktowali aktorów jak swoją własność, wręcz mi wilczy bilet i będzie mi trudno dostać pracę gdzie indziej.
Uznałam jednak, że muszę ratować siebie. Poniosę konsekwencje, ale lepiej będzie, jeśli odejdę z serialu, niż umrę w nim artystycznie. Poprosiłam, żeby Hankę uśmiercono, żeby nie było szansy, że wróci.

Te nieszczęsne kartony, w których zginęła, to była zemsta producentów?
– Nie, myślę, że to było z niechlujstwa.

Z drugiej strony ta śmierć weszła na trwałe do polskiej popkultury, została memem. Nie każdego spotyka takie wyróżnienie.

– Nauczyłam się żyć z tymi kartonami.

Kiedyś powiedziałam, że jak umrę, to nie będę miała porządnego marmurowego czy granitowego nagrobka, tylko właśnie kartonowy.

Kiedy odchodziłam z „M jak miłość”, były pretensje, nie było zrozumienia, że jako wolny człowiek mam prawo dokonywać wyborów. Po latach, w pandemii, Ilona Łepkowska wyciągnęła do mnie rękę na zgodę, co mnie bardzo ucieszyło i przyniosło rodzaj ulgi. Zrobiliśmy razem film „Zółta”, w którym zagrałam jej alter ego.

A jednak po „M jak miłość” zdecydowała się pani na kolejny serial, „Rodzinkę.pl”.

– Ale kompletnie inny! Po Hance, o której wszyscy mówili, że jest dobra do znudzenia i ciągle płacze, dostałam dynamiczną bohaterkę z poczuciem humoru, niepoprawną politycznie, niegrzeczną. Pomyślałam, że dla widza to będzie ogromny kontrast, i nie mogę z tego nie skorzystać. Uważam, że to była dobra decyzja.

Tomek Karolak powtarzał, do dzisiaj to robi, bo przecież wróciliśmy na plan serialu, że jest moją nagrodą za mękę w „M jak miłość”: „Zobaczcie, ona się tu cały czas śmieje”. I rzeczywiście. To jest też wielka zasługa producentki Doroty Kośmickiej i reżysera Patricka Yoki, którzy dbali o jakość i atmosferę na planie. Komedia wymaga rytmu, tempa, do tego bardzo dużo tekstu do nauczenia, bo ten serial stoi dobrymi tekstami - to było naprawdę energochłonne i wymagające, bo trzeba być cały czas na takim haju, ale to się przenosiło na ekran. I wszyscy oglądali.

Ostatnio Ewa Wiśniewska mi powiedziała, że dla niej „Rodzinka.pl” to najlepszy polski serial i zawsze poprawia jej humor.

Zdarzyło mi się spotkanie z kobietą w moim wieku, która mi powiedziała: „Pani Małgosiu, chciałam pani podziękować za »Rodzinkę«, ponieważ straciłam syna, który był śmiertelnie chory, i gdyby nie ten serial, to nie wiem, czybym dała radę”. Jak słyszysz coś takiego, to masz poczucie sensu tego wysiłku.

Ma pani grono oddanych fanów, dla których jest „naszą panią Małgosią”, 1,1 mln obserwujących na Instagramie...

– Odkąd pojawił się Instagram, osoby funkcjonujące w przestrzeni publicznej zaczęły same dysponować informacją o sobie i dystrybuować ją na swoich zasadach.

Wcześniej często decydowali o tym paparazzi. Robili mi sesję zdjęciową z wejścia do domu i wyjścia, ze spaceru z psem, ze śmieciami. Rok 2000 i lata kolejne to był czas, kiedy zderzyliśmy się w Polsce z prasą w nieznanej dotąd formule tabloidów, w których z każdego zdjęcia można było uszyć historię, oczywiście zabarwioną negatywnie. Koźuchowska bez makijażu to był temat. „co się stało, że taka nieszczęśliwa”, Koźuchowska wraca ze sklepu - to „ile te zakupy kosztowały” itd.

Czułam się jak zając na polowaniu, to było bardzo męczące. Dlatego postanowiłam wyprowadzić się z miasta. Ale nawet wtedy, kiedy kupiłam dom pod Warszawą, któregoś dnia podczas prac w ogrodzie, które mnie relaksują, zrobiono mi zdjęcie. W tabloidzie wystąpiłam z wypiętą pupą, jak się schylam nad rabatką, z tytułem: „Jak Koźuchowska walczy z plugastwem”. Stwierdziłam, że muszę postawić granice, bo jeżeli już wiedzą, gdzie mieszkam, i nie zareaguję, to nigdy nie wypiję w spokoju kawy w szlafroku na tarasie. Wytoczyłam proces, wygrałam i się skończyło.

Trudny czas był znów po urodzeniu dziecka. Gdy wychodziłam z nim na spacer, robiono nam zdjęcia z dronów. Oczywiście paparazzi wciąż są, ale trud-



► W filmach „Killer” (1997) i „Killer-ów 2-óch”(1999) w reż. Juliusza Machulskiego, zagrała przebojową dziennikarkę Ewę Szańską, dziewczynę głównego bohatera (Cezary Pazura)

◄ W serialu „M jak miłość”, który stworzyła Ilona Łepkowska, grała ponad dekadę. Rola Hanki Mostowiak przyniosła jej ogromną popularność, ale też ograniczała artystycznie. Odeszła z serialu w 2011 r.

▲ W komediiowej „Rodzince.pl” Patricka Yoki, gra Natalię Boską, żonę Ludwika (Tomasz Karolak), matkę trzech synów i współczesną kobietę pracującą. Serial miał 16 serii (2011-20). Wróci do TVP2 tym roku

niej przylapać znaną osobę na byciu zwyczajną, a na tym przecież głównie bazowali. Ja sobie teraz mogę sama wstawić zdjęcie bez makijażu czy w dresie. Nie jestem influencerką, nie pokazuję na Instagramie całego swojego życia ani domu, ale mogę pokazywać, że jestem normalnie funkcjonującą kobietą, która idzie do pracy, ale ma też zwykłe życie. No i mogę być w kontakcie z publicznością, odpisywać na wiadomości.

Czy taka miłość publiczności to nie jest trochę złota klatka? Nie hamuje pani przy wyborach ról? Miała pani tremę przed „Anielą”, w której gra pani osobę momentami dość odpychającą i do tego z niewyparzonym językiem?

– Zawsze mam tremę przed premierą. Ale to, że Netflix chce zrobić ze mną serial, odczułam jako rodzaj nobilitacji. A potem się okazało, że scenariusz będzie pisał Paweł Demirski. Ten Paweł Demirski.

Gdy się spotkaliśmy pierwszy raz trzy lata temu, zapytałam, czy jest na 100 procent pewien, że chce, żebym to ja grała. Mówił mi o serialu „Druga szansa”, który miał podobny punkt wyjścia, ale zapewnił mnie, że to będzie zupełnie coś innego. Mam z Pawłem ten unikalny rodzaj niewerbalnego porozumienia, jakie może zaistnieć pomiędzy ludźmi teatru - Paweł jest przede wszystkim wybitnym dramaturgiem.

Gdy przyszła propozycja „Anieli”, byłam w trudnym życiowym momencie, miałam kryzys, może właśnie wieku średniego, zastanawiałam się, czy coś się jeszcze wydarzy, czy ktoś mi zaproponuje coś, co mnie zdziwi.



Nie pokazuję na Instagramie całego swojego życia ani domu, ale mogę pokazywać, że jestem normalnie funkcjonującą kobietą, która idzie do pracy, ale ma też zwykłe życie

Uznałam, że jeżeli mam zrobić coś ryzykownego i odważnego, to chcę to robić w teamie, który weźmie ze mną współodpowiedzialność za końcowy efekt i będzie mnie wspierał. I w „Anieli” miałam Pawła, wspaniałego producentki Magdę Kamińską i Agatę Szymańską, dwóch młodych reżyserów Jakuba Piątka i Kubę Czekaja oraz wspaniałego operatora Wojtka Węgrzyna. Pytałam, czy na pewno chcą ze mną pracować. Czy nie będą się bali dawać mi uwag? Bo to tylko wtedy będzie miało sens, gdy zrobimy to razem.

W „Anieli” jest bardzo dużo moich prawdziwych emocji, mojego bólu, moich łez. Niekoniecznie na temat tego, co przeżywa bohaterka, tylko mój prywatny, związany z wiekiem, z przemijaniem, z rozczarowaniami, które miałam w życiu.

Którą aktorką pani jest najbardziej – serialową?

– Postrzegam się przede wszystkim jako aktorkę teatralną. Kocham bycie w zespole ludzi, którzy tak samo poważnie traktują projekt, wkładają w niego cały talent, energię, wyobraźnię i wrażliwość.

W teatrze nie ma protez i nie ma miejsca na asekurację.

Od początku pracowałam z wielkimi reżyserami, od których nauczyłam się dużo o zawodzie, ale też wolności, odwagi i poczucia własnej wartości. I tego, że jeżeli ktoś mnie zaprasza do projektu, to znaczy, że chce, żebym to była ja - aktorka, a nie lokomotywa, która ma nakręcić sprzedaż biletów, a potem jest zostawiona sama sobie i bywa chłopcem do bicia.

Kiedy grałam w Narodowym główną rolę w „Kotce na gorącym blaszanym dachu”, pewien krytyk napisał, że nie da się grać dużej dramatycznej roli w Teatrze Narodowym, grając jednocześnie w komediowym serialu. To zdanie rozeszło się także w portalach, które nie zajmują się teatrem. Pisano, że położyłam rolę, zepsułam przedstawienie Januszowi Gajosowi, który ze mną grał. Wylało się na mnie wszystko, co tylko mogło.

Wziął mnie w obronę nieżyjący już krytyk Zdzisław Pietrasik. Napisał, że nie widział różnicy w poziomie gry między mną a Gajosem.

A autor tego zdania, gdy go spotkałam i zapytałam, czy zdaje sobie sprawę z tego, jaką mi nim zrobił krzywdę, odpowiedział, że nie spodziewał się, że jego słowa odbiją się tak szerokim echem, że czasami się coś napisze, nie myśląc o konsekwencjach. I że przeprasza.

Przed wszystkim to nieprawda, że nie można grać jednocześnie w dramatycznym spektaklu i komediowym serialu.

– Kiedyś się mówiło, że seriale psują aktorów, ale ja cały czas grałam w teatrze, cały czas byłam w ryzach dyscypliny aktora teatralnego. Ale podchodziłam poważnie i do pracy w serialu. Nie grałam na niby i lewą ręką. Wydaje mi się, że dlatego właśnie moje postaci serialowe są tak pamiętane.

Jednak miała pani w teatrze długą przerwę.

– Różne rzeczy się na to złożyły. Ale krótko po premierze „Kotki...” zaszłam w ciążę. Jestem późną mamą i bardzo musiałam się o dziecko postarać. To było moje marzenie, wiedziałam, że to jest ostatni dzwonek. Ciąża była zagrożona, musiałam leżeć przez początkowe trzy miesiące, zrezygnować z pracy.

Ale z niespełna trzymiesięcznym Jasiem, którego karmiłam, wróciłam na plan „Rodzinki.pl”. Czułam się odpowiedzialna za ten projekt. To był dla mnie bardzo trudny czas. Zima, więc te wszystkie ubrania, beciki, pieluchy, fotelik, wózek, nie pamiętam, czy kiedykolwiek w życiu kłamałam tyle, co w tych pierwszych miesiącach.

To był wyraz mojej frustracji tym, że powinienam być mamą w domu, a jestem mamą aktorką, która stara się pogodzić jedno z drugim. Mąż bardzo mi wtedy pomógł. A wkrótce potem dostałam propozycję z TVN serialu „Druga szansa”...

Do Narodowego pani nie wróciła.

– Dyrektor Jan Englert, za co jestem mu bardzo wdzięczna, zostawił mi otwarte drzwi. Nie usunął z zespołu, umówił się ze mną, że jeżeli coś się dla mnie pojawi, to da znać.

I pojawił się Wojciech Faruga ze spektaklem „Matka Joanna od Aniołów”. Zaryzykowałam, bo miałam wątpliwości, czy nie



FOT. TVP MAGDA HUECKEL / TEATR NARODOWY W WARSZAWIE



◀ W spektaklu „Matka Joanna od aniołów”, w roli tytułowej przeoryszy. Na podstawie opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza, w reżyserii Wojciechów Faruga. W repertuarze Teatru Narodowego od 2020 r.

▲ W sztuce „W imię Jakuba S.”, którą dla Teatru TV wyreżyserował Paweł Demirski. Postać Jakuba Szeli oglądana ze współczesnej perspektywy aspirującej „klasy średniej”. Do obejrzenia w serwisie TVP.PL

będzie z tego zadamy, ale to była wspiania-lą praca. Do dziś ten spektakl gramy. Uwielbiam go, bo jest o rozdarciu człowieka między sacrum a profanum.

Matka Joanna wymyśliła sobie, że będzie święta. Miała osobowość i charyzmę, ale może była opętana? Może udawała? U Iwaszkiewicza nie wiadomo, na ile ona konfabuluje, a na ile rzeczywiście wpłatanę są tam siły nieczyste. I nasze przedstawienie też nie daje na te pytania jednoznacznych odpowiedzi.

Sama ich szukałam, szukałam klucza do tej postaci. I pamiętam: jestem na mszy u dominikanów na warszawskim Służewcu i nagle z ust ojca Krzysztofa Pałysa pada zdanie, że człowiek nie jest w stanie sam siebie uświęcić. I tak znalazłam klucz do postaci.

W różnych sytuacjach w życiu, czasem naprawdę trudnych, to mi się zdarza. Wtedy myślę sobie: „Boże, czujesz nade mną, kochasz mnie, nie jestem sama”.

I tak jak ludzie mnie zawodzą i czasami rozczarowują, to Bóg nigdy.

Tak też było, gdy zrozumiałam, że jeśli nie spróbuję zostać mamą, to będę żało-

wać. Bo dziecko daje spełnienie. Bo choć lubię mój zawód, to nie da się w nim spełnić do końca. Wiedziałam, że przyjdzie moment, kiedy będę się zastanawiać, dlaczego nie zawalczyłam o dziecko, dlaczego byłam egoistką, która sama pozbawiła się roli matki ze względu na pracę.

Tyle że kiedy się w końcu zdecydowałam, okazało się, że to już się nie udaje. Powiedziałam sobie, że zrobię wszystko, co będę mogła, a jak się okaże, że to niemożliwe, to przyjmę to z pokorą. Już po narodzinach Jasia moja endokrynolożka powiedziała, że miałam mniej niż jeden procent szans na zajście w ciążę, że przy takich wynikach, jakie miałam, nawet in vitro się nie proponuje.

Ale nie próbowała pani in vitro?

– Nie. Skupiłam się na swoim ciecie i zdrowiu. Nieregularność, stres w pracy, zmęczenie, brak regularnego snu, jedzenie czegośkolwiek i zawsze w biegu – wszystko było widać w badaniach. Ale ludzie często nie dość cierpliwie szukają przyczyny i nie są dobrze zdiagnozowani, decydują się na me-

todę in vitro, która jest potężną ingerencją w fizjologię kobiety. I niestety, często się to nie udaje. Moja cudowna i wybitna pani doktor Katarzyna Jankowska metodycznie szukała przyczyny. W efekcie mój syn ma dziś 10 lat, za chwilę już 11.

Czyli co? Mały cud?

– Dla mnie tak. I jestem wdzięczna. I mam komu dziękować.

Co pani czuje, gdy słyszy „Matka Boska Kozuchowska”?

– Przyzwyczaiłam się. Moja mama też miała taki przydomek, więc mnie nie zdziwiło, kiedy się pojawił. Zawsze mówiłam, że jestem osobą wierzącą i wiara w Boga jest dla mnie ważna. Nie będę się tego wypierać.

Rozmawiałam zimą z aktorem Ignacym Lissem, który stwierdził, że w środowisku młodych artystów powiedzenie, że się jest wierzącym, to najtrudniejszy coming out, że słyszał nieraz: „No co ty, Ignacy, jesteś taki fajny chłopak i do kościoła chodzisz?”.

– Były momenty, kiedy czułam się piętnowana, ale zawsze będę mówiła, że jestem wierząca.

Bardzo dużo mówi się o wolności, o prawie do stanowienia o sobie i życia na swoich zasadach. Dlaczego ja miałabym go nie mieć? Chcemy wolności wszyscy? Ja też.

Jedni wierzą, inni nie. Ja tego nie oceniam. Patrząc na moje wypowiedzi z tych już prawie 30 lat, widać, że nikogo ani nie agitowałam, ani nie deprecjonowałam ze względu na wiarę lub jej brak. Niech każdy żyje tak, jak chce, dopóki nie wyrządza innym krzywdy.

W pracy, w której spotykam się z bardzo różnymi osobami, różnymi ze względu na pokolenie, w którym dorastali, stosunek do religii, przekonania polityczne – nigdy nie czułam, że jestem persona non grata. Natomiast odczuwałam ostracyzm w przestrzeni publicznej. Są rejony, do których nie mam wstępu, ale wolałabym ich nie nazywać, no bo po co? Może nagle ktoś mnie zaskoczy? Tak jak zaskoczył „Anielą”.

Powiedziała pani kiedyś w wywiadzie, że słyszy czasem o sobie określenia „katolka” czy „seksiara”.

– Tak, ale te słowa nie padają nigdy do mnie bezpośrednio. Ludzie mi relacjonują różne reakcje, także przewracanie oczami, że mnie obsadzono w jakiejś roli.

Paweł Demirski obsadził panią w napisanym i reżyserowanym przez siebie spektaklu „W imię Jakuba S.” w Teatrze Telewizji. Mój redakcyjny kolega Witold Mrozek napisał w recenzji, że nie kojarzy się pani z lewicowym teatrem, a jednak się pani w nim odnalazła. To kierunek, który panią interesuje?

– A co to w ogóle znaczy, że teatr jest lewicowy albo prawicowy? W mojej ocenie

pewne aspekty życia społecznego nie powinny mieć ani barw politycznych, ani ideologicznych.

O wolności i o prawie do decydowania, o tym, jak się chce przeżyć swoje życie, już mówiłam. W trakcie prób do „W imię Jakuba S.” dużo rozmawialiśmy o sytuacji młodych ludzi, którzy teraz są na starcie. Na przykład o kredytach hipotecznych – gram tam przecież straszną panią z banku – a raczej o tym, że młodzi ludzie nie mają dziś szans, by kredyt dostać.

Identyfikuję się z tymi wyzwaniem wchodzącej w dorosłe życie młodzieży. Pamiętam, że jako młoda dziewczyna mierzyłam się z podobnymi myślami.

Dzięki tacie miałam książeczkę mieszkaniową, założył ją mnie i moim siostrą, gdy byliśmy małe. Był taki rytuał, że w dniu wypłaty kupował jakiś rarytas – pierniki albo śliwki w czekoladzie, jakąś książkę, i mówił, że mamy też wpłacone na książeczkę. Kiedy po 10 latach pracy, grając w popularnym serialu, kupowałam na kredyt swoje pierwsze w życiu mieszkanie w Warszawie, postanowiłam, że nie stracę tych pieniędzy. I aż mi się chciało płakać, bo pamiętałam te lata, kiedy mój tata je zbierał, a po rewaloryzacji okazały się to jakieś grosze. Ale wiedziałam, że to była mojego ojca krwawica, rodzice nigdy nie zarabiali kokosów, bo byli nauczycielami, a wychowali i wykształcili nas trzy.

Więc zawsze będę orędowniczką równego i bezpłatnego dostępu do edukacji czy służby zdrowia dla wszystkich. Bo państwo jest od tego, żeby to swoim obywatelom zapewnić. ●

Małgorzata Kozuchowska

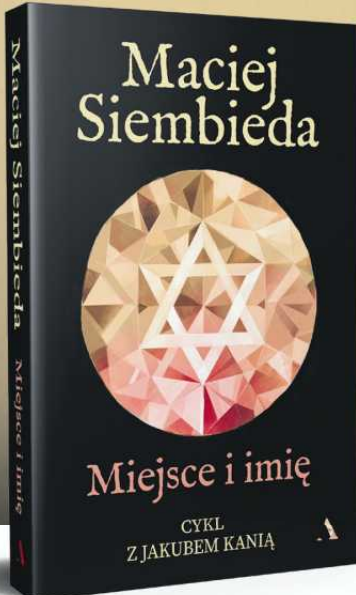
• aktorka teatralna, serialowa i filmowa, absolwentka PWST w Warszawie (1993). Po dyplomie dostała angaż w Teatrze Dramatycznym. Debiutowała w spektaklu muzycznym „Człowiek z La Manchy” w reż. Jerzego Gruzzy (1994). Później występowała m.in. u Piotra Cieślaka w „Jak wam się podoba”, Krzysztofa Warlikowskiego w „Poskromieniu złościci”, Grzegorza Jarzyny w „Niezidentyfikowanych szczątkach ludzkich i prawdziwej naturze miłości” czy u Jerzego Jarockiego w „Błędzeniu”.

• Od 2005 r. w zespole Teatru Narodowego. Grała m.in. w sztukach w reżyserii Jarockiego czy obleganej przez publiczność „Kotce na gorącym, blaszanym dachu” w reż. Grzegorza Chrapkiewicza, gdzie partnerował jej Janusz Gajos, a ostatnio w „Matce Joannie od Aniołów” i „Fauście” w reż. Wojciecha Farugi.

• W kinie miała mniej szczęścia. Jej najbardziej znaną rolę jest ta w „Kilerze” Juliusza Machulskiego z 1997 r. Popularność zdobyła rolami w serialach TVP „M jak miłość” czy „Rodzinka.pl”, który po pięcioletniej przerwie wróci z nowymi odcinkami jesienią. „Aniela” jest jej pierwszym serialem dla serwisu streamingowego.

REKLAMA

Kraj/34379733



Nie każda zbrodnia ma świadków

ALE KAŻDA ZOSTAWIA ŚLAD

Powieść sensacyjno-historyczna o śledztwie w sprawie tajnej szlifierni diamentów założonej przez SS

J U Ż W S P R Z E D A Ż Y !

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

 Wydawnictwo
Agora



Rakiety i aligatory

DROGA W KOSMOS PROWADZI PRZEZ MOKRADŁA

Piotr Cieśliński

KORESPONDENCJA Z FLORYDY

Zdjęcia: Mateusz Skwarczek / Agencja Wyborcza.pl

Kiedy przyjeżdżasz na start misji kosmicznej,
spodziewasz się futurystycznej technologii,
a nie tropikalnej dziczy.

Podobno w Centrum Kosmicznym Kennedy'ego, z którego wystartowała załogowa misja Ax-4 ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim, aligatora można spotkać równie łatwo, jak raketę.

To nie do końca prawda. Tabliczki, ostrzegające przed węzami i aligatorami, są tu normą, ale nie jest tak, że te gady wylegują się na każdym kroku i w każdej sadzawce. Niemniej jednak dziennikarka i fotoreporter PAP natknęli się na spory okaz już przed wejściem do biura akredytacyjnego firmy Axiom Space.

Łypał okiem z kanału przy poboczu. Zupełnie jakby chciał przypomnieć, kto był tu pierwszy.

Dużą część terenów należących do NASA stanowi obszar Narodowego Rezerwatu Przyrody Merritt Island, a rakiety są tu gośćmi. Obok hal montażowych, wież startowych i podziemnych systemów paliwowych toczy się życie, które zupełnie nie potrzebuje człowieka ani jego ambicji.

Te dwa światy coraz częściej jednak wchodzą sobie w drogę.

Strefy zakazane dla ptaków
Zderzenia ptaków z raketami to poważny problem i realne zagrożenie dla bezpie-



• 12 czerwca 2025, Port Canaveral na Florydzie. Pelikany brunatne czekają na start załogowej misji Ax-4

czeństwa misji kosmicznych. Najgłośniejszy przypadek miał miejsce w 2005 roku podczas startu promu kosmicznego Discovery. Krótko po oderwaniu się od ziemi uderzył w niego sępnik różowogłowy.

Ptak o rozpiętości skrzydeł ponad półtora metra, wpadający w pojazd lecący z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę, może narobić szkód. Na szczęście nie doszło do uszkodzeń, ale NASA najadła się strachu. Żyła była wciąż pamięć o katastrofie promu Columbia.

Agencja potraktowała to poważnie. W kolejnych latach wprowadziła kompleksowy system przeciwdziałania kolizjom z ptakami. Składają się na niego:

Radary detekcji ptaków, które śledzą ich ruchy na wiele kilometrów wokół platformy startowej. Rejestrują zwłaszcza większe gatunki, jak sępniki czy czaple, które mogą stanowić zagrożenie.

System „Bird Vision”, czyli zestaw kamer obserwujących przestrzeń wokół rakiety w czasie rzeczywistym – od dziesięciu minut do jednej minuty przed startem. Oprogramowanie przetwarza obraz, trianguluje pozycję ptaków i ostrzega kontrolerów, jeśli jakiś osobnik zbliży się do toru lotu.

Aktywne środki odstraszające: hukowe działa gazowe na propan, strzelby z nabojami hukowymi, syreny, światła stroboskopowe. Wszystko po to, by w ostatnich

minutach przed startem skutecznie przepłoszyć ptaki z okolicy.

Na terenie Centrum Kosmicznego działa też specjalny Zespół ds. Redukcji Zagrożenia Awifauny, który monitoruje sytuację w dłuższej perspektywie: usuwa padlinę, która mogłaby przyciągać padlinożerców, śledzi sezonowe migracje i ogranicza miejsca lęgowe w bezpośrednim sąsiedztwie infrastruktury startowej.

To nietypowa wojna – nie przeciwko naturze, ale w obronie kruchej równowagi między nią a sprowadzoną tu ponad 70 lat temu raketową technologią.

Centrum Kosmiczne im. Kennedy’ego powstało na terenie, który jeszcze nie tak dawno był niemal niedostępną krainą bagien, lagun i rozległych mokradeł. Te przybrzeżne tereny Florydy – rozciągające się od Cape Canaveral po granice Narodowego Rezerwatu Przyrody Merritt Island – to naturalny dom dla setek gatunków ptaków. Miejsce żerowania, odpoczynku i lęgów.

Żyją tu nie tylko czaple, ibisy czy rybołowy, ale też całe kolonie ptaków wędrownych, m.in. bekasów, kulików, siewek, które zatrzymują się tu na trasie swoich migracji. Regularnie obserwuje się tu bieliki amerykańskie – gniazdują na wysokich drzewach w rezerwacie Merritt Island i często polują w pobliskich lagunach.

Mokradła karmią ptaki obficie: pełne są ryb, skorupiaków i innych drobnych stworzeń, które przyciągają zarówno delikatne brodzie, jak i wielkie ptaki drapieżne.

Dla bielików czy sępników, które często krążyły nam nad głowami albo posępnie się nam przypatrywały ze swoich posterek na suchych gałęziach przydrożnych, to miejsce obfitości – pełne padliny i resztek wyrzucanych przez ocean.

Ludzie zbudowali stanowiska startów rakiet pośród tętniącego życiem ekosystemu. Nie bez powodu.

Dlaczego Floryda

Niemal wszystkie załogowe misje amerykańskie – w tym ta najnowsza, Ax-4 z pierwszym Polakiem na pokładzie – startują właśnie z Florydy. Miejsce zostało wybrane z powodów geograficznych, technicznych i strategicznych.

Pierwszym i najważniejszym powodem jest bliskość równika, bo na równiku prędkość liniowa związana z obrotem Ziemi jest największa. Startując na wschód, rakietę można wykorzystać tę naturalną rotację jako darmowe przyspieszenie. Dzięki temu potrzeba mniej paliwa, można wynieść większy ładunek i obniżyć koszty. Floryda leży na tyle blisko równika, że te zyski są wyraźne, a jednocześnie starty w tym kierunku prowadzą nad otwarty ocean.

Atlantyk to drugi kluczowy atut tej lokalizacji. Rakiety to wciąż ryzykowna technologia i jeśli coś pójdzie nie tak, lepiej, żeby odłamki spadły do wody, a nie na osiedla czy pola. Startując z przylądka, NASA ma niemal cały ocean jako strefę bezpieczeństwa.

Nie bez znaczenia była też historia. Centrum Kosmiczne powstało tuż obok Cape Canaveral, gdzie już od lat 50. amerykańskie wojsko testowało rakietę. NASA mogła skorzystać z gotowej infrastruktury, zamiast tworzyć wszystko od zera.

Ale też wraz z militarną infrastrukturą agencja astronautyczna przejęła całe bogactwo tutejszego dzikiego życia.

Morskie krowy

O tej porze roku nie ma tu już manatów – delikatnych „krów morskich” – które gromadzą się w płytkich lagunach i kanałach. W lecie migrują one na północ i są trudne do wypatrzenia, ale między listopadem a marcem są tutaj wielką atrakcją.

Te masywne, roślinożerne ssaki mogą ważyć ponad pół tony, ale poruszają się powoli, leniwie przesuając się w wodzie w poszukiwaniu roślin. Są przy tym tak łagodne i ciekawskie, że często same podpliwają do ludzi czy łodzi. Niestety, właśnie ta powolność i ufność wobec czło-

W Centrum Kosmicznym Kennedy’ego, skąd wystartowała misja Ax-4 ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim, aligatora można spotkać równie łatwo, jak raketę



wieka czynią je szczególnie narażonymi na niebezpieczeństwo.

Największym zagrożeniem dla manatów są szybkie łodzie motorowe. Wiele osobników nosi na grzbiecie blizny po śrubach napędowych – smutny dowód na to, jak łatwo dochodzi do kolizji.

Dlatego na Florydzie w rejonach, gdzie manaty występują najczęściej – w kanałach, lagunach, przybrzeżnych wodach – wprowadzono strefy ograniczonej prędkości, zakazy używania motorówek lub specjalne sezonowe zasady ochrony. Tablice ostrzegawcze przypominają o tym wszędzie tam, gdzie łagodne olbrzymy mogą przecinać szlaki żeglugowe.

Specjalną troską otaczane są także żółwie.

Na biało-żółtych plażach nieopodal platform startowych przyrodnicy zabezpieczają palikami i żółtą taśmą gniazda żółwi, które z uporem wracają tu co roku, jakby nic się nie zmieniło od tysięcy lat.

Pumy jak duchy

Jest tu też drapieżnik, którego mało kto się spodziewa akurat na płaskiej i bagnistej Florydzie.

Gdzieś z dala od kompleksów startowych i wpatrzonych w nie kamer, przemyka jeden z najbardziej nieuchwytnych mieszkańców tego stanu – puma florydzka (*Puma concolor coryi*). To lokalna podgatunkowa odmiana pumy, krytycznie zagrożona wyginięciem. W naturze żyje dziś zaledwie około 120–230 osobników.

W drodze na plażę Playalinda, z której najlepiej widać platformę startową 39A, skąd niegdyś wystrzeliano statki Apollo, a teraz startują Dragony, mijamy tabliczki ostrzegające przed tymi pumami. Ale raczej trudno je tu spotkać.

Obszar rezerwatu Merritt Island i okolicznych parków narodowych stanowią część szerszego, zielonego korytarza, który pumy mogą przemierzać podczas migracji czy szukania partnera. Zasięg ich terytoriów bywa ogromny – nawet 500 kilometrów kwadratowych dla jednego samca.

Puma florydzka była przez dekady niemal na skraju wymarcia. W latach 70. doliczono się zaledwie około 20 osobników, cierpiących na genetyczne problemy wynikające z chowu wsobnego: wady serca, skrzywione ogony, jednojądrowość. Dopiero programy ochronne – w tym wprowadzenie samic z Teksasu dla zwiększe-

nia puli genetycznej – pozwoliły powoli odbudować populację.

Dziś te koty wciąż są na czerwonej liście IUCN i objęte najwyższym stopniem ochrony federalnej w USA. Największym zagrożeniem nie są już myśliwi, lecz drogi – większość zgonów tych zwierząt to potrącenia samochodowe. Dlatego Floryda buduje dla nich specjalne ekodukty pod autostradami i prowadzi monitoring GPS wybranych osobników.

Piekielne komary

Przed lotem na Florydę radzono mi: Tylko nie zapomnij o mocnym środku przeciw komarom. Ale na miejscu wcale nie było tak źle, wieczory bywają zadziwiająco spokojne i wolne od ich ukłuć, zwłaszcza w turystycznych enklawach.

Ale wystarczy zejść ze ścieżki, wejść w lasy mangrowe dzikich rezerwatów wokół Centrum Kosmicznego im. Kennedy’ego, by natknąć się na całe ich chmary. Są uporczywe, agresywne i świetnie przystosowane do warunków tropikalnych.

Floryda prowadzi szeroko zakrojony program eliminacji komarów. Walczy się z nimi tutaj od dekad. W wielu miejscach – także w rejonie Centrum Kosmicznego – w godzinach wieczornych prowadzi się regularnie opryski chemiczne z ciężarówkami, a w kanałach i zbiornikach stosuje larwicydy.

Nie są to środki całkiem niewinne. Substancje stosowane do zabijania larw i dorosłych komarów mogą również uderzać w całą resztę ekosystemu: giną pożyteczne owady, zakłócany jest łańcuch pokarmowy, chemia trafia do gleby i wód, zagrażając rybom i płazom.

Dlatego wokół rezerwatu Merritt Island stosuje się podejście bardziej zrównoważone – łączące ograniczone opryski z metodami bardziej sprzyjającymi przyrodzie. Fragmenty mokradeł oddzielone groblami i kanałami okresowo zalewa się wodą z laguny, co przerywa cykl rozwojowy komarów – uniemożliwia komarom składanie jaj i rozwój larw. To kompromis między wygodą ludzi a dobrem natury.

Bardziej niż komary dały mi się we znaki małe czerwone mrówki, których ukąszenie pałą jak ogień, a także gryzące meszki, uaktywniające się po zmroku.

W kosmos może i lecimy coraz dalej, ale startujemy z Ziemi, która wciąż się upomina: uważaj na mnie, szanuj, patrz pod nogi. ●

Z **NINĄ PATALON**, TRENERKĄ KADRY KOBIEĆ W PIŁCE NOŻNEJ ROZMAWIAJĄ **DARIUSZ WOŁOWSKI**, **RADOŚŁAW LENIARSKI**

Czekaliśmy na panią, aż skończy się spotkanie pani piłkarek z psychologiem. A jeszcze kilka lat temu polscy trenerzy mówili zwykle: „Najlepszym psychologiem jestem ja...”

– Trener musi dobrze znać wszystkich, ale nie jest alfą i omegą. Zajmuje się wieloma sprawami, od nadzoru treningu do analizy gry przeciwników, więc nawet jeśli chciałby być psychologiem, nie jest w stanie dotrzeć do każdej zawodniczki. Kilka razy w roku po dziesięć dni zgrupowania to za mało czasu. Mam dziesięć obszarów, którymi zarządzam. Dlatego dobieram sobie ludzi, sztab. Klucz do sukcesu to umiejętność korzystania ze współpracy ze specjalistami.

„Trener” to nieadekwatne słowo do tego, co robimy na poziomie elitarnym. Dziś trenerzy to właściwie nie szkoleniowcy, ale liderzy. Prowadzimy grupę, wpływamy na to, jak wygląda środowisko wokół nas, jak wypełniane są standardy, które ustanawiamy, nasza praca nie polega na uczeniu piłki nożnej. Dobieramy do tego ludzi takich, żeby realizowali nasze pomysły i wizję drużyny. Dobieramy ich tak, abyśmy się dobrze rozumieli.

Czyli nie zna pani wszystkich swoich piłkarek na wylot?

– Myślę, że znam. Normalnie selekcjoner nie zna swoich zawodników aż tak jak trener klubowy, który ma znacznie więcej czasu, by ich poznać. Na szczęście ja jestem w uprzywilejowanej pozycji, bo przeszedłam przez wszystkie etapy pracy w piłce: od prowadzenia reprezentacji do lat 15, przez drużynę do lat 17, do lat 19, aż wreszcie seniorskiej. Poznałam obecne reprezentantki od dziecka w wielu sportowych okolicznościach, kiedy wygrywały i przegrywały, a także poza boiskiem.

Jak my „wyskautujemy” dziewczynkę w wieku 12 lat, to ją monitorujemy

przez resztę kariery. Ostatnio byłam na meczu drużyny do lat 17 na Wyspach Owczych i okazało się, że wszystkie te piłkarki znam, i choć jest ich dużo, sporo o nich wiem.

Wolałaby pani, żeby do niej mówić selekcjoner, pani selekcjoner czy selekcjonerka?

– Czasem łapię się na tym, że w jakimś wywiadzie mówię, że nasi obrońcy coś zrobili tak i tak. Może powinnam powiedzieć obrończynie? Może to wynika z tego, że wychowałam się wśród mężczyzn. Pierwszy męski odcisnął piętno w moim środowisku, bo przez długi czas funkcjonowałam w piłce otoczona przez chłopców i mężczyzn. Przez to często uważam męski punkt widzenia za całkowicie normalny. Jednocześnie jestem na tyle asertywna, że gdy mi coś nie odpowiada, to potrafię o tym mówić stanowczo.

Formy męskoosobowe wynikają również z konstrukcji naszego języka. Po angielsku nie ma tego problemu: jest „player” i tyle. Nie trzeba manifestować płci tak jak w polskim, zawodniczka i zawodnik, piłkarka i piłkarz.

Z jednej strony czuję, że warto podkreślać kobiecość w mojej drużynie, a z drugiej – że przed mistrzostwami Europy mamy znacznie więcej wyzwań i obszarów do zaopiekowania. Wiem, że dla wielu osób jest to istotne, ale nie przywiązuję do tego szczególnej wagi. Wolę wiedzieć, jak zwracać się do każdej z dziewczyn. A najbardziej chciałabym, żeby plec nie miała żadnego wpływu na ocenę jakiejś osoby, a tylko to, czy jest dobrym człowiekiem.

Pani rodzice łatwo puścili panią do świata piłki? A pani sama puściłaby dziś swoje dzieci?

– Wydaje mi się, że kiedyś było bezpieczniej. Przynajmniej takie mieliśmy odczucia. Czy ja bym dziś syna wysłała na drugi koniec Polski, żeby trenował, mimo że jest w podstawówce? Nie jestem taka pewna. A przecież sama w dzieciństwie tak wy-

4 lipca polskie piłkarki debiutują w finałach Euro. „Proszę panów, w momencie, gdy po raz pierwszy wyszłyśmy na boisko, pogodziłyśmy się z tym, że jesteśmy oceniane” – mówi trenerka kadry Nina Patalon.

*„A ty Nina
leć do chłopaków
na piłkę”*





• **Zgrupowanie naszej reprezentacji w Arłamowie przed wyjazdem na EURO 2025 do Szwajcarii. Trening otwarty dla mediów w czasie Media Day (23.06.2025)**

FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polki zaczną Euro meczem z Niemkami (4.07), wicemistrzyniami kontynentu. W kolejce są Szwedki (8.07) i Dunki (12.07). Rywalki zdobyły łącznie osiem medali mistrzostw świata, 20 medali mistrzostw Europy i siedem olimpijskich. Wśród nich złote. Mecze Polek pokażą TVP1 oraz TVP Sport

Kibicuj Polkom i zakochaj się w Szwajcarii

• W Mistrzostwach Europy Kobiet 2025 zagrają nasze Polki. Od 2 lipca 2025 roku można im będzie kibicować w pięknych, atrakcyjnych turystycznie miejscowościach Szwajcarii. Na łamach „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej” przedstawiamy piłkarki, które zagrają w tych mistrzostwach oraz miejsca, gdzie po meczach będzie można spędzić niezapomniane chwile z przyjaciółmi i bliskimi.

FOT. MARTYNA NIECKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

jechałam z domu. Uważam, że do 15. roku życia – w idealnym świecie – dziecko powinno się rozwijać w znanym sobie środowisku, zanim zderzy się ze światem. Wolałabym, żeby syn zmierzył się z nim po ukształtowaniu charakteru w domu.

Ale świat idealny nie jest. Kluby dla kobiet, dziewczyn czy dziewczynek są często daleko od ich domów.

– Ja zaczęłam wyjeżdżać na dłużej z domu, gdy miałam 15 lat. Zamieszkałam sama daleko od rodziców jako 16-latką. Nie byłam święta, więc rodzice mieli wątpliwości. Ale byłam samodzielna. Chciałam grać, piłka była moją pasją i rodzice to rozumieli, bo w mojej rodzinie piłka zawsze była ważna. Rodzice wiedzieli, że nie wpadnę w tzw. złe towarzystwo, bo jestem przecież zaangażowana w sport, który pochłania większość wolnego czasu. Dawałam sobie radę w szkole. Mamie zależało na moich studiach i była pewna, że na nie pójdę i je skończę, bo sama byłam ambitna. Mnie też zależało na wykształceniu. Ale miałam silną potrzebę niezależności, więc prawdopodobnie rodzice wiedzieli, że nawet jak nie pozwolą na wyjazdy, niewiele to pomoże. Nie czekałam na akceptację. Komunikowałam, że jadę.

Najpierw wyjeżdżałam do Lubawy, potem trener stwierdził, że powinnam pojechać do Konina, bo tam jest wyższy poziom. A do tego momentu grałam tylko z chłopcami. Dziś na Warmii i Mazurach mamy kilka zespołów kobiecych, wtedy nie było żadnego.

Piłka nożna zawsze miała wizerunek męskiego sportu. Rodzice nie mówili pani: „Może lepsza byłaby dla ciebie lekkoatletyka albo tańce”?

– Pamiętam tylko słowa mojej babci z Filic pod Działdowem, gdzie się wychowywałam. Podczas wojny spędziła wiele lat w Niemczech. Jako jedyna w rodzinie miała wątpliwości co do mojego wyjazdu z domu. Jednak nigdy złego słowa nie powiedziała o piłce. „Po co tak daleko wyjeżdżać – mawiała. – Nigdy cię w domu nie ma”. Martwiła się, nie chciała, żebym oddalała się od rodziny. Wolała, żebyśmy wszyscy byli blisko siebie i mogli się wspierać.

Każdy na wsi znał wyniki lokalnych drużyn, skład, piłkarzy. Teraz znają

Yamala, wtedy znali Kozłowskiego i Kowalskiego. W poniedziałek ktoś kupował „Przegląd Sportowy” i wszyscy czytaliśmy, co się w ligach działo. To było super. Byliśmy wszyscy skoncentrowani na piłce.

Czy to ja się urodziłam w takim miejscu, że nikt nie miał nic przeciwko piłce dla dziewczyn, czy tak to wyglądało wszędzie? Nie wiem, ale tak naprawdę to nawet gdyby ktoś miał coś przeciwko, to u mnie nic by to nie zmieniło.

Na wuefie nauczycielka mówiła: „Dziewczyny, wy sobie idźcie pograć w siatkówkę, a ty Nina leć do chłopaków na piłkę”. I przez dwie godziny lupalam w gałę. Kiedy okazało się, że ze względu na przepisy nie mogę grać z chłopakami w meczach ligi szkolnej, pani Dąbrowska od WF-u – co śmieszniejsze zaprzysięgła lekkoatletka – poszła do dyrekcji, żeby poszukać rozwiązania.

Potem jeździliśmy na dwa-trzy turnieje piłkarskie w roku, ze specjalnie stworzoną dla mnie drużyną koleżanek ze szkoły. Miałam szczęście – nauczycielce zależało na mnie, nie ograniczały jej żadne stereotypy. Dzięki niej uświadomiłam sobie, co znaczy sprawczość. Doprowadzała sprawy do końca. Mnie to budowało. Później podobnie funkcjonowałam, doprowadzałam sprawy do końca. Po mamie mam w sobie wolę walki. Mama powtarzała, że „nie ma znaczenia, czy jesteś lekarką, czy krawcową, jeśli coś lubisz i dobrze robisz, to po prostu to rób”.

Krzykami z boku, że „babę macie w drużynie”, zupełnie się nie przejmowałam. Nie brałam tego do siebie.

Ewę Pajor zna pani od 18 lat...

– To również zasługa nauczyciela WF-u, a potem trenera piłki nożnej z jej szkoły podstawowej w Wieleninie, Piotra Kozłowskiego. Uczył ją, zauważył talent ruchowy, a potem talent do piłki. Jeździł z nią na turnieje. Gdy zauważył jej możliwości piłkarskie, szukał miejsca, gdzie może się najpełniej rozwinać. Przyjechał do Medyka Konin, 60 km od Wielenina. Ja, wtedy 20-latką, grałam dla Medyka. Nie było w klubie drużyn dziecięcych i gdy zlapalam jakąś kontuzję, pomyślałam, że potrenuję dzieci. Zorganizowałam grupkę dziewcząt i trenowałyśmy dwa-trzy razy w tygodniu. I właśnie na taki trening przyjechała Ewa z Piotrem.

Miałam wtedy pod opieką dziewczynki z roczników 1993, 1994, a Ewa jest z grudnia 1996 roku. Obrazek: przyszła na salę dziewczynka, a piłka rozmiaru 5, którą przywiozła, sięgała jej do kolan. Pierwsza myśl: „Boże, jakie to malutkie dziecko!”. Na mojej twarzy odmalowały się pewnie wątpliwości, bo Piotrek Kozłowski spojrzal i powiedział: „Poczekaj, aż zacznie grać”.

Faktycznie moje dziewczyny – niektóre wysokie, dużo od niej większe – były jak zamurowane, z taką szybkością Ewa prowadziła piłkę między nimi... Wtedy przyszła druga myśl: „Hej, ja jestem tylko początkującym trenerem, żebym broń Boże nie zepsuła tego talentu, bo to jakieś genialne dziecko”.

Po prostu z miejsca zorientowałam się o skali jej możliwo-

ści. Natychmiast po treningu zadzwoniłam do prezesa Medyka Romana Jaszczaka i powiedziałam: „To dziecko to Galático! Jest fenomenalna. Musimy mieć tę dziewczynę, musi u nas zostać”.

Ponieważ Ewa miała wtedy 10 lat, nie było chwilowo mowy o pobycie stałym. Umówiłam się z Piotrem Kozłowskim, że namówi jej siostrę Paulinę do gry, żeby Ewie było łatwiej. Piotr przywoził je obie raz w tygodniu do Konina, brały też udział w naszych obozach. To trwało trzy lata. Trzymałam nad Ewą parasol, nawet gdy wprowadziłam ją do drużyny seniorek w wieku 15 lat. W debiucie strzeliła dwa gole.

Od tego czasu rozwinęła się jako człowiek. Oczywiście, jest fenomenalną piłkarką, potrafi wszystko jako napastniczka. Każdy, niekoniecznie piłkarz czy trener, wpada w zachwyt, gdy widzi ją na boisku. Ale reszta pozostaje w cieniu, a zasługuje na światło. Ewa mówi w kilku językach, zdała maturę i gdyby miała czas, poszłaby do studia. Jest wzorem dla dziewczyn i kobiet, jest ambasadorką wielu marek, świetnie wypada przed kamerą. Chce pokazać piłkę nożną kobiet jako coś wartościowego, wspaniałego. Czuje się liderką i w związku z tym niesie ciężar na swoich barkach. Domaga się załatwienia ważnych spraw nie tylko dla siebie, ale dla całej drużyny. Jest pierwszą polską piłkarką, która zrobiła taką karierę, jest rozpoznawalna na świecie i daje sobie z tym radę.

Gdybyśmy porównali ją do Roberta Lewandowskiego...

– Mogę to zrobić tylko pod kątem piłkarskim: to różne profile napastników. Robert jest fenomenalny, ale bardzo związany z grą zespołu właśnie ze względu na profil. To egzekutor, bez kolegów nie zdziała wiele. Ewa jest inna, bardziej wszechstronna.

24 maja po ostatnim gwizdku sędziego w finale Ligi Mistrzyń w Lizbonie, gdzie Barcelona sensacyjnie przegrała z Arsenalem 0:1, nie pomyślała pani: „Boże, co ja mam tej Ewie powiedzieć?”. Dla niej to był piąty finał tych rozgrywek i piąta porażka. Najbardziej szokująca.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co ona czuła. Znam ją tyle lat, nie szukałam więc bezpośredniego kontaktu, bo potrzebowała dystansu i chwili dla siebie. Potem wysłałam jej SMS-em kilka słów wsparcia. Wszyscy musimy uświadomić sobie, że porażka jest elementem sportu. Trzeba przestać myśleć o wyniku, skupić się na grze. Wtedy jest szansa na sukces.

Jak to się stało, że mimo złotego medalu mistrzostw Europy do lat 17 w 2013 r. i brązowego w 2024 r. polska piłka kobieca jest daleko od seniorskiej czołówki?

– Jeśli chodzi o złotą drużynę z 2013 roku, to był inny turniej. Po kwalifikacjach trzeba było wygrać jeden mecz, żeby przystąpić do walki o złoto. Naszym wielkim osiągnięciem było przejście kwalifikacji. W rocznikach 1996 i 1997 mamy dużo utalentowanych dziewczyn. Czasem tak się dzieje, że wyrasta jakaś zło-

ta generacja. Dzięki temu można wyselekcjonować i stworzyć drużynę na tytuł. Fantastycznie na tamtych mistrzostwach rozbłysły Ewa Pajor, Paulina Dudek, Kinga Szemik, Sylwia Matysik czy Ewelina Kamczyk, zdobywczynie gola w finale, a także wiele innych piłkarek, które później nie osiągnęły wielkich sukcesów z powodu urazów, jak kapitan drużyny Katarzyna Gozdek. Na tamtym turnieju zerwała więzadła krzyżowe w kolanie i już nigdy się z tej kontuzji nie podźwignęła.

Dziś, po 10 latach, aż pięć piłkarek z tamtej drużyny gra dla pierwszej reprezentacji! Utrzymały się na najwyższym poziomie, co jest wielkim osiągnięciem.

■

Piłkarki chcą utrzymać rodziny, tak jak robią to piłkarze, chcą mieć odpowiednie warunki pracy. Już nie zamkniesz im ust samą pasją. Ale na taki rodzaj akceptacji musimy jeszcze poczekać

Ale tworzenie seniorskiej drużyny, zdolnej walczyć z najlepszymi, potrzebuje szerokiej bazy. PZPN, widząc potencjał, zaczął reformy – stworzone zostały pierwsze młodzieżowe rozgrywki dla piłkarek, jest wsparcie dla klubów, wydłużyla się liczba dni szkoleniowych na zgrupowaniach centralnych, a pamiętajmy, że to dodatkowe treningi. Powstał system skautingu, czyli wyszukiwania w małych klubikach talentów. To było nam bardzo potrzebne.

Dzięki temu wszystkiemu dziś mam drużynę, na której mi zależało. Cieszę się, że piłka nożna kobiet w Polsce rozwija się nie tylko pod względem szkoleniowym, ale również organizacyjnym. Obecnie mamy dostęp do jak najlepszego zaplecza sportowego. Możemy też poszczycić się np. Domem Reprezentacji Polski Kobiet w Gdańsku. Przełomowy był na pewno 2019 rok, kiedy rozpoczęły się inwestycje w kobiecą piłkę, włącznie z profesjonalizacją naszej ligi.

Owszem, w lidze wciąż jesteśmy półprofesjonalistami, bo tam jest jeszcze mnóstwo do zrobienia. Ale i tak ligowo jesteśmy dwa kilometry dalej, niż byliśmy w 2019 roku. Reprezentacje? Pięć kilometrów dalej. Ale inni też biegną. W wielu krajach nie ma w zasadzie różnicy między męską a kobiecą drużyną, bogate federacje inwestują ogromne pieniądze w kobiecy futbol, podobnie jak możliwe kluby, jak Chelsea lub Arsenal. Nie wspominam nawet o USA, bo tam piłka nożna kobiet jest oddzielnym zjawiskiem społecznym. Od razu się wspaniale rozwijała.

Europa jest inna. Uważam, że warto otoczyć opieką kobiece drużyny w męskich strukturach,

a nie podkreślać ich inność, oddzielność. Marzy mi się, że na trening Lecha Poznań biegną chłopak i dziewczyna, na ramionach torby z logo klubu, i rozmawiają ze sobą o piłce. „Widziałem, jak zagrałyście z Legią Ladies, super!”, „A ja oglądałam, jak Lech zdobył mistrzostwo Polski”. Dzieciaki są razem, we wspólnej społeczności piłkarskiej. Po co mają to robić oddzielnie? Piłka nożna kobiet i mężczyzn nie są dla siebie konkurencją.

Poza tym nie bądźmy naiwni, świat jest tak skonstruowany, że największe możliwości mają właśnie kluby męskie. Naszym celem jest pokazanie im, że kobieca piłka nożna jest fantastycznym biznesem i skorzystanie z ich know-how, z ich metod zarządzania, z ich pieniędzy na start może przynieść wspaniałe rezultaty. Kobięcy futbol to złoty interes – pokazują to wielkie turnieje, mecze reprezentacji oraz ligi w najbardziej rozwiniętych krajach. Przynoszą duże zyski dla federacji i klubów.

Piłka nożna kobiet nie prosi o jalmużnę. Ja widzę nowe grupy kibiców, nową społeczność piłkarską, nowych sponsorów, którzy przyjdą tylko do kobiecej piłki. Jeśli ktoś jest szefem klubu o szerokich horyzontach, to uzna, że kobieca piłka nożna jest sposobem, aby się rozwinąć. Podobnie w przypadku federacji.

A może PZPN powinien zdecydować, że każdy klub piłkarski w Polsce powinien mieć sekcję kobiecą?

– Mam nadzieję, że kiedyś tak się stanie.

Dlaczego wciąż mamy tylko jedną trenerkę z licencją UEFA Pro?

– Dwie kolejne się uczą, więc zaraz będą trzy. A tak poważnie: w 2013 roku było w Polsce 65 trenerek kobiecej piłki, w 2025 roku jest ich 900. To duża różnica, choć wciąż kropla w morzu potrzeb. UEFA Pro jest poziomem zawodowym. To elita. Aby dojść do tego poziomu, trzeba pewną drogę w piłce przejść, a żeby ją przejść, trzeba mieć możliwość pracy w zawodzie. Musi powstać rynek pracy w biznesie o nazwie „Futbol Kobiecy”.

Nie wiem jednak, czy nie większym problemem jest mentalność. Dużo mówiliśmy o przyzwoleniu na grę dziewczynek w piłkę. Zaakceptowaliśmy w Polsce ich grę o Puchar Tymbarku czy inne trofea dziecięce. Nie ma znaczenia, czy grają dziewczynki, czy chłopcy, wszyscy mają się dobrze bawić. Ale żeby zaakceptować kobiety, który są profesjo-

nalnymi piłkarkami, które mają swoje potrzeby i oczekiwania? Tu jest daleka droga do pokonania. Już nie zamkniesz im ust samą pasją. One chcą utrzymać rodziny, tak jak robią to piłkarze, chcą mieć odpowiednie warunki pracy jak piłkarze. Na taki rodzaj akceptacji musimy jeszcze poczekać, musimy jeszcze na niego zapracować.

Nigdy Polki nie wygrały meczu z Niemkami, ze Szwedkami czy z Dunkami. Rywalki są medalistkami mistrzostw świata, Europy, olimpijskimi... Mamy je w grupie na turnieju w Szwajcarii. I marzymy, żeby z niej wyjść.

– Kiedy patrzymy na szczyt góry, na który chcemy się wdrapać, to odległość i wysokość nas przeraża. Musimy skoncentrować się na małych krokach i małych sprawach. Dzisiaj trzeba pamiętać, że najważniejsze jest, żebyśmy potrafili się najlepiej przygotować do wykonania zadania.

Nie boi się pani oczekiwań?

Ludzie w Polsce oczekują, że piłkarki pokażą tym nieudacznikom – piłkarzom – jak się gra, nie zdając sobie sprawy ze skali wyzwania?

– Tego typu porównania nie mają sensu. W sporcie powinniśmy się przede wszystkim wspierać i koncentrować na własnym rozwoju. My skupiamy się przede wszystkim na jak najlepszym przygotowaniu do turnieju. Jako zespół musimy skierować naszą uwagę wyłącznie na wspólny cel.

Ale czy jest pani przygotowana na to, że kibice mogą po meczach grupowych zachowywać się tak, jak zachowują się w stosunku do piłkarzy: bezlitośnie ich krytykując za porażki.

– Tak, jestem przygotowana. Nie mam profili na serwisach społecznościowych. Proszę panów, w momencie, gdy wyszliśmy po raz pierwszy na boisko, pogodziłyśmy się z tym, że jesteśmy oceniane i poddawane krytyce. ●

Nina Patalon

• – ur. 20 stycznia 1986 roku w Działdowie. Była piłkarka – grała w pomocy – przez większość kariery związana z Medykiem Konin. Reprezentowała Polskę na Uniwersjadzie 2009 w Belgradzie, gdzie Biało-Czerwone zajęły 9. miejsce. Od 2021 roku selekcjonerka reprezentacji Polski, jedyna w Polsce kobieta z trenerską licencją UEFA Pro.

OGŁOSZENIE

Kraj/34383458



ORGANIZATORZY

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

SPONSOR

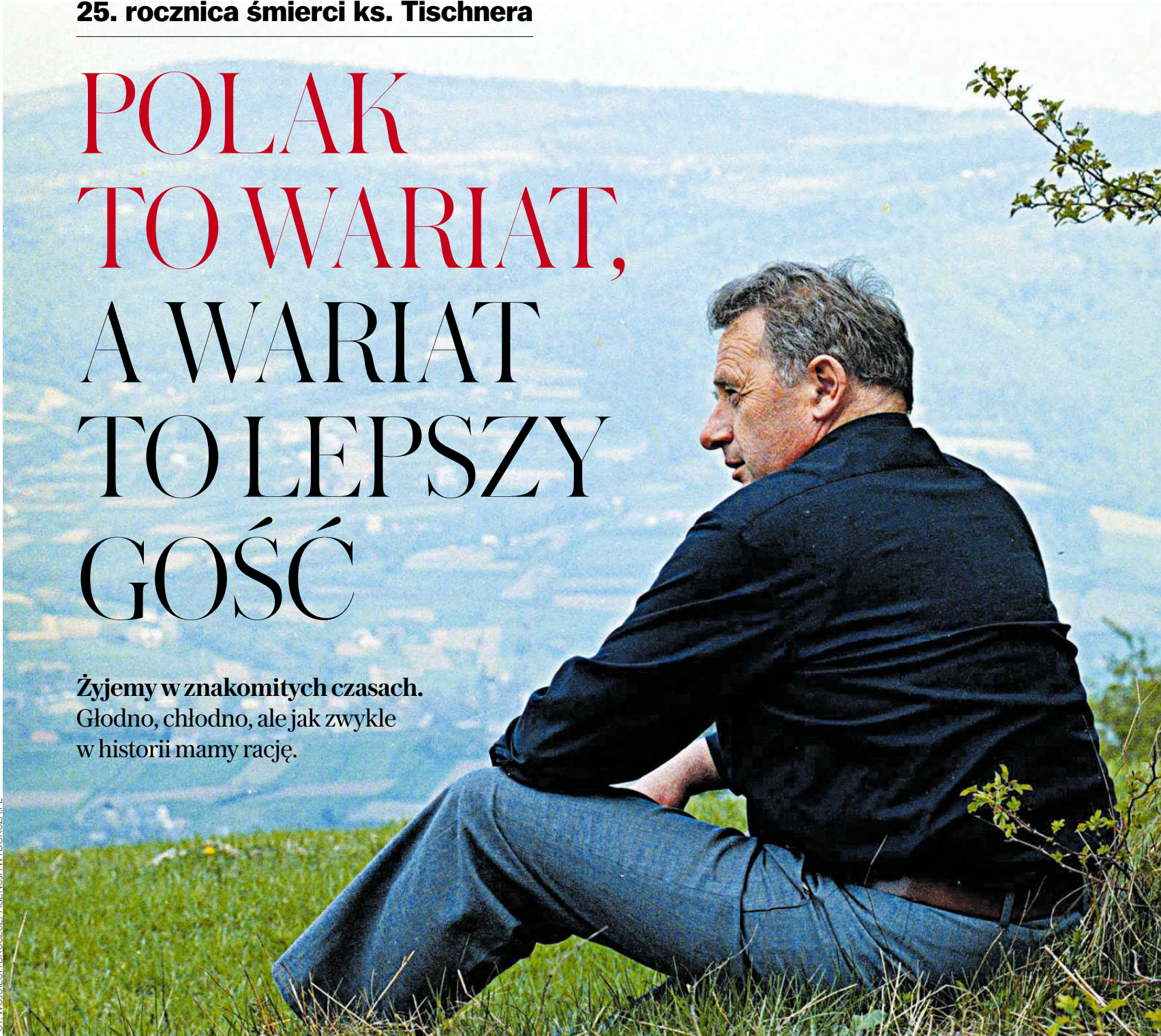
swi^{zerland}

25. rocznica śmierci ks. Tischnera

POLAK
TO WARIAT,
A WARIAT
TO LEPSZY
GOŚĆ

Żyjemy w znakomitych czasach.
Głodno, chłodno, ale jak zwykle
w historii mamy rację.

FOT. WOJCIECH DRIŚCZY / AGENCJA WYBORCZA.PL



ks. Józef Tischner

Bylem tutaj przed 11 laty [w rzeszowskiej WSP w 1981 r.]. Jest mi niezmiernie trudno nawiązać do tego, co wtedy mówiłem, ponieważ ja mam pamięć uformowaną przez teologię, a jak wiecie państwo, teologia radzi, żeby o błędach i wypaczeniach raczej zapominać. Wtedy łatwiej uzyskać rozgrzeszenie. I ja właśnie byłem tu, pamiętam tę salę: bardzo sympatyczna dyskusja, ogromnie miłe audytorium, jakiś wywiad potem w gazecie tutaj się ukazał.

Bardzo serdecznie dziękuję za tak liczne przybycie. Mam taki niepokój, żeby nie zawieść państwa oczekiwań. I dlatego podejmę próbę pewnej asekuracji, mianowicie proponuję państwu, abyśmy te dylematy etyczne, o których tutaj będę mówił, razem przemyśleli. Będę się starał mówić w ten sposób, by nie wysuwać żadnych ostatecznych tez. Będę się starał razem z państwem myśleć. I jeśli mój wykład da do myślenia, to zadanie moje będzie spełnione.

Przed chwilą rozmawialiśmy z Panem Rektorem i doszliśmy w pewnym momencie do wspólnego wniosku, raczej wspólnej oczywistości, że znajdujemy się w sytuacji tak nowej, tak nieporównywalnej, że bardzo trudno nam o diagnozy zaczerpnięte z przeszłości. Czujemy się trochę jak ten lekarz, który po raz pierwszy zobaczył przypadek tyfusu i myślał, że to po prostu grypa, bo jest gorączka. I my ciągle przykładamy do naszej sytuacji miary i normy wzięte ze świata, z którym byliśmy jakoś oswojeni.

Wczoraj [11 listopada 1992 r.] obchodziliśmy rocznicę niepodległości Polski. Mamy takie wrażenie, jakbyśmy znowu tę niepodległość odzyskali. Ale wiemy jednocześnie, że nawet jeśli to prawda, to odzyskanie było inne, niepodległość była inna, a także

Ks. Józef Tischner

• ur. 13 marca 1931 r. w Starym Sączu, zmarł 28 czerwca 2000 r., dokładnie 25 lat temu, w Krakowie. Teolog, filozof, etyk, eseista. Związany z „Tygodnikiem Powszechnym” i miesięcznikiem „Znak”. Od lat 70. duszpasterz krakowskiej inteligencji, od 1980 r. czołowy autorytet ruchu „Solidarność”. Współzałożyciel Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu.

rodzaj naszej podległości systemowi totalitarnemu był inny niż ten w okresie rozbiorów.

• Chciałbym zacząć od tematu, który jest tematem gorącym, od tematu komunizmu i dekomunizacji. Może temat ten dzisiaj stał się mniej palący niż przed paroma miesiącami, paroma latami, niemniej jednak jest to temat aktualny i sądzę, że długo jeszcze będzie zaprzętała naszą uwagę. Problemem bowiem podstawowym w tej sprawie jest odpowiedź na pytanie, czym właściwie był ten nasz miniony komunizm. Co to właściwie było?

Nazywaliśmy te czasy rozmaicie. Często mówi się: czasy PRL-u, mówi się: czasy socjalizmu, mówi się: czasy komunistyczne. Z drugiej strony wiemy, że ani z tym socjalizmem nie było tak do końca naprawdę socjalistycznie, ani z komunizmem nie było do końca komunistycznie, ani Polska Ludowa nie zawsze była Polską ludową, bo był okres, kiedy była bardziej polska, mniej ludowa. Były okresy bardziej ludowe, mniej polskie. Aż przyszedł taki moment, kiedy ona stała się naprawdę ludowa, to znaczy proletariacka, i wtedy właśnie nastał czas „Solidarności”.

Wszystkie te nazwy są zatem nazwami w cudzym słowie. Niemniej jednak spróbujmy zaraz na wstępie

postawić pytanie, niezależnie od tego, jak było naprawdę, co to znaczy być komunistą. Wydaje się, że dwa momenty są tutaj istotne.

Komunizm łączył się w Europie i w naszym kraju z bardzo głębokim, wszechstronnym atakiem na wszystko, co można określić jako własność prywatną. Pozornie był to jedynie atak na wielką własność prywatną, a więc atak na posiadaczy fabryk, właścicieli kopalń, właścicieli wielkich obszarów ziemi. Kiedy jednak bliżej wglądnijemy w ten atak, widzimy, że wiązał się on z pewnym przewrotem w dziedzinie moralności. Atak na własność prywatną był w gruncie rzeczy wyrazem pewnego przewrotu hierarchii wartości.

Oto komuniści odkryli czy też sformułowali hipotezę roboczą, że podstawowym złem społecznym, grzechem głównym, źródłem zła społecznego jest w ogóle prywatne posiadanie. Niezależnie od tego, czy to będzie posiadanie kopalni, czy posiadanie ziemi, prywatne posiadanie, jeżeli nie jest w oczywisty sposób skandalem, to z całą pewnością jest moralnie podejrzane. Kto ma, jest bardziej podejrzany od tego, kto nie ma.

• Pisałem parę razy o tym i chciałbym to jeszcze raz dzisiaj podkreślić, że ten atak szedł tak głęboko, iż postawił pod znakiem zapytania tradycyjną definicję człowieka, gdzie mówiło się, iż człowiek to jest byt dla siebie. To słówko dla definicji człowieka pokazywało, iż człowiek staje się, mniej lub bardziej, człowiekiem wtedy, kiedy może powiedzieć, że posiada siebie.

Henri Bergson definiował wolność: być wolnym to brać w posiadanie siebie. Człowiek, który siebie posiada, wedle Bergsona jest człowiekiem wolnym. U Hegla mamy takie określenie wolności: wolny człowiek to ten, kto jest sobą u siebie. Nawiasem mówiąc, charakterystyczne, że w tym określe-

niu wolności w ogóle nie pojawia się słowo „wybór”. Tutaj nie chodzi o to, czy się wybiera, czy się nie wybiera. Być wolnym to znaczy być sobą i być u siebie.

I komunizm, wydaje się, ostrzem swoim dotknął tych regionów świadomości człowieka: człowiek nie powinien być własnością samego siebie, powinien czuć się własnością jakiegoś kolektywu, czuć się własnością komunij. Wspólnota go wyżywiła, wspólnota go wychowała, wspólnota ma prawo do posiadania człowieka.

To jest jeden moment, bardzo zasadniczy, w definicji komunizmu. Moment drugi, bardziej jeszcze jaskrawy, to moment odwołania się do przemocy, do rewolucji. Komunista był w moim mniemaniu ten, kto twierdził, iż na drodze budowania nowego systemu można popełniać zbrodnie zabójstwa, to znaczy można zabijać, można odwoływać się do przemocy na drodze do budowania państwa komunistycznego. Wydaje się, że istotą światopoglądu komunistycznego jest radykalna akceptacja rewolucji.

Pamiętam jeszcze rozmowy z przekonanymi komunistami w początkowych latach PRL-u. Oni nie tylko mówili, że to się dopuszcza, oni wręcz uważali, że mają z tego powodu tytuł do chwały: oto my, komuniści, mamy odwagę zabijania, niszczenia tyłu i tyłu tysięcy, nawet milionów ludzi, bo skoro to jest konieczne na tej drodze do szczęścia ludzkości, to my, komuniści, mamy odwagę przyjęcia tej winy na siebie.

Otóż te dwa momenty w definicji komunizmu są w moim mniemaniu istotne, wszystkie inne są raczej pochodne. Można by tutaj oczywiście, odwołując się do tekstów klasyków marksizmu, spierać się, w jakim zakresie jedna i druga teza były reprezentowane na przykład u Marksa, w jakim u Lenina, ale te szczegóły niech nas już nie obchodzą.

Wydaje mi się, że komunizm, który wszedł w nasze życie społeczne, wszedł z tymi dwiema tezami: odwaga rewolucji i odwaga zaatakowania świadomości siebie, świadomości posiadania siebie. I wydaje mi się, że komunizm w ten sposób rozumiany, definiowany miał w Polsce stosunkowo krótki żywot.

Można powiedzieć, że jakby ostatecznym ciosem dla tak rozumianego komunizmu były okolice roku 1968. Owszem, rok 1956 był bardzo ważny, ale rok 1968 i lata następne były tu szczególnie charakterystyczne, były to bowiem lata odejścia od komunizmu elity, która dotąd w jakiś sposób ten komunizm legitymizowała. Odejścia bardzo demonstracyjnego, bardzo mocnego, odejścia, które było jednocześnie zakwestionowaniem komunizmu.

I mnie się wydaje, że po 1968 roku w zasadzie w naszej kulturze komunizm jako propozycja intelektualna przestał się liczyć. A książką, która okazała się tutaj decydująca, niewątpliwie były „Główne nurty marksizmu” Leszka Kołakowskiego, zwieńczenie jego studiów.

Owszem, bardzo cenną książką, ciągle aktualną, był „Zniewolony umysł” Miłosza, ale to, co zrobił Kołakowski, tego nie zrobił nikt inny. Habermas, który sympatyzował z komunizmem, powiada, że Kołakowski jest nawet groźniejszy od Solżenicyna, bo – powiada – jest inteligentny.

Solżenicyn [„Archipelag Gulag”] to była książka, która obudziła ze snu lewicę zachodnioeuropejską, pisarzy, literatów, ale książka Kołakowskiego była książką zaadresowaną do ideologów, do filozofów. Wtedy tych ideologów w Polsce było bardzo dużo, bo wiemy, iż każda uczelnia miała swoją ekipę, nie tylko uczelnia, każda redakcja. I muszę powiedzieć, że ta książka była kijem w mrowisko. Wszyscy to czytali, zwłaszcza profesorowie, asystenci marksizmu-leninizmu, ona – można powiedzieć – przeorała polską świadomość.

Pamiętam, że w tych latach miałem seminarium filozoficzne w Krakowie. Pracowaliśmy także nad Leszkiem Kołakowskim i to było paradoksalne, że na tym seminarium pojawiali się w ogromnej większości

My, Polacy walczący o wolność tak mężnie i tak dzielnie, nagle, kiedyśmy ją odzyskali, zostaliśmy sparaliżowani lękiem przed nią

synowie i córki aktywistów partyjnych. Jakby konflikt pokolenia przerzucił się na konflikt także ideowy.

Ja nie mam nic przeciwko nim, ale obserwując tamten proces, stawiam sobie takie pytanie. Pytanie, że tak powiem, nieironiczne, tylko, państwo rozumieją, pedagogiczne.

A więc można powiedzieć, że stan świadomości komunistycznej u nas załamał się po 1968 roku. I dlatego, kiedy dzisiaj mówimy „dekomunizacja”, to słowo jest dla mnie ogromnym problemem. W sensie ścisłym z komunizmem jako komunizmem dzisiaj w moim mniemaniu nie mamy do czynienia. Może się gdzieś plątają jeszcze ci komuniści. Może byłoby nawet cenne ich wynaleźć i zrobić coś w rodzaju skansenu, żeby prowadzić dzieci tam i pokazywać: oto, popatrzcie, normalni ludzie, bo dzisiaj tak się ich przedstawia, jakby pochodzili od innej mały.

Ale naprawdę to jest wielki problem u nas. Co innego w byłym Związku Radzieckim, co innego nawet u naszych południowych sąsiadów. U nas jednak ten komunizm „nie przykleił się” do duszy. Stalin mówił, że zrobić z Polaka komunistę to jakby osiodłać krowę. I trochę rzeczywiście miał rację, no bo czucie państwo, Polak i kolektyw? Ten Gałczyński, Polak i kolektyw, Gałczyński, który mówi: „Ja jestem Polak, a Polak jest wariat,/ a wariat to lepszy gość”. Tak było.

Niemniej jednak dzisiaj bardzo dużo mówi się o dekomunizacji i powstaje pytanie, czy to jest mowa bez sensu, czy nie. Otóż wy-

Bardzo często hasła, które po tamtej ideologii pozostały.

Przyjrzyjmy się bliżej tym trzem warstwom. Najpierw struktury polityczne. W tej dziedzinie, jak wiemy, komunizm proponował naszemu społeczeństwu ustrój dyktatury proletariatu. W tym celu stworzył partię, która została uznana przez komunizm za wiodącą siłę narodu.

Naszym punktem wyjścia jest zatem pewna wizja partii politycznej, pewna wizja sterowania społeczeństwem, a więc w punkcie wyjścia myśmy wyrosli, moje pokolenie, myśmy nie znali innych rządów, myśmy znali tylko mniej lub bardziej łagodny system dyktatury. No i oczywiście do tego dostosowany był rząd, parlament, partie satelickie itd., itd. Komuniści doprowadzili w tej sferze do głębokiego przeinaczenia języka.

Parlament, Sejm naprawdę nie był parlamentem. Rząd naprawdę nie rządził. Kto inny rządził, niemniej nazywało się, że to jest rząd. Konstytucja pozornie była konstytucją, bo miała w sobie zapis o wiodącej siłę jednej partii, w związku z czym ta jedna partia mogła zawiesić każde zdanie konstytucji.

Ale w ogóle sama idea partii była zniekształcona. Partia to dosłownie część. Partia funkcjonuje jako część pewnej całości. Całość ma wiele części. W tej całości każda część jest jednakowo ważna i jednakowo nieważna. Tymczasem w nazwie partii komunistycznej część naprawdę nie była częścią. Była tym elementem, który władał ca-

Za komunizmu była wolność, ale w świecie spokojnej klatki. Można było żyć w klatce, mieć zaspokojone elementarne potrzeby. Klatka pękła i okazuje się, że ptak nie umie latać

daje mi się – wszyscy co do tego się zgadzamy – że komunizm był jednak nie tylko wewnętrznym przekonaniem człowieka. Komunizm pozostawił po sobie pewne struktury społeczne, które trwają niezależnie od tego, czy ktoś wierzy w komunizm, czy nie.

Kiedyś na Zachodzie byłem uczestnikiem dyskusji, czy możliwy jest Kościół bez wierzących. Ja myślę, że w takich krajach jak Austria i Niemcy jest możliwy, bo oni są tak legalistyczni, że będą się zachowywać wedle pewnych reguł niezależnie od tego, co sobie tam w środku myślą.

W Polsce to trochę inaczej wygląda, bo Polacy odwrotnie: dążą do tego, aby udowodnić, że nawet bez Kościoła będą ludźmi wierzącymi. I to uważam za bardzo słuszne, tylko że nie będą tak głęboko wierzący, bo jednak w konflikcie z Kościołem wiara się bardzo pogłębia, a zwłaszcza w konflikcie z proboszczem, z wikarym – wtedy ta wiara staje się jeszcze głębsza. Ona się staje dialektyczna. Wtedy jest i teza, i antyteza, no i oczywiście proteza na końcu.

Otóż istnieje możliwość trwania struktur bez wierzącego komunisty i o tym wiemy. Przyjrzyjmy się bliżej tym strukturom, z którymi mamy dzisiaj do czynienia. Przede wszystkim istnieją struktury polityczne, istnieją struktury ekonomiczne i istnieją w duszach ludzkich strzępy ideologii.

łością. A więc partia – część częścią nie była, podobnie jak parlament nie był parlamentem, rząd rządem itd.

Dzisiaj Polsce bardzo potrzeba życia partyjnego. I potrzeba ta istnieje nie tyle na uniwersytecie, ile na samym dole, w mieście, we wsi. Ale spróbujcie nakłonić kogokolwiek we wsi, żeby jakąkolwiek partię założyć... Bo partia kojarzy się jednoznacznie negatywnie.

Tymczasem pojawiają się takie zjawiska. Jeden z moich znajomych wójtów, który zwiedził Holandię i przyjrzał się bliżej samorządowi w Holandii, powiada tak: w Holandii w radzie gminnej nie ma więcej delegatów niż dziewięciu, u nas delegatów musi być więcej, ponieważ pokutuje w nas jeszcze przekonanie, że jest Polska ludowa i lud rządzi. Więc im więcej ludu w radzie narodowej, tym lepiej.

W Holandii, powiada mój znajomy, kiedy taki członek rady narodowej mówi na zebraniu nie o sprawie, ale o tym, co mu się w nocy śniło, to wtedy bierze go do galopu ta partia, która go do rady delegowała, podczas kiedy u nas praktycznie ten delegat przed nikim nie jest odpowiedzialny.

Po tej rozmowie nabrałem ducha, proszę państwa, poszedłem do znajomego mojego na wsi i mówię: „Józek, co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem: trzeba założyć partię”.

Józek wyciągnął flaszkę piwa, ponieważ sprawa jest głębsza, i szącąc to piwo, tłumaczę mu, jakie będą korzyści we wsi, jak będzie partia. Kończę ten mój wywód, że „najlepiej byłoby, Józku, jakbyś ty założył jakąś partię”. A Józus pociągnął z flaszki i powiada: „A mom to godnego przeciwnika?”. I w ten sposób moja agitacja za partią spełza na niczym.

Otóż mamy tutaj problem i moralny, i polityczny zarazem. Polityczny, bo partie wiszą w powietrzu, bo przyjdą wybory i ktoś z państwa, na przykład z panów studentów, z pań studentek przyjedzie do swojej rodziny i miejscowości, i powiedzą: „Tyś uczony, tyś uczona, powiedz mi, jaka jest różnica między partią 17 a 39”. I oczywiście choć człowiek jest uczony i całe Pismo Święte pozna, i tak różnicy nie wydedukuje.

Otóż, proszę państwa, jest ta potrzeba, a z drugiej strony nie ma świadomości odpowiedzialności za to, czym w ogóle jest życie polityczne. Że tego się sztucznie nie da zrobić, tego nie zrobią ani proboszczowie, ani wikarzy, namawiając do tego, żeby ludzie partie tworzyli. Nawet gdyby było ich piwo, to i tak do tego nie dojdzie.

Ja myślę, że natura sama musi sprawę załatwić, to znaczy moje pokolenie musi zejść z tego świata, a być może ci, którzy po nas przyjdą, będą tutaj, że tak powiem, bardziej świadomi i odpowiedzialni. Będą, jeżeli się ich tego jakoś nauczy, choćby w szkole.

Kiedyś pijarzy w XVIII wieku w Collegium Nobilium mieli coś w rodzaju Sejmu polskiego. I tam uczyli tych synów przemówień sejmowych, uczyli głosowań itd., itd. Podobno pijarzy w Krakowie zaczęli to ro-

bić. To jest groźna sprawa, bo grozi nam klerjalizacja od strony pijarów, bo jeżeli tak będzie, jeżeli tylko absolwenci będą dostosowani do życia parlamentarnego, to znowu nam grozi, że tak powiem, atak krowidła od drugiej strony.

To jest sygnał dotyczący spraw politycznych. Ja myślę, że dużo będę o tym mówić, ale problem właściwie koncentruje się wokół jednego pytania: Czym właściwie jest polityka?

Myślę, że po okresie socjalizmu myśmy otrzymali taką wizję polityki, że polityka to przede wszystkim dążenie do zdobycia władzy. Jeśli ktoś wchodzi w politykę, to znaczy, że chce mieć władzę. A ponieważ władza jest zawsze sytuacją – w Polsce przynajmniej – podejrzaną, to ktokolwiek ma władzę, staje się od razu podejrzanym. Inni patrzą, jaki ma samochód, jakie ma buty. Dlatego jest takie błędne koło: daleko od władzy, daleko od polityki, jednym słowem: daleko od publicznej odpowiedzialności.

Dруга dziedzina to dziedzina ekonomiczna. I tutaj spadek po komunizmie jest szczególnie dramatyczny. Raz po raz idzie przez Polskę wołanie o potrzebę naprawienia etosu pracy. Wydaje się najczęściej, że to wołanie na pustyni. Bo w gruncie rzeczy to, co przez

komunizm zostało popsute, to nie tyle etos pracy, ile jej logos, jej logika, zafalszowaniu uległa sama logika pracy.

Obserwując zjawisko polskiej pracy, uważało się szczególne doświadczenia, które w innych okolicach albo w ogóle nie istniały, albo nie miały takiego znaczenia. Pojawilo się mianowicie zjawisko pracy bez sensu jako zjawisko społeczne. Pojawilo się także zjawisko pracy bez celu, nie jako pojedyncze zjawisko, ale jako zjawisko społeczne.

Praca bez sensu jest podobna do mowy bez sensu. Mowa jest mową bez sensu wtedy, kiedy poszczególne słowa użyte w mowie mają sens, ale ich zestaw nie ma sensu. Możemy mówić na przykład: koń, drzewo, jeżeli, albo. Każde z tych słówek ma sens. Ale wypowiedziane tak, jak ja je wypowiedziałem, nie tworzą żadnego sensu. I miniony okres doprowadził pracę do tej właśnie sytuacji.

Poszczególny robotnik wykonywał swoją czynność i ona miała jakieś znaczenie, ale z tych cząstkowych znaczeń nie można było ułożyć całości. Było to widoczne szczególnie w dniach stanu wojennego, bo stan wojenny nagle zmusił robotników do tego, żeby robili swoje. Jeden robił oś, drugi robił koło, po czym okazało się, że koło nie pasuje do osi. I w tej sytuacji doszło u nas do głębokiego przewrotu moralnego w podejściu do pracy. Praca, zwłaszcza praca społeczna, praca państwowa, stając się pracą bez sensu, doprowadziła do tego, że jedynie sensownym zachowaniem było zaniechanie pracy.

Albo jeszcze inaczej. Opowiem to w formie małej anegdoty.

Jak państwo wiecie, w Czorsztynie buduje się tama. Zaczęto budować tę tamę bardzo dawno i będzie się jeszcze budować bardzo długo. Kiedy zaczynało budować tamę, chłopci mieli ogromne problemy z kupowaniem cementu. Aliści okazuje się, że wraz z budową tej tamy nagle w okolicznych wioskach powstawało mnóstwo cementowych konstrukcji: tu jakiś zbiornik na gnojówkę, tutaj jakaś chlewnia cementowa, cud czy co?

Duszpasterz, który siadał do konfesjonału, słyszał: proszę księdza, stało się, ukradłem pięć ton cementu. Proboszcz, duszpasterz oczywiście, był oburzony, strasznych słów używał, żeby wstrząsnąć grzesznikiem. Grzesznik potulnie słuchał, kiwał głową. Słuchał, jaka pokuta, no za pokutę, człowieku, to trzeba będzie iść pewnie z pielgrzymką do Częstochowy. No tak, trudno, to się pójdzie, ale głównie interesowało go [penitenta], czy musi oddać. I tu, na tym poziomie, dochodziło do milczącego porozumienia Kościoła z grzesznikiem: no tak, daj tam coś na składkę, ale oddać nie musisz. I sprawa była załatwiona.

Minęły lata. Niejaki Tischner napisał „Etykę solidarności”. I w tej „Etyce solidarności” napisał, że praca jest bez sensu, że sensowniej jest często nie pracować, niż pracować. No bo zamiast pracy jest marnowanie energii, marnowanie surowca itd. Tama się nadal buduje, te cementowe konstrukcje także, przychodzi grzesznik i mówi: proszę księdza, dumny jestem, uratowałem pięć ton cementu, no bo by zmarnowali.

Oczywiście proboszcz jest oburzony, znowu robi kazanie z powodu zafalszowania świadomości, znowu jest problem pokuty. No pokuta to już może nie do Częstochowy, do Ludźmierza, tam też Matka Boska bardzo dobra, problem oddania oczywiście nie wchodzi w grę.

Dzisiaj tama się nadal buduje i chłop oczywiście nie ma problemu z kupnem cementu, ale trzeba dalej jechać, a tu jest bliżej. I wtedy sam mu ksiądz mówi: Człowieku, dlaczego cement, a czemu nie cementownię? No bo jest reprivatyzacja, nadszedł czas, że tak powiem, przywłaszczania bezpańskich cementowni.

Widzicie państwo, to anegdota, ale obrazuje trochę, jak etyka własności funkcjonowała w tych czasach. A źródłem tego było naruszenie podstawowej zasady: że praca daje prawo do posiadania. Jeżeli ja pracuję, z ziemi wydobywam ziemniaki, to znaczy, że ziemniaki są moje, i oczywiście, jeże-

li teraz ktoś chce mieć ziemniaki, ma je ode mnie odkupić. Tymczasem ta zasada przez krytykę własności prywatnej została naruszona i skutki są takie, jakie są.

Pisano na ten temat bardzo dużo, ale prawdy nigdy dość. Gdyby dzisiaj tak obserwować to, co się dzieje w naszej pracy, co się dzieło, to można napisać znakomitą książkę. I dokument to będzie niezwykły. Tak jak dzisiaj czytamy pamiętniki powstańców styczniowych czy listopadowych, tak będą [ludzie] czytać relacje z sytuacji w polskiej pracy po wielu latach w przyszłości.

Kiedyś w Gdańsku miałem konferencję i poprosiłem ludzi, aby napisali pamiętniki, „Tydzień mojej pracy” po prostu. I dostałem parę tekstów. Przecudowne teksty. Teksty, które można by zatytułować: „Co tu robić, żeby nic nie robić, wyjść na swoje i zarobić”...

I wreszcie trzeci moment, który tutaj wchodziłby w grę oprócz przemian politycznych i ekonomicznych – sprawa, że tak powiem, spadku po przeszłości w dziedzinie stylu myślenia, stylu przeżywania świata. Po wiem krótko. Wydaje się, że po okresie komunizmu czy socjalizmu społeczeństwo zostało ogarnięte nowym, nieznanym nam dotąd lękiem, lękiem przed wolnością.

Jest to paradoks. My, Polacy walczący o wolność tak mężnie i tak dzielnie, nagle, kiedyśmy ją odzyskali, zostaliśmy sparaliżowani lękiem przed nią. Można powiedzieć, że jest to jakiś element tej symboliki, którą Żinowiew wprowadził – symboliki związanej z pojęciem homo sovieticus. Bo homo sovieticus to jest właśnie ten człowiek, który oddał się w niewolę i starał się w tej niewoli ułożyć sobie życie w miarę wygodnie.

To nieprawda, że w dobie komunizmu nie było żadnej wolności. Była wolność, ale przede wszystkim taka wolność, która tworzyła świat spokojnej klatki. Można było żyć w klatce, mieć zaspokojone elementarne potrzeby. W pewnym momencie klatka pęka i okazuje się, że ptak nie umie latać.

Pojęcie lęku przed wolnością daje do myślenia. Podobny lęk przed wolnością mieli Niemcy w okresie Weimaru. Wszystko, co złe, kojarzyło się z wolnością. Wolność to znaczy afery gospodarcze. Wolność to znaczy rozpasanie seksualizmu. Wolność to znaczy niepewność. I w końcu ta wolność okazała się rzeczywistością obarzoną tyłoma winami, że człowiek powiedział: wyrzeknijmy się wolności, a odzyskamy dawną niewinność.

Bo w gruncie rzeczy gra idzie o to, czy jesteśmy, czy nie jesteśmy winni. Jeżeli jesteśmy winni, to znaczy jesteśmy wolni, ale jeżeli jesteśmy wolni, to jesteśmy winni, jesteśmy odpowiedzialni. Jeżeli nie jesteśmy wolni, to wtedy odzyskujemy naszą pierwotną niewinność. I myślę, że w okresie komunizmu ogromna masa ludzi żyła w przekonaniu, które jest normalnie wielkim lukusem – w przekonaniu, że jest niewinna. My nie doceniamy tego przekonania.

My, duchowni, księża, obserwujemy ludzi od strony konfesjonału. I ja sobie teraz dopiero uświadamiam, że w gruncie rzeczy ogromna liczba tych rozmów, tych zwierzeń dotyczyła tej jednej sprawy: tak naprawdę to ja, Polak, jestem niewinny. Tak nas ustawiono, takie miejsce [mieliśmy] w Europie, takie czasy, luksus niewinności.

W tej perspektywie komuniści mówili tak: my jesteśmy winni, my jesteśmy odpowiedzialni. Brali jakby winę na siebie, zdejmując ją z tych, którymi rządzą. I to wydaje mi się najbardziej niebezpiecznym zjawiskiem epoki posttotalitarnej. To jest najbardziej trudny problem, wyjście z raj, ze stanu niewinności do stanu winy.

Jeszcze jedna anegdota, którą zresztą kiedyś cytowałem w „Polityce”, pisząc na temat homo sovieticus. Szukałem w okolicy przykładów [osób], które się nie dały zso-wietyzować. I mam kilka takich przykładów. Jeden jest analfabetą, człowiek w moim wieku. Ojciec i matka uczyli go czytać i pisać, ale potem on szybko zapomniął, co dobrze wroży dla polskiego społeczeństwa. Ale ma rozum i umie nazwać [rzeczy] po

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ignacy Fik*

Tematy współczesne

*Będą zazdrościć epoce, w której żyliśmy,
będą nas nazywali łupem drapieżnej hekatomby.
przemianą ospy w krwi zakażonej,
będą mówić o czasach pogardy, epoche zamętu.
o mrokach stulecia, o zagaszonych przedświtach i wiosnach
albo będą nas widzieć jak podniesione z bruku sztandary
jak burzę światła, jak heroiczne eksplozje zaklętych kopalni
jak powstający śpiew biało wyheblowanych instrumentów
jak gniazd górskich lodowce, z których spływa kaskada czterech żywiołów –
podczas gdy my
staliśmy godzinami pod zlewem publicznej kuchni
z blaszanym dzbankiem po ziemniaczaną zupę
i rozmawialiśmy o trudnościach opalenia mieszkania,
niedożywieni i nieogoleni od tygodnia,
tropieni jak psy pod zadrutowanym parkanem parku –
właściciele fałszywych książeczek ubezpieczalni społecznych,
rentierzy ostatnich pierścionków i zegarków.*



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Utwór pochodzi z jego tomu wierszy „Przymierze” (1940), wydanego w konspiracji, chociaż pod własnym nazwiskiem.

imieniu. Więc on dla mnie był symbolem wolności, niezależności.

Ponieważ był podejrzewany przez cały okres PRL-u, że ma broń, więc ile razy było napięcie w kraju, to mu robiono rewizję w chałupie, a on mi tylko mówił: „Głuptoki, myślą, że się takie coś w chałupie trzyma”.

Razu jednego jechali do niego w celu zrobienia rewizji, a on wywoził gnój z domu i był jakieś 200 metrów przed chałupą. I pytają się go, gdzie tu mieszka na przykład Stasiu Kowalski, to był właśnie on. A on pokazał im swoją chałupę i pojechał dalej.

„Jakby się pytali, gdzie ja mieszkam – mów – tobym im pokazał”. Więc powiedziałbym, proszę państwa, że to była wolność i niezso-wietyzowanie w wersji ironiczno-cynicznej, trochę z dystansem.

Ale w „Polityce” zacytowałem inny przykład. Jeszcze w czasach stalinizmu była wizytacja biskupa na jednej podhalańskiej parafii i tam był wielki problem z banderią końską, bo chłopci jechali na koniach, a władza zakazywała, że to tamuje ruch na drodze. A oni tłumaczyli, że będą prędko jechać, to nie będą hamować...

Poza tym było tak, że 1 maja nagle w całej wsi te konie kulały, a już 5 maja, jak biskup przyjechał, nagle wszystkie zdrowe. I właśnie jeden z moich znajomych jechał tak na koniu i jakiś z milicjantów się przycepił i mówi: „Gdzie jedziesz?”. I charakterystyczna odpowiedź: „Co cię to obchodzi? Koń mój, dusza moja”.

Rozumiecie państwo? Skoro człowiek nie może powiedzieć, że ma swojego konia,

że „koń mój, dusza też moja”, jeżeli koń jest z PGR-u, a dusza, jak to się wtedy mówiło, jest świadomością określoną przez byt, no to wtedy oczywiście jesteśmy w kołowrocie.

Krótko mówiąc, jest nieźle, jest ciekawie, jest dobrze i jedyne życzenie na koniec jest takie: Marks powiedział kiedyś, że filozofowie dotychczas objaśniali świat, a teraz chodzi o to, aby go zmienić. To jedenasta teza o Feuerbachu, piękna teza.

O, to jest to. I teraz, proszę państwa, my musimy zająć inną postawę. Marksisci zmieniali świat. A druga teza napisana przez Timothy’ego Gartona Asha mówi, że komuniści zmieniają świat, a my musimy za to płacić, kapitaliści.

A my starajmy się nie zmieniać tego świata, tylko się mu przyjrzyć, popatrzeć, bo to jest fascynujące, to jest naprawdę bardzo ciekawe, obserwować, jak na tych poszczególnych płaszczyznach rodzi się w końcu coś niezwykle ciekawego, niezwykle nowego. Żyjemy w znakomitych czasach, to znaczy głodno, chłodno, ale jak zwykle w historii mamy rację. Bo Polak to wariat, a wariat to lepszy gość. ●

Wykład wygłoszony przez ks. Józefa Tischnera 12 listopada 1992 r. podczas spotkania z prawnikami i studentami Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. Nagrał go i dostarczył nam nagranie pan Jerzy Pękalski z Rzeszowa, uczestnik tego wydarzenia. Tekst nie był dotąd publikowany. Tytuł – „Wyborcza”.

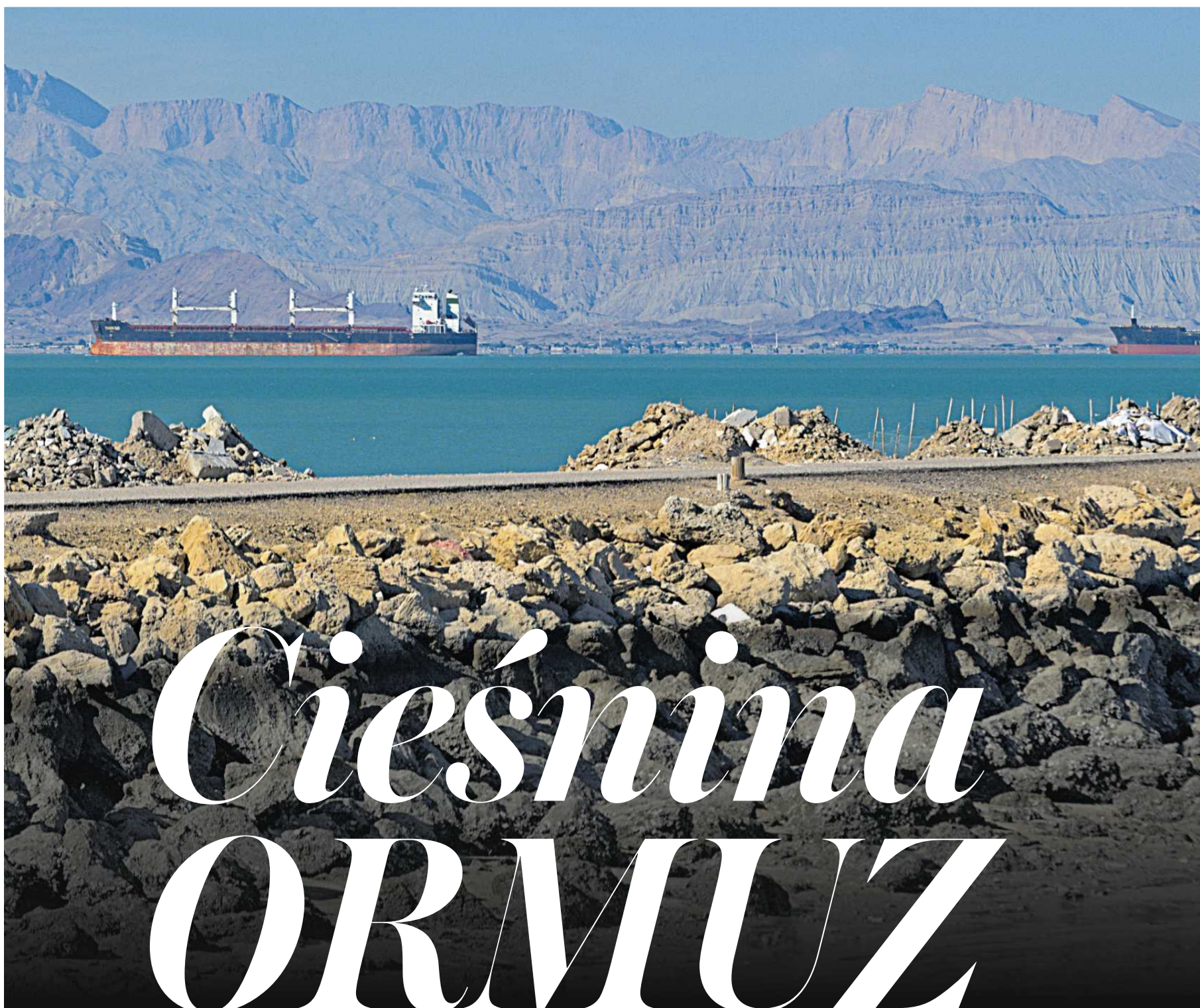
wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTODYSCJA:** Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





Cieśnina ORMUZ

3 lipca 1988 roku, godzina 10.24 czasu irańskiego (8.54 czasu polskiego). Kapitan Mohsen Rezaian przełącza Iran Air 655 na nową częstotliwość. Z wieży kontroli lotów w Bandar Abbas słychać pozdrowienia. Rezaian odpowiada: „Thank you. Good day”. To jego ostatnie słowa.

Dwanaście sekund później dwie rakiety SM-2MR wystrzelone z amerykańskiego krążownika USS „Vincennes” rozrywają samolot na trzy części. Na pokładzie 290 osób – nikt nie przeżył.

Airbus A300 leciał regularnym, zatwierdzonym korytarzem powietrznym Amber 59 z aktywnym transponderem cywilnym. Samolot nie zszedł z kursu ani nie zniżał lotu. Co prawda załoga USS „Vincennes” dziesięć razy go wywoływała – siedem razy na falach wojskowych i trzy na cywilnych, ale jako „niezidentyfikowany samolot lecący z prędkością 350 węzłów”, bez podania numeru lotu czy nazwy linii lotniczej. Kapitan Rezaian nie miał powodu podejrzewać, że dotyczą one właśnie jego samolotu.

Krążownik „Vincennes” znajdował się w tym czasie, wbrew rozkazom operacyjnym, na irańskich wodach terytorialnych. Jego dowódca kapitan William C. Rogers III ścigał kutry patrolowe. Operator radarowy podoficer Andrew Anderson błędnie zidentyfikował cywilny transponder samolotu jako wojskowy. W systemie zarządzania ogniem Airbus A300 został oznaczony jako F-14 Tomcat – kilkadziesiąt tych samolotów Amerykanie sprzedali Iranowi 12 lat wcześniej.

Komandor David Carlson z USS „Sides” aż zanie-mówił, gdy usłyszał o ataku na cywilny samolot. A mimo to, mimo dowodów i międzynarodowej krytyki, Stany Zjednoczone nigdy nie przeprosiły oficjalnie. Wiceprezydent George H.W. Bush publicznie oświadczył: „Nieważne, jakie są fakty”. Dowódca USS „Vincennes” kapitan Rogers został uhonorowany Legią Zasługi, a reszta załogi – medalami Za Odwagę w Walce.

W 1996 roku USA wypłaciły rodzinom ofiar rekompensatę w wysokości 61,8 miliona dolarów, bez uznania winy. Kwota odpowiada dzisiejszym mniej

wąskie gardło świata

Iran zapowiedział blokadę cieśniny Ormuz. Byłby to kłopot dla wielu krajów, ale największy dla samego Iranu.

**Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski**

więcej 121 milionom dolarów; na każdą ofiarę przypadło około 436 tys. odszkodowania, czyli z grubsza 1,66 miliona złotych.

ILE KOSZTUJE ZAMKNIĘCIE CIEŚNINY?

Iran Air 655 wpadł do cieśniny Ormuz – to jedno z najbardziej tragicznych i rozpoznawalnych wydarzeń w historii tego miejsca. Jednak cieśnina to nie tylko katalog katastrof – to od tysiącleci sieć napięć geopolitycznych, interesów i zależności.

Nazwę zwykle wywodzi się od wyspy i ulokowanego na niej średniowiecznego Królestwa Ormuz, które od XIII do XVI wieku rozkwitało na wyspie o tej samej nazwie. Inna teoria przywołuje „Hur-mogh” – po persku palmę daktylową. Spotyka się też etymologię odnoszącą się do greckiego ormos – „zatoka” lub Ahura Mazdy, perskiego bóstwa.

Ormuz to cieśnina między Zatoką Perską od zachodu a Zatoką Omańską już na Oceanie Indyjskim. Ma około 167 kilometrów długości, a jej szerokość waha się od 39 do 96 kilometrów, średnia głębokość 50 metrów. Od północy ogranicza ją brzeg Iranu, od południa – półwysp Musandam, podzielony między eksklawę Sultanatu Omanu, taki omański obwód królewiecki, oraz Zjednoczone Emiraty Arabskie. Żeglowny kanał ma tylko kilka kilometrów szerokości, minimalną głębokość 10 metrów, i to właśnie tamtędy przechodzi obecnie nawet 20-25 proc. światowej produkcji ropy naftowej oraz gazu.

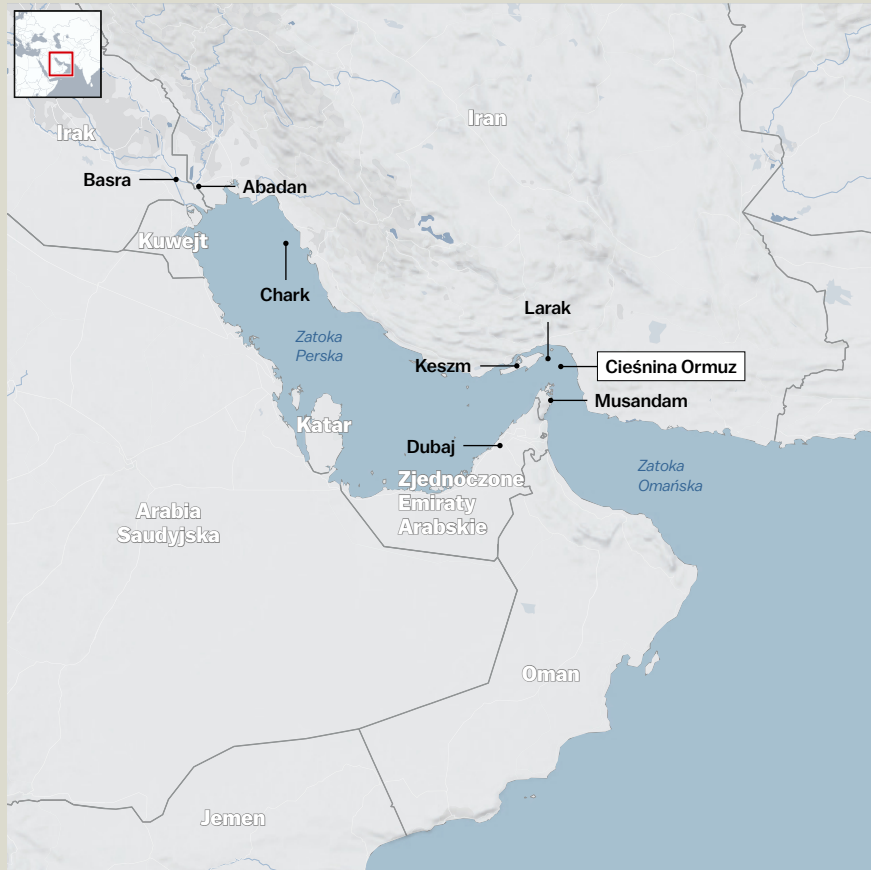
Alternatywą dla cieśniny są częściowo rurociągi. ZEA budują 432-kilometrowy z Abu Zabi do Fudżajry, o przepustowości około 1,8 miliona baryłek dziennie. Arabia Saudyjska rozwija zaś rurociąg East-West łączący wschodnie pola naftowe z portem na Morzu Czerwonym. Ale to tylko obejścia, nie zamienniki. Dla przykładu Indie – trzecie co do wielkości państwo importujące ropę na świecie – sprowadzają nie-



FOT. GERMÁN VOGEL / GETTY IMAGES

Po wojnie tankowców Iran umocnił pozycję w cieśninie Ormuz, rozbudowując systemy radarowe i wyrzutnie rakiet na wyspach Keszem, Larak, Abu Musa i Sirri. Stały się one swoistymi „zamkami” Ormuzu, skutecznie blokując ingerencję z zewnątrz

Cieśnina Ormuz



INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL/BIQDATA

mal połowę swojego surowca właśnie przez cieśninę Ormuz. Oznacza to, że każda blokada tego szlaku miałaby ogromny wpływ na indyjską gospodarkę i bezpieczeństwo energetyczne kraju.

Warto też zauważyć, że mimo sankcji eksport ropy z Iranu utrzymuje się na wysokim poziomie – według amerykańskiej Energy Information Administration podaż Iranu powróciła w 2023 roku do około 1,4 mln baryłek na dobę, a w pierwszych ośmiu miesiącach 2024 roku średnio utrzymywała się na poziomie 1,5 miliona baryłek na dobę, z czego niemal 90 procent trafia do Chin. Pokazuje to, jak ważnym graczem na rynku pozostaje Iran, a cieśnina Ormuz nadal jest głównym kanałem eksportowym także dla tego kraju.

Region leży na styku trzech płyt tektonicznych – arabskiej, indyjskiej i eurazjatyckiej – co tłumaczy silną aktywność sejsmiczną. Góry Zagros schodzą tu wprost do morza, a wyspy Keszem, Ormuz i Larak – pod kontrolą Iranu – to wypiętrzone fragmenty dna morskiego. W czasie ostatniego zlodowacenia cieśnina Ormuz była sucha; morze wróciło tu ok. 6 tysięcy lat p.n.e., przyciągając pierwszych rybaków i osadników. Później pojawili się kupcy i ich karawany. Babur, założyciel w XVI wieku państwa Wielkich Mogolów, opisał, jak transportowano tamtędy migdały z uzbeckiej Fergany. A dziś znowu może odegrać kluczową rolę. Jak pisał islandzki noblista Halldór Laxness – „historia się powtarza, ale za każdym razem kosztuje więcej” i dzieje Ormuz mają materialną wartość. Eksperci szacują, że jej zamknięcie wywołałoby gwałtowny wzrost cen ropy na światowych rynkach sięgający nawet 50-70 proc.

KRÓLESTWO KAPIĄCE ZŁOTEM

Znaczenie Ormuzu jako jeden z pierwszych dostrzegł Kserkses I, król Persji z dynastii Achemenidów. W 480 roku p.n.e., przygotowując wyprawę na Grecję, wiedział, że bez kontroli cieśniny nie utrzy-

ma łączności z południową Mezopotamią. Później flota Aleksandra Macedońskiego pod admirałem Nearchosem w 324 roku p.n.e. przeplęła Ormuz, docierając aż do ujścia Indusu i Tygrysu. Po nim szlak przyjęły dynastie, których nazwy kojarzą się z uniwersum Diuny: Seleucydzi, a następnie Partowie z dynastii Arsakidów. Ich lekkie, płaskodenne łodzie przemierzały Zatokę Perską i docierały do indyjskich portów, jak Bharuch czy położona nad Gangesem Pataliputra (Patna).

W VII wieku z nastaniem islamu nastąpiła zmiana cywilizacyjna, lecz szlaki handlowe pozostały. Kalifat Umajjadów z Damaszku traktował Zatokę jako peryferyjny obszar. Za to perscy Abbasydzi wzmacniali Basrę, która stała się potęgą handlową, a Ormuz odzyskał znaczenie jako kluczowy punkt kontaktu między Bliskim Wschodem a Indiami. Po mongolskim zdobyciu Bagdadu w 1258 roku ruch przez cieśninę jeszcze się wzmógł. Marco Polo zanotował około 1290 roku, że „nie było dnia, by nie widziano dziesiątków statków”.

Wtedy właśnie pojawia się port Ormuz. Około 1300 roku przeniesiono go na wyspę Ormuz, wielkością zbliżoną do Siedlec, by uciec przed najazdami mongolskimi i rozbojami. Nowe królestwo – rządzone przez sultanów – szybko stało się jednym z najbogatszych i najbardziej kosmopolitycznych ośrodków regionu. Roczne dochody z handlu liczone były w tonach srebra, a portugalscy kronikarze – Duarte Barbosa i Gaspar Correia – opisywali je jako „kapiące złotem i pachnące goździkami”.

Prosperity trwała dwa wieki. W 1507 roku cieśnina stała się celem ekspansji europejskiej. Portugalski admirał Afonso de Albuquerque zdobył Ormuz niemal bez walki, wykorzystując przewagę artylerii oraz niezadowolenie miejscowych elit. Portugalia zyskała klucz do szlaku do Indii i przez ponad sto lat kontrolowała cieśninę.

W 1622 roku siły szacha Abbasa I z dynastii Safawidów wspierane przez flotę angielską, po dziesięcioty-

godniowym oblężeniu zmusiły portugalską załogę do kapitulacji. Po zwycięstwie Persja odzyskała kontrolę nad handlem w Zatoce, a Anglicy zyskali dostęp do rynku jedwabiu i wełny. Cieśnina powróciła do gry o wpływy – tym razem jako centrum rywalizacji między Persją a Anglikami, a później Holendrami.

OSTROGI W BOKU PERSJI

Nie sposób zrozumieć historii cieśniny bez uwzględnienia leżącego po jej zachodniej stronie półwyspu Musandam. Brytyjczycy zwykli mówić, że wciną się niczym ostroga w perskie podbrzusze. I rzeczywiście, na mapach widać, jak wrzyna się w cieśninę i jak skutecznie ją „zamyka”.

Początkowo ten górzysty przyczółek był wyłącznie schronieniem dla lokalnych plemion. Jednym z najbardziej znanych byli Shihuhowie – trudni do sklasyfikowania etnicznie, posługujący się archaicznym dialektem z elementami perskiego i arabskiego. Postrzegani jako buntownicy i strażnicy własnych tradycji, nieujarzmieni, o czym przekonali się kolejni administratorzy. Lokalni urzędnicy przestrzegali, by nie próbować ich cywilizować siłą – konsekwencje mogły być śmiertelne.

W XVII wieku Musandam formalnie pozostał pod kontrolą Portugalczyków, którzy jednak ograniczali się do wykorzystywania go jako punktu obserwacyjnego i kotwiczowiska, unikając kolonizacji. Miejscowe klany łatwo mogłyby obrócić góry przeciwko najeźdźcom. W tym regionie znanym z piractwa regularnie dochodziło do napaści na perskie i europejskie statki. Korsarze, pływający tradycyjnymi łodziami dau, znali każdy zakamarek wybrzeża i potrafili zniknąć za skalistym cyplem szybciej, niż flota zdążyła zareagować. Nie bez powodu dau widnieją dziś w herbach m.in. Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

W XIX wieku walka o kontrolę nad cieśniną przybrała nową, kolonialną formę. Brytyjczycy, chroniąc ważny szlak morski do Indii, ustanowili garnizony w strategicznych punktach, m.in. w Bahrajnie i Fudżajrze. W 1853 roku zawarli z lokalnymi władcami tzw. Traktat Pokojowy, tworząc „Traktatowe Wybrzeże” – załączek Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

W połowie XIX wieku brytyjski protektorat nad wybrzeżem zapewnił względną stabilizację morską w Zatoce Perskiej.

KIEDY PERSJA STAŁA SIĘ IRANEM

W 1908 roku w perskim Maszded-e Solejman odkryto ropę naftową. Brytyjczycy – zwłaszcza William Knox D'Arcy, prawnik i inwestor – zdawali sobie sprawę z jej znaczenia. Działania finansował rząd w Londynie pośrednio przez spółkę Anglo-Persian Oil Company, później British Petroleum (BP). Ropa z Iranu miała napędzać Królewską Marynarkę Wojenną, która przedstawiała się z węgla na paliwo płynne. Jednym z pierwszych okrętów na ropę był pancernik HMS „Queen Elizabeth”. Inicjatorami zmian byli m.in. admirał John Fisher i młody Winston Churchill, ówczesny Pierwszy Lord Admiralicji. Brytyjczycy kontrolowali technologię, kapitał i infrastrukturę, podczas gdy Persja była dostawcą ropy. Już wtedy pojawiła się pułapka surowcowa – bogactwo naturalne, które zamiast rozwijać kraj, pogłębiało zależność i wpływy obcych mocarstw.

Podczas I wojny światowej ropociągi i terminale w regionie stały się równie strategiczne, co alianckie szlaki morskie. Abadan, położony nad Zatoką Perską, był kluczowym zapleczem brytyjskiej floty i armii. Tamtejsza rafineria – największa na świecie – zasilala maszyny od Afryki Wschodniej po Indie. Po wojnie nie było wątpliwości, że ropa decyduje o losach państw.

W 1933 roku młody szach Reza Pahlawi podpisał nową koncesję – pozornie korzystniejszą, lecz jego kraj otrzymywał wciąż niewielką część

dochodów z wydobycia. Anglo-Persian Oil Company zarabiała wielokrotnie więcej, niż wynosił budżet Persji. W 1935 roku szach nakazał używać nazwy Iran zamiast Persja, podkreślając dążenie do niezależności. Mimo to port w Abadanie pozostał pod kontrolą cudzoziemców, a cieśnina Ormuz – w rękach Brytyjczyków.

W czasie II wojny światowej Iran pozostawał kluczowym dostawcą ropy i w 1941 roku wspólnie Anglicy i Sowieci wkroczyli do kraju, żeby przeciwdziałać niemieckim wpływom. Zmuszono Rezę Pahlawiego do abdykacji na rzecz syna Mohammada Rezy Pahlawiego. Cieśnina Ormuz pozostała strategicznym punktem dla aliantów gwarantującym dostęp do ropy i transport także dla ZSRR poprzez tzw. korytarz perski.

Po wojnie frustracja Irańczyków narastała. Premier Mohammad Mosaddegh w 1951 roku ogłosił nacjonalizację Anglo-Iranian Oil Company. Brytyjczycy odpowiedzieli blokadą i sabotażami. W 1953 roku, przy wsparciu CIA i MI6, przeprowadzono tajną operację „Ajax”, obalając demokratycznie wybranego premiera. Po zamachu na Mosaddegha z powrotem władzę objął szach Mohammad Reza Pahlawi, który rządził autorytarnie i chronił zachodnie interesy.

W kolejnych latach zmieniała się rola geopolityczna Iranu. W 1971 roku Brytyjczycy ostatecznie wycofali się z regionu, a Teheran przejął kontrolę nad wyspami Keshm, Ormuz i Larak – naturalnymi strażnikami cieśniny. Szach skupił się na modernizacji, inwestując w wojsko i służby specjalne wspierane przez Amerykanów.

Ropa wzbogacała państwo, lecz korzyści nie docierały do obywateli. Napięcia społeczne i polityczne rosły.

ŚMIERĆ AMERYCE!

Jesienią 1978 roku w Iranie porządek zaczął się chwiać. Kluczowy okazał się protest w przemyśle naftowym – robotnicy rafinerii domagali się wyższych płac i lepszych warunków mieszkaniowych, ale rząd ich zignorował. Gdy 8 września w Teheranie padły strzały podczas tzw. czarnego piątku, zginęły dziesiątki osób, a strajki objęły także Abadan, Isfahan, Sziraz i Kermanszah. Wydobycie z 6 milionów baryłek dziennie spadło o 4,8 miliona, wartość ta odpowiadała około 7 procentom światowej podaży surowca.

Rząd próbował reagować, ale fala protestów była nie do zatrzymania, gospodarka się zalamala, a fundamentalne dla budżetu wpływy z eksportu ropy niemal ustały. Arabia Saudyjska i inne kraje próbowały zwiększyć produkcję, lecz globalna podaż spadła o 10 procent, a ceny baryłki wzrosły z 13 dolarów w 1979 roku do 34 dolarów w 1980. Świat zaczął mówić o „drugim szoku naftowym” – pierwszy wywołała wojna Jom Kippur w 1973 roku.

Dla ajatollaha Chomeiniego, duchowego architekta rewolucji, ropa stała się bronią polityczną. Przebywając na emigracji we francuskim Neauphle-le-Château, codziennie wydawał oświadczenia, które przemycano do kraju, wzmacniając rewolucyjny przekaz. W lutym 1979 roku Chomeini powrócił do Iranu po 14 latach wygnania. Jego przyjazd powitały miliony Irańczyków, a władzę szybko przejęli duchowni i radykalne frakcje rewolucyjne. Byli świadomi znaczenia cieśniny. Jeden z przywódców rewolucji, Haszemi Rafsandżani, stwierdził w 1984 roku: „Iran może uczynić z cieśniny ścianę ognia”, i dodał: „używając artylerii, a jeśli zajdzie taka potrzeba, nawet [możemy] zamknąć ją karabinami Kalasznikowa”.

Przez Ormuz przepływało wówczas około 70-75 procent całego eksportu ropy państw OPEC. Dominowała Arabia Saudyjska (ponad jedna trzecia), a pozostałe kraje – Irak, Kuwejt, ZEA i Iran – miały mniejsze udziały. W 1979 roku Oman oficjalnie przyznał, że nie jest w stanie zagwarantować bezpieczeństwa cieśniny. Teheran narzucił wtedy nową trasę żeglugową bliżej jego brzegów, co praktycznie przekazało mu kontrolę nad kluczowym szlakiem.

Mając w ręku argument o globalnym rażeniu, irańscy rewolucjoniści mogli już spokojnie wykrzykiwać swoje „Marg bar Āmrīkā” („Śmierć Ameryce!”).

WOJNA TANKOWCÓW

Irak rozpoczął wojnę z Iranem we wrześniu 1980 roku, licząc na szybkie zajęcie bogatej w zasoby prowincji Chuzestan. Konflikt zamienił się w wojnę pozycyjną, a obie strony stosowały broń chemiczną. Irańska propaganda rekrutowała dzieci – w komiksie „Persepolis” pokazano, jak dawano im klucze na szyję, symbol wejścia do raju i... wysyłano na pola minowe.

W 1984 roku rozpoczęła się wojna tankowców, odsłona tego konfliktu. Irak uderzał z powietrza,

fin. *Or vous av compte li comme il aint li yrons auant et vous compterons dautres choses.*



• **Marco Polo wpływa do portu Ormuz, miniatura z „Livres des merveilles du monde”, francuskiej wersji „Podróży Marco Polo”**

FOT. DE AGOSTINI / GETTY IMAGES

używając francuskich rakiet Exocet montowanych na myśliwcach Mirage F1. Głównymi celami były terminal na wyspie Chark oraz statki płynące do irańskich portów. Jak mówił iracki pilot: „Strzelamy nie tylko po to, by zatopić – ale by wszyscy wiedzieli, że nikt tu nie jest bezpieczny”.

Iran odpowiadał minami morskimi, szybkimi kutrami i wyrzutniami rakiet Silkworm (jedwabnik) zakupionymi w Chinach i montowanymi na wyspach i wybrzeżu. „Płynąłeś i czekałeś, aż coś pod tobą wybuchnie” – wspominał norweski kapitan.

W maju 1987 roku iracka rakietą trafiła USS „Stark”, zabiła 37 osób. Amerykanie rozpoczęli operację „Earnest Will” (od lipca 1987 do września 1988) i eskortowali kuwejckie tankowce pod amerykańską banderą. 24 lipca 1987 roku tankowiec „Bridgeton” natrafił na minę, a kilka dni później kolejna uszkodziła USS „Samuel B. Roberts”.

18 kwietnia 1988 roku USA przeprowadziły operację „Praying Mantis”, czyli modliszka, owad, który wyczuje, a potem błyskawicznie atakuje ofiarę i zjada jej głowę. Było to największe morskie starcie od II wojny światowej. Zniszczono irański trałowiec, trzy kutry patrolowe oraz zaminowane platformy naftowe Sirri i Sas-san. Załoga platformy Sirri należącej do Gwardii Rewolucyjnej uciekła w szalupach. Pilot z USS „Wainwright” relacjonował: „Widzieliśmy, jak skaczą do wody”.

Po wojnie tankowców Iran umocnił pozycję w cieśninie Ormuz, rozbudowując systemy radarowe i wyrzutnie rakiet na wyspach Keshm, Larak, Abu Musa i Sirri, które stały się swoistymi „zamkami” Ormuzu, skutecznie blokując ingerencję z zewnątrz.

Sirri, położona u wejścia do cieśniny, jest miejscem intensywnych emisji gazów ropopochodnych z wysokich, nieustannie płonących „pochodni”, co powoduje lokalne zanieczyszczenia powietrza. Keshm – największa irańska wyspa – ma zaś bogatą historię i jest znana z najdłuższej jaskini solnej na świecie wpisanej na listę geologicznych skarbów. Wyspa była zamieszkała od czasów prehistorycznych, a w XVII wieku padła ofiarą angielsko-perskiego starcia, w którym zginął odkrywca William Baffin.

NOWI GRACZE W CIEŚNINIE

Po inwazji USA na Irak w 2003 roku Iran postawił na szybkie kutry, miny morskie, rakiety przeciwokrętowe, ataki cybernetyczne i rozwój dronów bojowych. Teheran dysponuje również dronowcem – IRIS „Shahid Bagheri”. To przebudowany kontenerowiec z Korei Południowej. W 2025 roku okręt wszedł do służby jako pierwsza na świecie jednostka specjalnie przystosowana do operacji dronowych na pełnym morzu.

Iran ma też flotę okrętów podwodnych. Polska dysponuje jednym – Iran, według różnych szacunków, nawet trzydziestoma. Najlichniesze są lekkie Ghadiry – około 90-tonowe jednostki do działań w płytkich wodach Zatoki Perskiej. Drugim typem są półciężkie Fatehy – większe okręty z torpedami

533 mm, minami i pociskami manewrującymi. W 2024 roku zaprezentowano ich wersję z napędem AIP – niezależnym od powietrza atmosferycznego. W Ormuzie sprawdzają się idealnie.

W 2011 roku napięcie w regionie odżyło: po protestach w Bahrajnie do kraju wkroczyły saudyjskie wojska. Chwilowe odprężenie przyniosło dopiero Porozumienie Paryskie (JCPOA) z 2015 roku. Gdy jednak USA wycofały się z układu w 2018, a rok później rozpoczęła się seria irańskich sabotażów tankowców, sytuacja ponownie się zaostrzyła. Kulminacją był styczeń 2020 i zabójstwo generała Kasema Sulejmaniego – dowódcy sił Al-Qods – oddziałów specjalnych Strażników Rewolucji, architekta irańskich struktur w Syrii. Choć jego śmierć zapowiadała otwartą konfrontację, Iran odpowiedział 12 rakietami balistycznymi, celując w amerykańskie bazy tak, by uniknąć ofiar. Atak nazwano „wyważonym i proporcjonalnym aktem samoobrony”.

Równolegle Teheran zacieśnił współpracę wojskową z Rosją, Chinami i Indiami. I tak po raz pierwszy od wieków w Ormuzie pojawili się nowi, globalni gracze. Iran wspierał też rebeliantów Huti, którzy atakowali statki w cieśninie Bab al-Mandab. W efekcie niektórzy armatorzy zaczęli omijać Kanał Sueski i płynąć dookoła Afryki.

Niezależnie jednak od trasy – czy przez Morze Śródziemne, czy wokół Przylądka Dobrej Nadziei – wszystkie statki zmierzające do Zatoki Perskiej lub z niej wypływające muszą przejść przez Ormuz.

Dziś ten wąski przesmyk pęka w szwach – pływają tam okręty USA, Francji, Arabii Saudyjskiej i coraz częściej Chin. Ruch jest nieustanny. Atmosfera gęsta. I wystarczy drobiazg, żeby runęło domino.

Głównym odbiorcą irańskiej ropy – choć oficjalnie jej nie importuje – są Chiny. Według firmy analitycznej Kpler specjalizującej się w śledzeniu handlu surowcami energetycznymi ponad 90 procent eksportu irańskiej ropy objętej sankcjami USA trafia właśnie tam. Przemycana jest głównie przez tzw. transshipmenty – czyli przeładunki z tankowca na tankowiec na pełnym morzu, często u wybrzeży Malezji, bez zgłoszeń do międzynarodowych rejestrów. To szara strefa globalnego handlu.

Co więcej, sześciu z dziesięciu największych dostawców ropy do Chin znajduje się w rejonie Zatoki Perskiej. Dlatego zablokowanie przez Iran cieśniny Ormuz byłoby strzałem w kolano. Teheran pozbałby się jedynego naprawdę dochodowego źródła wpływów. Szacunki mówią o 30-40 miliardach dolarów rocznie, które płyną do irańskiego budżetu właśnie z tej – oficjalnie nieistniejącej – sprzedaży.

Ale inni nie są tak optymistyczni. Swoje prognozy opierają na teorii systemów. Wystarczy drobna zmiana w układzie – z pozoru niewinna – by uruchomić reakcję łańcuchową. Co się zatem stanie, jeśli nad Ormuzem motyl machnie skrzydłem? Niewielka zmiana kursu irańskiego kutra. Nieznany dron na horyzoncie. Kolejny Air Flight 655. Mały błąd. Wielki ogień. A potem – cisza, która będzie kosztować cały świat. ●



• Jeden z amerykańskich bombowców – superforteca B-29, przygotowywana do nalotu na Tokio na wyspie Saipan na Marianach FOT. KEYSTONE/GETTY IMAGES

ZAŁATWIMY ICH *napalmem*

Latem 1945 roku setki tysięcy japońskich cywilów zginęły w amerykańskich nalotach dywanowych, ponieważ urządzenie, które miało umożliwić precyzyjne trafienie z wysokości 9 tysięcy metrów, zawiodło.

Robert Stefanicki

Syreny alarmowe zawyły w Tokio 9 marca około 22.30. Tylko część mieszkańców posłusznie opuściła swoje drewniane domy, inni ostrzeżenie zignorowali. Stolica Japonii była już wcześniej bombardowana, ale tylko raz w nocy i w ograniczonym zakresie.

Pierwsze B-29, jakie pojawiły się nad miastem, miały za zadanie oznaczyć cel. Zrzucony ładunek podpalił drewniane dachy w kształcie ogromnego, ognistego „X”. Obszarem docelowym był prostokąt o powierzchni około 30 kilometrów kwadratowych położony w centrum Tokio po obu stronach rzeki Sumidy. Obejmował

tereny przemysłowe, handlowe i tysiące domów należących przeważnie do klasy robotniczej. Wówczas była to jedna z najgęściej zaludnionych dzielnic miejskich na świecie.

Tej nocy B-29 zrzuciły na Tokio 1665 ton bomb zapalających. Napalm pożerał wszystko, czego dotknął. Ludzie biegali po ulicach w panice, desperacko próbując znaleźć jakiegokolwiek schronienie przed piekielnym gorącym, które w niektórych miejscach dochodziło do 1800 stopni. Ogień wysysał tlen z powietrza, dusząc tych, którzy jeszcze się nie upiekli. Szyby w oknach się topiły, a wiatr burzy ogniowej wyrzucał roztopione szkło w powietrze, które spadało, wtapiając się we włosy i skórę.

Matki uciekały przed pożarem z dziećmi przytroczoneymi do pleców, lecz gdy się zatrzymywały, by odpocząć, odkrywały, że ich dzieci płoną.

Instynkt pchał tokijczyków w stronę wody. Jednak tej nocy woda nie była ratunkiem. Ta w stojących zbiornikach żywcem gotowała nieszczęśników, którzy się w niej zanurzyli. Inni wskakiwali do kanałów wpadających do Sumidy i tonęli wraz z nadejściem przyływu lub przygnieceni ciężarem setek innych ludzi. Niektórzy trzymali się stalowych konstrukcji mostów, dopóki metal nie stał się zbyt gorący w dotyku. Wówczas spadali i ginęli.

Gdy amerykańskie samoloty otwierały drzwi komory bombowej, aby wyrzucić ładunek, załogi czuły mdły zapach palonego ludzkiego ciała. Ofiar na ziemi było tak dużo, że smród przenikał samoloty i kombinizony lotnicze przez wiele dni po nalocie. Lotnicy wrócili z misji wstrząśnięci.

Matki uciekały przed pożarem z dziećmi przytroczoneymi do pleców, lecz gdy się zatrzymywały, by odpocząć, odkrywały, że ich dzieci płoną.

NIKT NIE POWIEDZIAŁ „STOP”

Tokio płonęło jeszcze przez wiele dni. Stosy stopionych zwłok były powszechnym widokiem. Dryfowały w dół rzeki, gromadziły się wokół mostów i blokowały nurt. 42 kilometry kwadratowe tętniącej niegdyś życiem stolicy zostały zrównane z ziemią. Zniszczono ponad

➤ ćwierć miliona budynków. Ponad milion ludzi został bez dachu nad głową. Zdolność Tokio do produkcji sprzętu wojennego lub jakiegokolwiek innego została zmniejszona o połowę. Morale wśród Japończyków spadło; po raz pierwszy wielu zdało sobie sprawę, że wojna jest przegrana.

Amerykańscy generałowie uznali operację za oszałamiający sukces. W związku z czym bombardowanie kolejnych japońskich miast napalmem, łącznie 67, trwało dalej, aż do 10 sierpnia 1945 roku – czyli jeszcze po zrzućeniu bomby atomowej na Hiroszimę. Pośród wojennego zamętu nie można było określić, jak wielu Japończyków zginęło – pół miliona, a może milion?

Amerykanie starannie rozważali i zaplanowali użycie broni atomowej. Dylematy, jakie się z tym wiązały, można zobaczyć np. w filmie „Oppenheimer”. Z kampanią nalotów dywanowych było inaczej. Malcolm Gladwell w książce „Mafia bombowa” (Znak, 2022) podkreśla, że nie towarzyszyły jej debaty, nie stał za nimi żaden formalny plan ani nawet precyzyjne instrukcje od przełożonych. Początkowo decydentom w Waszyngtonie, którzy dali zielone światło na ataki z powietrza ładunkami zapalającymi, chodziło raczej o uderzenie na sześć, a nie na 67 japońskich miast. Po prostu nikt nie powiedział „stop”.

Latem 1945 roku z braku lepszych celów bombardowano mniejsze miasta, w których nie było żadnych strategicznie ważnych zakładów przemysłowych. Historyk William Ralph nazywa to improwizowaną zagładą: „Jak można było w ogóle do tego dopuścić? Jak można było powierzyć decyzję mającą tak poważne konsekwencje etyczne i polityczne młodemu dowódcy polowemu? Gdzie osobista odpowiedzialność i aktywny nadzór zwierzchników?”.

Gladwell dopowiada, że zwierzchnicy dowodzącego operacją Curtisa LeMaya, tacy jak Henry Stimson, sekretarz wojny w administracji prezydenta Roosevelta, „nie mogli – lub nie chcieli – wiedzieć, co robił LeMay. Z wielkim trudem przychodziło im zrozumieć rozmiar strat”.

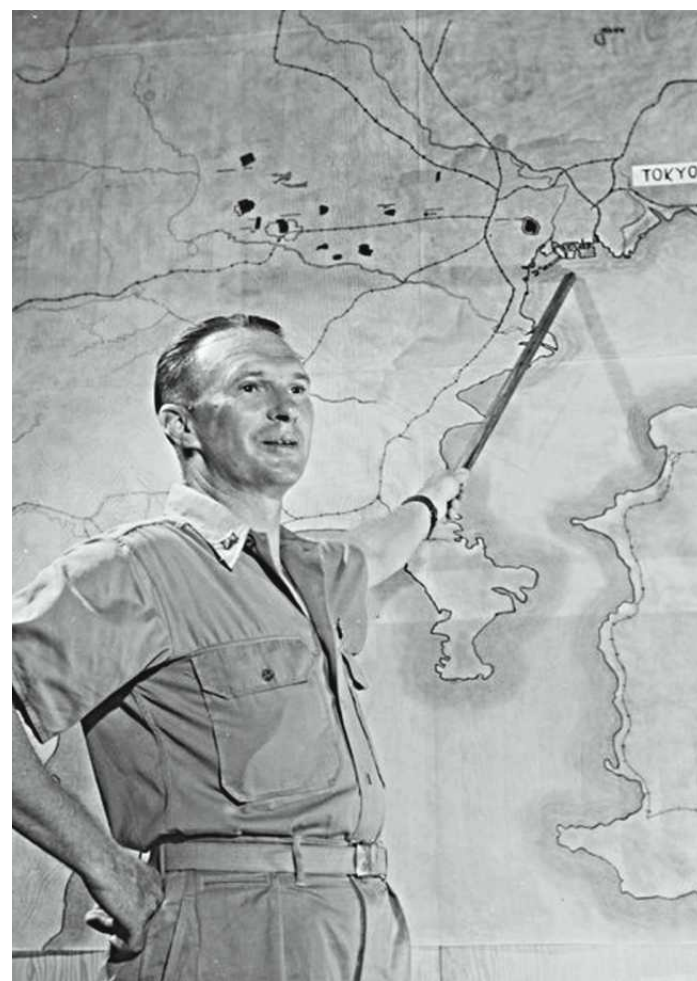
MAFIA BOMBOWA

Żeby zrozumieć, jak do tego doszło, trzeba się cofnąć do lata 1944 roku. Wówczas amerykańska piechota morska i armia przejęły trzy wyspy w łańcuchu Marianów: Saipan, Tinian i Guam. Po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny na Pacyfiku Japonia znalazła się w zasięgu lotnictwa USA. Jednocześnie siły powietrzne dostały do użytku Superfortecę B-29. Czterosilnikowy, napędzany śmigłem ciężki bombowiec wyposażony w kabinę ciśnieniową miał zdumiewający zasięg ponad 5,2 tys. km i pułap ponad 9 tys. m. Na tak dużej wysokości większość wrogich myśliwców nie mogła go osiągnąć. Koszt projektu i produkcji wynoszący 3 mld dol. (równowartość ponad 50 mld obecnie) przekraczał budżet projektu „Manhattan” (1,9 mld).

– B-29 na Saipanie są jak artyleria wycelowana w samo serce Japonii – mówił Ronald Reagan, wówczas lektor kronik wojennych. – Japończycy równie dobrze mogliby próbować zatrzymać wodospad Niagara. Dowództwo Bombowe jest gotowe do uderzenia w swój pierwszy cel.

21. Dowództwo Bombowe zostało utworzone specjalnie do obsługi floty bombowców stacjonującej na Marianach. Na czele stanął 41-letni generał Haywood Hansel, wcześniej główny planista sił powietrznych USA. Był absolwentem Szkoły Taktycznej Korpusu Powietrznego w Langley w Wirginii. Młoda, pełna zapału kadra tej uczelni uważała, że wojnę można wygrać samym lotnictwem, paraliżując gospodarkę wroga precyzyjnymi uderzeniami w kluczowe punkty infrastruktury, jak wodociągi czy fabryki zbrojeniowe. Nazywano ich mafią bombową.

Nie był to pogląd dominujący. Część alianckich dowódców uznawała za szaleństwo ryzykowanie nalotów w ciągu dnia na cele, w które właściwie nie dało się trafić. Lepsze efekty ich zdaniem przynosiło bom-



• Gen. Curtis LeMay (1906-90), który nie zawahał się w czasie nalotów na Japonię użyć napalmu i gen. Haywood S. Hansell (1903-88), który nie chciał po niego sięgnąć, za co zapłacił stanowiskiem FOT. UNIVERSAL IMAGES GROUP/BE&W; FOT. NATIONAL ARCHIVES, COLLEGE PARK, MARYLAND

Napalm spala się w temperaturze od 800 do 1200 st. C. Płonie znacznie dłużej niż benzyna, łatwiej go rozproszyć, a na dodatek przykleja się do celu. W Tokio w ciągu sześciu godzin mogło zginąć nawet 110 tysięcy Japończyków, przypuszczalnie więcej niż kiedykolwiek w tak krótkim czasie w historii

bardowanie obszarowe, inaczej dywanowe. Potem znaleziono lepszy eufemizm: „moralne bombing” – niszczenie całych miast, by doprowadzić ludność do rozpaczy i zniszczyć morale wroga.

CUDOWNY CELOWNIK

Cudownym urządzeniem mającym umożliwić naloty precyzyjne z dużej wysokości – i wygranie wojny w białych rękawiczkach – miał być celownik bombowy skonstruowany przez holenderskiego inżyniera Carla Nordena. Jego opracowanie i produkcja pochłonęła 1,5 mld dol. Był to swego rodzaju analogowy komputer – precyzyjnie wykonana maszyna składająca się z: luster, lunety, łożysk kulkowych, poziomicy i pokręteł. Bombardier, znajdujący się zazwyczaj w przeszklonym i zapewniającym dobrą

widoczność nosie samolotu, wprowadzał: wysokość i prędkość lotu, temperaturę, prędkość i kierunek wiatru, a także parametry balistyczne bomb, po czym – około minutę przed zrzutem – namierzał cel, utrzymywał go w środku siatki celowniczej i dokonywał skomplikowanych korekt.

Przeszkolenie w korzystaniu z celownika trwało pół roku. Przed każdą misją bombardier w towarzystwie uzbrojonej eskorty odbierał urządzenie z sejfu w magazynie broni. W metalowej skrzynce przenosił je do samolotu. W przypadku lądowania awaryjnego miał rozkaz natychmiast zniszczyć celownik, byle tylko nie wpadł w ręce wroga, ładunkiem wybuchowym otrzymanym na taką okoliczność.

Jak się okazało, w warunkach bojowych mechanizm ten wcale nie zachowywał się tak jak w laboratorium ani podczas testów. Początkowo produkowano go na sposób

rzemieślniczy, dbając o to, by każdy element idealnie pasował do innych i mieścił się w zadanych granicach tolerancji – a były one mikroskopijne. Ale kiedy wybuchła wojna, wojsko zamówiło dziesiątki tysięcy celowników i proces trzeba było zautomatyzować kosztem jakości. Gęstnienie oleju w niskiej temperaturze na dużej wysokości powodowało wzrost tarcia i spadek precyzji. Ponadto celownik wymagał dobrej widoczności, przy zachmurzeniu nie działał.

Chrzest bojowy celownika Nordena nastąpił 17 sierpnia 1943 roku podczas nalotu na fabrykę łożysk w Schweinfurcie. Amerykanie zrzucili dwa tysiące bomb, z czego w cel trafiło 80. Górne piętro zakładu się zawaliło, lecz co najmniej połowa najważniejszych maszyn ocalała. Według najbardziej optymistycznych szacunków nalot doprowadził do spadku produkcji łożysk – kluczowego elementu w silnikach samolotowych – w Niemczech mniej więcej o jedną trzecią przez kilka tygodni. I to wszystko kosztem 60 samolotów i 552 lotników wziętych do niewoli lub zabitych.

W tej operacji brali udział obaj dowódcy, którzy w następnym roku spotkają się na Marianach, Haywood Hansel i Curtis LeMay. – Plan był w porządku – wspominał później LeMay – ale próbowaliśmy wygrać wojnę na skróty, a coś takiego jest po prostu nierealne.

NALOTY POD WIATR

Po objęciu dowództwa na Marianach Hansel jako słaby punkt japońskiego przemysłu wojennego wytypował zakłady produkujące samoloty. Z USA wysłano bombowiec B-29 zmodyfikowany do prowadzenia rozpoznania z powietrza. Jego załoga wykonała setki zdjęć, które pokazały, że japoński przemysł lotniczy – w tym ważne zakłady Nakajima, znane dziś jako Subaru – był skoncentrowany zarówno w samym Tokio, jak i wokół stolicy.

Dowództwo Bombowe poczęło wysyłać tam B-29 wyposażone w celowniki Nordena. Podczas pierwszego nalotu uszkodzono zaledwie 1 procent zakładów Nakajima. W kolejnych nie było lepiej. Do pewnego stopnia trudności przysparzał ten sam problem, z którym zwolennicy precyzyjnych bombardowań borykali się w Europie, czyli zachmurzenie. Ale nad Pacyfikiem było jeszcze coś gorszego: wiatr dochodzący do 230 kilometrów na godzinę.

Pewnego razu samolot zwiadowczy wszedł na wyższy pułap, nagle nawigator wywołał pilota i oznajmił mu, że lecą 5 kilometrów na godzinę, ale do tyłu. A bombo-wiec wiszący w bezruchu był łatwym celem dla japońskich myśliwców oraz ognia obrony przeciwlotniczej.

Źródłem tego wiatru był prąd strumieniowy, nurt bardzo szybko okrążający kulę ziemską w górnych warstwach atmosfery. W tamtych czasach go nie znano, bo nikt wcześniej nie wznosił się na wysokości, na jakich latały B-29. Głównym narzędziem, jakim dysponowali meteorolodzy, były balony meteorologiczne.

Zimą 1944 roku i wczesną wiosną 1945 roku pasmo huraganowego wiatru znajdowało się bezpośrednio nad Japonią i uniemożliwiło amerykańskim pilotom przeprowadzenie zaplanowanych bombardowań precyzyjnych. Gdyby próbowali pokonać go w poprzek, samoloty zostałyby zepchnięte z kursu. Gdyby wlecieli w niego, musieliby walczyć o utrzymanie stabilności i stałiby się łatwym celem dla Japończyków. A gdyby podążali wraz z prądem, pędziliby zbyt szybko, by móc właściwie ustawić celowniki.

SUMIENIE GENERAŁA HANSELA

Rozwiązanie podpowiedzieli wojskowi chemicy. W 1942 roku, kilka miesięcy po ataku Japonii na Pearl Harbor, dwóch amerykańskich analityków opublikowało w miesięczniku „Harper’s Magazine” esej, w którym przekonywali, że kiedy nadejdzie czas na uderzenie odwetowe na Japonię, można to zrobić naprawdę prostym sposobem. Wywołać pożar. Ulice japońskich miast są bardzo wąskie, ogień może łatwo przeskakiwać z jednej strony na drugą, a domostwa są z łatwopalnych materiałów.

Na poligonie na pustyni w Utah zbudowano modele dwóch wiosek – japońskiej i niemieckiej. W ramach eksperymentu zbombardowano je świeżo opracowaną mieszaniną oleistych soli, którą nazwano napalmem. Napalm spala się w temperaturze od 800 do 1200 st. C. Płonie znacznie dłużej niż benzyna, łatwiej go rozproszyc, a na dodatek przykleja się do celu.

Eksperyment uznano za udany. Napalm rozwiązywał problemy pogodowe i dowództwo zaczęło zapelniać nim magazyny na Marianach. Rosła presja na Hansela, by spróbował – tylko spróbował! – zrzucić bomby zapalające na Japonię. General się opierał. Podczas prawie każdej większej misji tracił przynajmniej jeden bombowiec B-29. W końcu 6 stycznia 1945 roku na Mariany przybył generał Lauris Norstad i zakomunikował mu: „Pańska taktyka się nie sprawdza. Wznam pana”.

Hansel wrócił do kraju, gdzie miał kierować szkołą pilotów w Arizonie. Po przejściu na emeryturę wykładał teorię precyzyjnego ataku powietrznego i promował postęp techniczny w zakresie precyzyjnej broni kierowanej. Jego historyk i biograf, dr Charles Griffith doszedł do wniosku, że Hansel poświęcił dowództwo nad siłami B-29 i późniejszą karierę z powodów zasadniczych, kierując się ideą, że precyzyjne bombardowanie jest nie tylko bardziej moralne, ale i skuteczniejsze jako strategia od bombardowania obszarowego. Jego dymisja, jak twierdzi Griffith, była przełomowym wydarzeniem w doktrynie amerykańskich sił powietrznych, które wówczas przeszły na strategię bombardowania ludności cywilnej, czego ostatecznym wyrazem była hekatomba w Hiroszimie i Nagasaki.

GENERAŁ LEMAY STAWIA NA NAPALM

– Przeczytałem wiele wywiadów z Hanselem – powiedział cytowany w „Mafii bombowej” historyk Stephen McFarland. – Przeczytałem sporo jego listów. Był naprawdę życzliwym i ciepłym człowiekiem. I rzeczywiście pozo-

stał wierny swoim przekonaniom, ale nie zaliczał się do ludzi gotowych zgładzić setki tysięcy innych. Po prostu nie był do tego zdolny. Sumienie mu na to nie pozwalało.

Dowodzenie objął 38-letni wówczas generał Curtis LeMay, jeden z najsłynniejszych lotników swojego pokolenia. Był całkowitym przeciwieństwem Hansela – pragmatykiem, nie idealistą. Pierwsze, co zrobił, to postanowił wypróbować strategię swojego poprzednika, aby być pewnym, że przyczyną niepowodzeń nie był wyłącznie Hansel. Zorganizował trzy precyzyjne naloty na zakłady lotnicze w Nakajimie: w styczniu, w lutym i na początku marca. Pomimo zaangażowania setek B-29 fabryka wciąż stała.

LeMay postanowił, że odtąd B-29 będą latały poniżej prądu strumieniowego i poniżej chmur. Rozkazał pilotom zejść na pułap półtora-trzech kilometrów – tak nisko jeszcze nikt nie dokonywał nalołów Superfortecą. Za dnia byłoby to samobójstwem. Decyzja o przejściu na naloty nocne oznaczała, że nie da się już prowadzić bombardowań precyzyjnych. Trzeba użyć napalmu.

Tym razem LeMay na planie nalotu, zamiast podawać dokładny cel, po prostu napisał: „Tokio”. Pilotom do obrony pozostawił tylko strzelca ogonowego. Wszystkie inne karabiny i działka kazał wymontować, żeby załadować jak najwięcej napalmu.

Większość pilotów uważała, że to misja samobójcza. Niektórzy zasiedli do pisania listów pożegnalnych do rodzin. A jednak straty Amerykanów podczas nalotu na Tokio z 9 na 10 marca były stosunkowo niewielkie. Czternaście B-29 i około 90 lotników nigdy nie powróciło do bazy na Marianach. Za to w Tokio w ciągu sześciu godzin mogło zginąć nawet 110 tysięcy Japończyków – przypuszczalnie więcej niż kiedykolwiek w tak krótkim czasie w historii ludzkości.

Równocześnie bombardowania obszarowe odbywały się w Europie. W najsławniejszym, na Drezno, dokonanym w nocy z 13 na 14 lutego 1945 roku przez lotnictwo brytyjskie i amerykańskie, zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

ORDER OD OFIAR

Po zniszczeniu Hiroszimy i Nagasaki bronią jądrową cesarz Hirohito w końcu ogłosił kapitulację. Curtis LeMay powtórzał, że ataki nuklearne były niepotrzebne, bo główna część zadania została wykonana wcześniej przez jego ludzi.

Malcolm Gladwell dodaje ciekawą puentę tej historii. Przytacza wspomnienie historyka Conrada Crane’a, który wygłosił w Tokio wykład na temat użycia bomb zapalających dla japońskich słuchaczy. Pod koniec jeden ze starszych historyków wstał i podziękował Amerykanom za napalm i bomby atomowe. Wyjaśnił, że gdyby nie to, Japończycy by się nie poddali. A gdyby się nie poddali, czekałaby ich inwazja Sowie- tów, po nich Amerykanów, a wówczas jego kraj zostałby podzielony na części tak jak Niemcy i Półwysep Koreański.

Crane dodał: „Kolejna rzecz, która by się wydarzyła, to śmierć głodowa milionów Japończyków w zimie. Kapitulacja w sierpniu daje generałowi Douglasowi MacArthurowi czas na wkroczenie z siłami okupacyjnymi i nakarmienie Japonii [...]. To jeden z największych sukcesów MacArthura: dostarczenie gigantycznych ilości żywności przed zimą 1945 roku, co pomogło uniknąć klęski głodu”.

W 1964 roku rząd japoński udekorował Curtisa LeMaya najwyższym odznaczeniem, jakie kraj ten mógł przyznać obcokrajowcowi – Orderem Zasługi Pierwszej Klasy Wielkiej Wstęgi Wschodzącego Słońca – jako wyraz uznania za pomoc w odbudowie japońskich sił powietrznych. – Co było, to było – stwierdził wówczas premier Japonii, odrzucając sprzeciw części posłów do parlamentu. – Powinno być czymś naturalnym, że nagradzamy generała za jego wielki wkład w nasze jednostki samoobrony powietrznej.

Japonia nie odznaczyła Haywooda Hansela za jego starania o uniknięcie masowych ofiar cywilnych. ●

Historia krzepi

Nadzorcy prezydenta

Piłsudski poprzez swoich ludzi umieszczonych w Kancelarii Prezydenta zredukował głowę państwa do roli marionetki.

Natecz



W odrodzonej w 1918 roku Polsce kancelaria głowy państwa funkcjonowała zgodnie z regułami demokracji. Pracowali tam apolityczni fachowcy kierujący się interesami państwa, niezaangażowani w partyjne gry. Przestrzegali tej reguły naczelnik Józef Piłsudski (1918-22) i prezydenci Gabriel Narutowicz (1922) oraz Stanisław Wojciechowski (1922-26).

Zmieniło się to po wojskowym puczu z maja 1926, w wyniku którego rządu przejął Piłsudski. Zbrojne obalenie legalnych władz oznaczało porzucenie demokracji i parlamentaryzmu oraz zastąpienie ich przez autorytaryzm, czyli osobiste rządy marszałka legitymizowane nie wolą obywateli i wolnymi wyborami, tylko historycznymi zasługami i wiarą w misję podzielaną przez oddanych bezkrytycznie zwolenników, zwłaszcza byłych legionistów.

Czytelnym znakiem krzepnącego autorytaryzmu była zmiana sposobu urzędowania przez prezydenta. Odszedł z tego stanowiska Wojciechowski, protestując w ten sposób przeciwko puczowi. Posłowie i senatorowie popierający zamach albo zastraszeni posłusznie wybrali na prezydenta Ignacego Mościckiego. Wskazał go Piłsudski, ale reklamowany był jako kandydat niezależny i obywatelski.

Ten wybitny uczony, profesor Politechniki Lwowskiej i organizator przemysłu chemicznego, nie znalazł się na polityce. Piłsudski zetknął się z nim 30 lat wcześniej, w Polskiej Partii Socjalistycznej. Pamiętał go jako osobę lojalną i na tę cechę stawiał. Oczekiwał od Mościckiego, że będzie godnie prezentował się w czasie oficjalnych uroczystości i posłusznie realizował decyzje protektora.

Pilnować tego mieli pretorianie Piłsudskiego, którymi obsadził prezydencką kancelarię. Jej szefem został Stanisław Car, pełniący to stanowisko u boku Piłsudskiego, kiedy był on naczelnikiem państwa. Jeszcze bardziej znacząca była nominacja zastępcy szefa kancelarii. Objął tę funkcję najbardziej zaufany współpracownik marszałka, czyli Kazimierz Świtalski. Tak naprawdę to on rozdawał tam karty, bo w systemie pomajowym, jak w każdym autorytaryzmie, bardziej liczyło

się zaufanie dyktatora niż ranga zajmowanego stanowiska.

Rękami Świtalskiego i Cara Piłsudski szybko uczynił z Mościckiego bezwolne narzędzie firmujące naruszanie konstytucji i praworządności. Codziennością stały się tzw. precedensy konstytucyjne, czyli tendencyjne interpretacje ustawy zasadniczej czyniące z demokracji i parlamentaryzmu ustrojową wydmuszkę.

Do jednego z najgłośniejszych doszło we wrześniu 1926 roku, kiedy demokratycznej opozycji udało się przegłosować w Sejmie wotum nieufności dla dwóch ministrów. Na polecenie Piłsudskiego premier Kazimierz Bartel podał cały rząd do dymisji. Prezydent, jak tego wymagała konstytucja, przyjął ją, ale trzy dni później mianował, oczywiście na polecenie protektora, rząd w starym składzie, włącznie z dwoma odwołanymi ministrami. Konstytucja tego wyraźnie nie wykluczała, bo było to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

Mistrzem żonglowania przepisami stał się Stanisław Car, prawnik wcześniej ceniony za fachowość i dystans do politycznych kręta-ctw. Zgorszeni tą metamorfozą satyrycy skwitowali te interpretacyjne ekscesy żartem z nazwiska polityka.

Nadali Carowi tytuł Jego Interpretatorskoje Wieliczestwo (Jego Interpretacyjna Mość). Było to nawiązanie do dworskiej etykiety nakazującej zwracać się do cara per Jego Imperatorskoje Wieliczestwo (Jego Cesarska Mość).

Już po kilku miesiącach funkcjonowania nowego prezydenta i jego nadzorców stało się jasne, że Mościcki jest tylko marionetką służącą do demontowania demokracji i budowy ustroju autorytarnego. Znosił to bez szemrania, tłumacząc najbliższemu otoczeniu, że jego misją jest wspieranie męża opatrznościowego, na barkach którego spoczywa odpowiedzialność za Polskę. Nie sposób rozstrzygnąć, ile w tym było autentycznego przekonania, a ile koniunkturalizmu pozwalającego korzystać z luksusów.

W tej sytuacji Piłsudski mógł obniżyć rangę kancelaryjnych nadzorców. Świtalski i Car otrzymali nowe zadania, które z czasem wyniosły ich do najwyższych stanowisk w państwie.

O tym, czy po stu latach historia się powtórzy, przekonamy się w najbliższych miesiącach. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

TESTAMENT POLSKI WALCZĄCEJ

Przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego do końca mieli nadzieję, że kiedyś w Polsce znajdzie się miejsce dla ich ideałów. Spośród postulatów politycznych i społecznych zawartych w ogłoszonej przez nich 80 lat temu odezwie wiele rzeczywiście się spełniło.

Sebastian Pawlina

Niektórzy zapamiętali, że miał wodniste oczy. Inni nie potrafili pozbyć się z pamięci jego uśmiechu. Nie znikał, nawet gdy sowiecki sędzia Wasilij Ulrich wydawał wyroki śmierci, a ogłosił ich setki. To on posłał na śmierć marszałka Michaiła Tuchaczewskiego. Był gwiazdą procesów politycznych. Nic więc dziwnego, że to jemu Józef Stalin powierzył przeprowadzenie rozprawy przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

Tym razem oskarżeni mieli przeżyć. Moskwa nie chciała męczenników. Dlatego, jak wspominał jeden z nich, Adam Bień, wybrano metodę obrzucania błotem. Zarzucono im m.in. mordowanie sowieckich i polskich żołnierzy stojących po stronie Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej. Kompromitując ich w oczach świata, chciano osłabić pozycję rządu londyńskiego. Było to niezbędne, żeby polscy komuniści zyskali mandat społeczny do rządzenia.

Ale proces szesnastu był jedynie elementem większego spektaklu – wcale nie najważniejszym. Jak 27 czerwca 1945 roku zapisał w swoich notatkach Zygmunt Klukowski, lekarz z Zamojszczyzny, „uwaga niemal całego społeczeństwa zwrócona była na Moskwę i odbywającą się tam konferencję przedstawicieli polskich stronnictw demokratycznych z kraju i z emigracji”. Gazety donosiły, że niebawem dojdzie do ogłoszenia nowego rządu, w którym znajdzie się miejsce dla reprezentantów emigracji. „Czynnik podziemne są zdezorientowane”, dodawał.

Jego obserwacja była trafna. Ci z podziemnych polityków, którzy zostali na wolności, nie wiedzieli, jak się należy zachować: kontynuować pracę czy zamknąć ten rozdział na zawsze?

KRAJOBRAZ PO BITWIE

„Porwanie szesnastu najwybitniejszych działaczy Podziemia sparaliżowało cały jego ośrodek decyzyjny” – pisał we wspomnieniach Zygmunt Zaremba, czołowy przedstawiciel konspiracyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej. On i jego koledzy ze wszystkich partii uznających rząd londyński od końca marca byli w szoku. Przez poprzednie pięć lat przeżyli różne trudne momenty. Ich współpracownicy byli aresztowani w wyniku zdrad, łapanek, ginęli w ulicznych egzekucjach, więzieniach, obozach, znikali bez śladu. Najpotężniejszy cios przeżyli, gdy w lutym 1943 roku gestapo aresztowało delegata rządu RP na kraj Jana Piekalkiewicza, który w czerwcu został zamordowany w trakcie przesłuchania w alei Szucha.

Ale wszystkie te wydarzenia przychodziły pojedynczo, pozwalały zachować sprawność działania. Również dzięki temu, że było komu uzupełniać braki kadrowe.

Piekalkiewicza zastąpił Jan Stanisław Janowski, który udanie pełnił swoją funkcję przez blisko dwa lata. Teraz, na początku wiosny 1945 roku, na struktury polityczne Polskiego Państwa Podziemnego spadło uderzenie, po którym nie miały prawa się podnieść. „Rola przywódców Podziemia i jego sieci terenowej, zrywanej co chwila aresztami lub rozkładającej się pod wpływem wyraźnego rozbitcia solidarności politycznej i beznadziejności położenia, sprowadzała się już właściwie do obserwowania wypadków i wypowiedzania, w miarę środków, polskiego punktu widzenia na sprawę”, komentował Zaremba.

Pomimo tego nie zamierzali się poddawać i pracowali dalej. Zaczęli od uporządkowania działalności Rady Jedności Narodowej i Delegatury. Już 7 kwietnia doszło do spotkania pozostałych na wolności członków RJN. Zapadły wówczas dwie ważne decyzje: Rada ma działać dalej, wobec czego uzupełniono ją o nowych członków, a obowiązki delegata powinien przejąć Stefan Korboński, wówczas dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury. Ten następnego dnia wysłał do Londynu depeszę, w której poinformował premiera Tomasza Arciszewskiego o propozycji Rady. Trzy dni później otrzymał akceptację.

Potem w Warszawie odbyły się dwa posiedzenia RJN oraz Delegatury. Korboński po latach wspominał: „Do wyznaczonego miejsca nie mogłem trafić. Naokoło, jak okiem sięgnąć, ruiny i zwały cegieł, a wśród nich wydeptane ścieżki. Znalazłem wreszcie właściwą i dostałem się do w pół wypalonego domu. Delegaci schodzili się jeden po drugim. Pierwszy raz od aresztowania w Pruszkowie spotkaliśmy się wszyscy w takiej liczbie. Było nas około dziesięciu, większość członkowie RJN. Na twarzach wypisane ostatnie przejścia. Na atmosferze narad ciążył od początku do końca zbrodnia pruszkowska. Wśród zebranych nastroj powagi i ponurej determinacji”.

W trakcie rozmów pojawił się pomysł, aby jednak rozwiązać RJN i Delegaturę. Wyznaczono nawet datę – 1 maja. Uznano jednak, że taki krok zaszkodziłby sprawie polskiej. Obawiano się, że alianci od razu uznają, że skoro polski rząd w Londynie nie ma swojego krajowego przedstawicielstwa, to nie ma przeszkód, aby uznać władzę komunistów. Wniosek odrzucono. Za to przyjęto, że aresztowani w Pruszkowie zachowają swoje stanowiska, a ich następcy będą jedynie pełniącymi obowiązki. „Słusznie mniemaliśmy, że będzie to bardziej krepowało władzę sowieckie, podczas gdy zwolnienie ich z piastowanych funkcji osłabiłoby pozycję aresztowanych i zwięziło podstawy interwencji alianckiej, co do której ludziliśmy się, że doprowadzi do zwolnienia aresztowanych”, notował Korboński.

Uczestnicy tych spotkań stracili zdolność właściwego oceniania rzeczywistości,

w czym niewiele było ich winy, bowiem od dawna wytykali Londynowi, że nie przekazuje im wszystkich informacji. W efekcie oczekiwali, że Stalin wypuści ludzi, których jego służby zwały w pułapkę, a jednocześnie ukrywali się przed ścigającymi ich agentami bezpieki. Korboński mieszkający pod Warszawą niemal nie wychodził z domu, emisariusza z Węgier z braku lokali oraz z obawy przed aresztowaniem przyjął zaś w lesie.

WSZYSCY WIDZIELI, ŻE TO AGONIA

Symbole są ważne w polityce. Dlatego nie ma przypadku w tym, że 3 maja ukonstytuowało się nowe kierownictwo RJN, na którego czele stanął Jerzy Braun, poeta i filozof, związany ze Stronnictwem Pracy. Pod jego i Korbońskiego kierownictwem podjęto zabiegi o zainteresowanie świata sytuacją w Polsce. Gdy zmarł prezydent USA Franklin Delano Roosevelt, jego następca Harry Truman otrzymał list z kondolencjami, w którym przedstawiciele podziemia podkreślili, że Polacy pokładają w nim duże nadzieje. A 25 kwietnia RJN wysłała do uczestników konferencji założycielskiej ONZ w San Francisco list, który był krzykiem rozpacz. Zwracano w nim uwagę na fakt, że Polska od sześciu lat toczyła wojnę, a Polacy „krwią swych synów i niezłomną wiernością najszlachetniejszym ideałom jak najpełniej utwierdzili swe prawa do niezależności i suwerenności”.

Te apele nie miały już znaczenia. Karty między mocarstwami zostały rozdane, a resztki Polskiego Państwa Podziemnego się rozpadały. W maju Stronnictwo Ludowe, uznając, że dalsza działalność nie ma sensu, wycofało się z RJN. Wpływ na to miała postawa Stanisława Mikołajczyka, który nie ukrywał, że chce wejść do nowego rządu w kraju. W tej sytuacji jego partia musiała zacząć działać legalnie. Próbując ratować sytuację, Braun wystosował 3 czerwca do Mikołajczyka apel, w którym prosił, aby SL wróciło na swoje miejsce, usuwając tym samym „wszystkie przeszkody, które (...) ułatwiają rozbijanie tak niezbędnej dzisiaj jednolitej opinii polskiej”.

Podziemie dogorywało. Widzieli to już nawet ci, którzy ostatkiem sił próbowali je reanimować. Wiedzieli jednak, że nie mogą pozwolić mu odejść bez ostatniego słowa. Do podziemnych polityków miały docierać pytania o to, jak należy się zachowywać wobec nowej władzy, czy z nią współpracować, czy przyjmować pracę w urzędach, szkołach, fabrykach. Można powątpiewać, jak dalece powszechne były te wątpliwości. Już podczas wojny tych, którzy chcieli tylko, albo aż przeżyć, była zdecydowana większość. Gdy koszmar dobiegł końca, szukali sposobu na to, żeby odbudować swoje życie. Znaleźć mieszkanie, pracę,



odszukać swoich bliskich. Życie nie potrzebowało już konspiracji.

WYJDŹCIE Z PODZIEMIA! MUSICIE ŻYĆ!

Niewątpliwie jednak jakaś część społeczeństwa, szczególnie ta mająca podziemną przeszłość, szukała wskazówek, jak postępować. Odpowiedzią na te wątpliwości miała zostać odezwa „Do Narodu Polskiego” podpisana i ogłoszona przez Korbońskiego 17 maja. Przekonywał w niej, żeby ludzie wytrwali „w tej opornej postawie, jaką zajęły wszystkie warstwy naszego narodu”. Zachęcał, żeby uznając jedynie rząd w Londynie, nie wahać się przed włączeniem w odbudowę kraju „na wszystkich odcinkach odbudowy, w przemyśle, handlu, rolnictwie, komunikacji, oświacie itp. – słowem: wszędzie, gdzie możecie pracować bez naginania swych poglądów i bez współdziałania z upadłą polityką Komitetu Lubelskiego”.

Stanowczo odradzał zatrudnianie się w administracji politycznej, propagandzie i bezpieczeństwie. Przekonywał też, szczególnie młodzież, do wyjścia z konspiracji i zaniechanie walki zbrojnej.

„Czeka Was zguba, a Waszym głównym przeznaczeniem jest żyć i pracować dla Ojczyzny, a nie ginąć bez żadnej dla Niej korzyści”.

Dziesięć dni później o tym samym w swojej odezwie pisał delegat sił zbrojnych na kraj płk Jan Rzepecki. Podkreślał, że sprawa polska będzie testem dla zwycięzców. W jego wizji to losy Polski miały zdecydować o tym, jaki będzie przyszły świat.

Jak twierdzi Jonathan Lear, psycholog z Uniwersytetu Chicagowskiego, „w sytuacji zapaści kulturowej (...) najlepsi przedstawiciele tej kultury są najmniej zdolni do odkrycia innych sposobów na życie. „Czy zasada mówiąca, że ten, kto dorasta w obrębie własnej kultury, jest mniej zdolny do sprostania wyzwaniom radykalnie nowej przyszłości, stanowi rys naszej konstrukcji psychicznej?”, pyta Lear.

Być może więc Korboński i jego współpracownicy po ponad pięciu latach tworzenia w podziemiu idei nowej, lepszej Polski nie potrafili tak po prostu tego odrzucić. Dla nich



► Okupacyjne
zdjęcie Stefana
Korbońskiego
(1901-89),
ostatniego
Delegata Rządu
RP na Kraj

FOT. IPN

◄ Wystawa
poświęcona
Korbońskiemu
i jego żonie,
Zofii zorganiz-
owana w 2012
roku w Świątyni
Opatrności Bożej
w Warszawie

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA
WYBORCZA.PL



chicznie i fizycznie, miliony wywiezionych w głąb Rosji i rozproszonych po świecie, bezprzykładne spustoszenie gospodarcze”.

Ciąg dalszy podzielony jest na cztery rozdziały.

Pierwszy podsumowywał wojenne cele Polskiego Państwa Podziemnego, w tym „urzeczywistnienie w Polsce po wojnie pełnej demokracji społecznej i politycznej w miejsce zbankrutowanego systemu sanacyjnego”. Ten postulat towarzyszył konspiracji związanej z rządem emigracyjnym od początku. Wynikała z niego zarówno walka z przeciwnikami politycznymi, ale też wizja Polski innej niż przed wojną. Momentami idąca pod rękę z wizją komunistów, ale zgodna z nastrojami społecznymi. RJN odwoływała się do własnej deklaracji z 15 marca 1944 roku, w której postulowała m.in. reformę rolną i poprawę „bytu mas pracujących i udział ich w rządach”.

Drugi poświęcono relacjom z Sowietami. Widać rewolucję, która zaszła w głowach twórców odezwy od czasu, gdy Korboński pisał swoją. Już nie pisali, że chcą współpracy, wytykali Moskwie kłamstwa i terror, którymi posługiwała się, nawet gdy oni szukali dróg porozumienia. Oskarżali, że „w swej koncepcji podziału świata na strefy wpływów Rosja sowiecka postanowiła wtłoczyć wszystkie narody środkowo-europejskie w swój system polityczny”. Trudno tej wizji odmówić i dzisiaj trafności.

W rozdziale trzecim RJN wyjaśniała swoje rozwiązanie koniecznością podjęcia rozmów z rządem na oficjalnej płaszczyźnie. I zapowiedziała starania o realizację postulatów Polskiego Państwa Podziemnego do momentu, kiedy Polska odzyska pełną suwerenność. Było to zgodne z apelem Korbońskiego, aby nie walczyć z komunistami, tylko odbudowywać kraj. Wychoząc z ukrycia, Rada chciała dać przykład.

Rozdział czwarty zawiera lekcję demokracji. „Demokracja to sprawiedliwość oparta na zbiorowym poczuciu słuszności przyznającym każdej jednostce, warstwie pracującej i narodowi prawo do warunków życia zapewniających im nie tylko materialną egzystencję, ale i wszechstronny rozwój ich możliwości twórczych” – pisali autorzy. A w wymiarze międzynarodowym dodawali, że „Demokracja to system zbiorowego bezpieczeństwa, w którym wszystkie państwa wyrzekają się użycia siły i zobowiązują się podporządkować decyzjom międzynarodowych organów, wypływających z obiektywnych norm prawa międzynarodowego”.

Wszystkie te elementy Rada zebrała jako „Testament Polski Walczącej” w 12 punktach. Dzisiaj nazywa się je odezwą programową PPP, ale to było coś więcej – świadectwo istnienia w czasie wojny ludzi, którzy marzyli o Polsce wolnej, demokratycznej, sprawiedliwej. A jak napisał Zygmunt Zaremba, „od obrony tej idei rozpoczęło swe życie polskie Podziemie”.

Cztery dni później USA i Wielka Brytania uznały Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. A w styczniu 1947 roku komuniści sfalszowali wybory do Sejmu. Na realizację programu Polskiego Państwa Podziemnego trzeba było czekać pół wieku. ●

to nie była jedynie wizja polityczna, ale sens życia w warunkach przerażającej okupacji.

Karboński dużo miejsca poświęcił relacjom polsko-sowieckim. Nawoływał do uwolnienia aresztowanych przywódców Polski Podziemnej i utworzenia rządu z ich udziałem. Pisał, że Polska tak daleko poszła na ustępstwa względem Rosji, „że dalszym ustępstwem byłoby chyba narodowe samobójstwo”. Zaznaczał, że intencje nawiązania przyjaznych stosunków z Moskwą są szczere.

Nie szczędził krytyki polskim komunistom. „Doczekaliśmy się również tej hańby, że lubelskie władze bezpieczeństwa starają się przelicytować gestapo, że słowo Rembertów budzi nie mniejszą groźbę niż Oświęcim”. Żądał wolności słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń, zniesienia zakazu słuchania radia, powrotu do kraju wszystkich, których wojna rozrzuciła po świecie, uczciwych wyborów i demokratyzacji w armii. Wspomniał również o reformie rolnej i o społecznieniu środków produkcji. Wszystko to miało zostać „poprowadzone w kierunku trwałej przebudowy naszego ustroju, a nie dla celów agitacyjno-politycznych”.

PRZED NAMI NIEZNANE

Przez kolejne tygodnie RJN i Korboński protestowali przeciwko aresztowaniu szesnastu i zastanawiali się, jaką postawę przyjąć wobec rządu lubelskiego. Wszystko zmieniło się w drugiej połowie czerwca po moskiewskich rozmowach komunistów z politykami emigracyjnymi, na czele z Mikołajczykiem. Rozpoczęły się 17 czerwca, dzień przed startem procesu przywódców szesnastu, a zakończyły w dniu ogłoszenia wyroków. Odczytując je, Wasilij Ulrich musiał uśmiechać się szeroko.

Wszyscy w podziemiu zrozumieli, że ich misja dobiegła końca. Wraz z powstaniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej wszelkie plany straciły znaczenie. „Podziemie stało się anachronizmem, przebytym już etapem w dziejach narodu. Etapem wielkiego znaczenia i pełnym tytułów do chluby, ale już definitywnie zamkniętym”, pisał Zaremba. Teraz, jeśli chcieli mieć wpływ na cokolwiek, musieli zalegalizować swoją działalność. Każda z partii szukała sposobów na to, żeby podczepić się pod już istniejące ofi-

cialne struktury i organizacje. Ale nie można było tak po prostu odejść. Polskie Państwo Podziemne zasługiwało na pożegnanie.

W niedzielę 1 lipca 1945 roku w Krakowie przy ul. Skarbowej 2 spotkali się członkowie Komisji Głównej RJN – przedstawiciele wszystkich partii poza SL. Nie było również Korbońskiego, który wraz z żoną został aresztowany przez UB w Krakowie nocą z 28 na 29 czerwca.

Zaremba wspominał, że na sali panował dziwny nastrój: „Przychodzący na zebranie z zachowaniem wszystkich rygorów konspiracji nie kwapili się do dyskusji czy nawet żywszej wymiany zdań. Przyciszeni, skupieni w sobie, oczekiwali na przyjęcie ostatniego uczestnika posiedzenia, by rozpocząć obrady. Nie był to jednak nastrój żalobny czy pogrzebowy. Owiewała nas me-

lancholia pożegnania. Mielismy przecież zamknąć tyle wspólnych przeżyć, uniesień i rozczarowań. Przed nami zaś stało NIEZNANE, piętrzące się tysiącem groźnych niebezpieczeństw, pełne niepewności”.

Przygotowali ostatnią odezwę do narodu. W dużej mierze była ona podobna do tej sprzed półtora miesiąca napisanej przez Korbońskiego.

POŻEGNANIE Z KONSPIRACJĄ

Zaczynała się od przypomnienia ceny, jaką Polska zapłaciła w czasie wojny: „Doszczętne zniszczenie stolicy, pięć milionów pomordowanych w obozach, kilka milionów »żywych trupów« zrujnowanych psy-

Testament Polski Walczącej

1. Opuszczenie terytorium Polski przez wojska sowieckie oraz przez rosyjską policję polityczną.

2. Zaprzestanie prześladowań politycznych, którego dowodem będzie:

a) zwolnienie skazanych i uwięzionych w procesie moskiewskim,
b) amnestia dla więźniów politycznych oraz dla wszystkich żołnierzy AK i dla tzw. oddziałów leśnych,
c) powrót Polaków wywiezionych w głąb Rosji i likwidacja obozów koncentracyjnych przypominających smutnej pamięci metody totalizmu niemieckiego,
d) zniesienie systemu politycznego znajdującego wyraz w istnieniu tzw. Ministerstwa Bezpieczeństwa.

3. Zjednoczenie i uniezależnienie Armii Polskiej przez:

a) spolszczenie korpusu oficerskiego w armii gen. Rola-Żymierskiego,
b) honorowy powrót z bronią wojsk polskich z zagranicy,
c) połączenie w jedną całość i na równych prawach armii z zagranicy oraz b. Armii Krajowej z armią gen. Żymierskiego.

4. Zaprzestanie dewastacji gospodarczej kraju przez władze okupacyjne.

5. Dopuszczenie wszystkich polskich stronnictw demokratycznych do udziału w wyborach pięcioprzymiotnikowych.

6. Zapewnienie niezależności polskiej polityki zagranicznej.

7. Stworzenie pełnego samorządu terytorialnego, społeczno- gospodarczego i kulturalno-oświatowego.

8. Uspokojenie własności wielkokapitalistycznej i zorga-

nizowanie sprawiedliwego podziału dochodu społecznego.

9. Zapewnienie masom pracujących współkierownictwa i kontroli nad całą gospodarką narodową oraz warunków materialnych zabezpieczających byt rodzinie i osobisty rozwój kulturalny.

10. Swoboda walki dla klasy robotniczej o jej prawa w ramach nieskrępowanego ruchu zawodowego.

11. Sprawiedliwe przeprowadzenie reformy rolnej i kontrola narodu nad akcją osiedleńczą na odzyskanych Ziemiach Zachodnich i w Prusach Wschodnich.

12. Oparcie powszechnego, demokratycznego nauczania i wychowania na zasadach moralnych i duchowych dorobku cywilizacji zachodniej i naszego kraju.



Świąt nietypowych narobiło się już tyle, że nie ma chyba człowieka, któremu starczyłoby czasu i zapału na ich celebrację. Są wśród nich święta naprawdę absurdalne, ale sporo też takich, którym nietypowości raczej nie można przypisać.

Otóż 29 czerwca w Kościele Katolickim to dzień św. Apostołów Piotra i Pawła. A św. Piotr, zanim został uczniem Jezusa, był rybakiem w Galilei. I stąd też uważa się go za patrona rybaków.

Dlatego też 29 czerwca obchodzony jest w całej Polsce Dzień Rybaka. Znaczy, czy w całej... wprawdzie festiwal muzyki żeglarskiej i morskiej organizowany jest w naszym kraju w nieco oddalonym od morza miejscu, bo w Krakowie, ale jednak Dzień Rybaka świętowany jest głównie na Wybrzeżu.

Skoro już wywołaliśmy temat festiwalu krakowskiego – pierwsza edycja miała miejsce w 1981 roku! – to na myśl przychodzi jego sceniczna ilustracja z kapitalnego „Big Zbig Show” w reżyserii Magdy Umer. Spektakl jest parodią polskich festiwali, a na tym krakowskim występuje grupa Szkwał z Kątów Rybackich, prezentując piosenkę „Cztery Piwka” (ku rozpaczy Krzysztofa Materny, odgrywającego wraz z Wojciechem Mannem rolę konferansjerów, bowiem Materna zapowiadał ich utwór „Oko pirata”).

I teraz szybko z Krakowa przenosimy się właśnie do Kątów Rybackich, które są centrum celebry Dnia Rybaka.

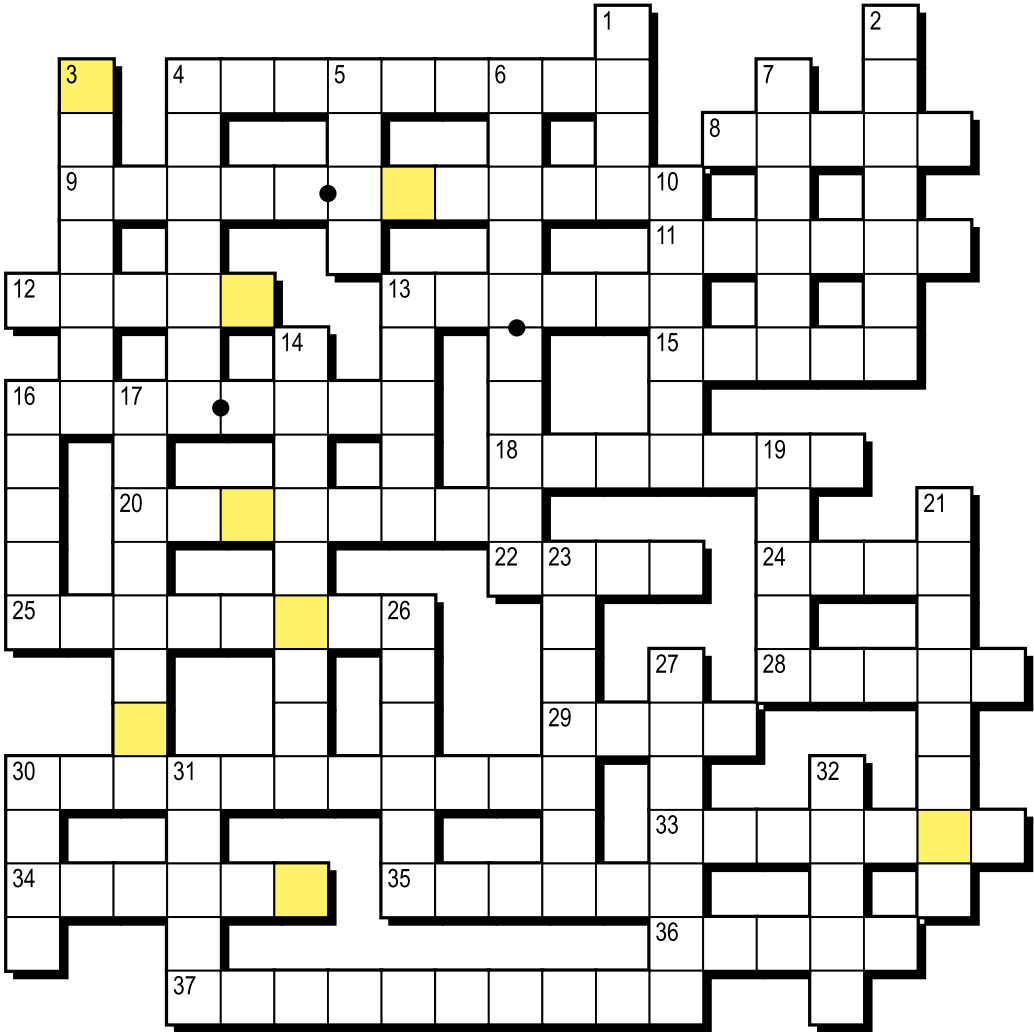
Obchody potrwać dwa dni, zacznie się już w sobotę, mniej formalnie, bo koncertami, pokazami, zaś w sobotę przemarsz orkiestry i święcenie łodzi.

Zresztą, 29 czerwca i generalnie ten weekend to będzie czas ludzi morza. Tradycyjnie w ostatnią niedzielę czerwca świętuje się u nas Dni Morza. Początki tegoż to 1923 rok (wśród inicjatorów był m.in. Stefan Żeromski), a pierwsze oficjalne, pod egidą państwa zorganizowano w 1932 roku. Szło o popularyzację Marynarki, rodzimego przemysłu stoczniowego oraz generalnie tematyki morskiej, a w szerszym kontekście jako dzień wszystkich ludzi morza.

Dodajmy jeszcze do tego, że 29 czerwca przypada Dzień Ratownika Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, a wodny krajobraz dopełni nam się w pełni.

Ale jako że nasz „weekendówkowy” rejs rozpoczęliśmy od Dnia Rybaka, przeto dzisiejszą krzyżówkę poświęcimy rybom. Bo one bohaterami „Weekendówki” jeszcze nie były. Powodzenia!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 159 z 21.06:

- Poziomo:**
- 4) bas 6) ukulele 8) harfa
 - 10) tuba 11) waltornia 12) dzwony
 - 13) saksofon 14) kwartet 15) obój
 - 16) rożki 18) organy 19) akustyka
 - 22) karaoke 23) marimba
 - 26) okaryna 28) solo 29) lutnia
 - 31) piła 32) szalamaja 35) talerze
 - 36) klawisz 37) akordeon

- Pionowo:**
- 1) fletnia Pana 2) klarnet
 - 3) gitara 4) barwa 5) sygnałówka
 - 7) klawikord 8) harmonia 9) radio
 - 13) stroik 15) oktobaś 17) musical
 - 20) amorka 21) czelistka
 - 22) kontrabas 24) Mozart 25) lira
 - 27) kołatka 30) jazz 31) puzon
 - 33) Hair 34) zełe

HASŁO:
SKRZYPECZKI

KRZYŻÓWKA ICHTIOLOGICZNA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
- 4) anagramista poleci tę rybę szczurkom
 - 8) ryba z rodziny kłasczowatych (jak tkanina na pieluszkę)
 - 9) jak sama nazwa wskazuje, nie gardzi człowiekiem
 - 11) ryby z ogierami w nazwie
 - 12) dlaczego ta ryba nie weźmie się do pracy?!
 - 13) żaglowiec w akwarium
 - 15) drobne ryby akwariowe
 - 16) dysponuje innym „narzędziem” niż ryba młot
 - 18) ryba z rodziny karpiowatych (łac. Barbus)
 - 20) ryba jak długi skok

- 22) ryba jak wielka azjatycka rzeka
- 24) inna nazwa płaszczy
- 25) czerwono ubarwiona ryba morska (stąd nazwa)
- 28) może zostać rolmopsem albo moskalikiem
- 29) ... wędrownia, ryba spokrewniona z łososiem
- 30) ryba o niezbyt urodziwej, wręcz paskudnej nazwie
- 33) ryba z rodziny karpiowatych, zwana także siekierką
- 34) bezzuchwocce występujące m.in. w polskich rzekach
- 35) „kosmiczny” synonim 6 pionowo
- 36) rybka dla panny młodej
- 37) opiekunka bojownika, karmicielka gurami

- Pionowo:**
- 1) jaja jazia, jesiotra, jazgarza
 - 2) duże ryby drapieżne wód tropikalnych (skojarz z opowiadaniem „Stary człowiek i morze”)
 - 3) spokrewnione z flądrami; skarpy
 - 4) ryba, którą anagramista przerobi na reklamę
 - 5) jej inna nazwa to podeszwica
 - 6) żeby tak każda spełniała trzy życzenia...
 - 7) ryba morska, której ości mają zielonkawą barwę
 - 10) ryba okoniokształtna (ze wskazówką w nazwie)
 - 13) zwany również turbotem
 - 14) ... krokodyla, występuje w Ameryce Północnej
 - 16) zarzucić sieci

- 17) popularna ryba akwariowa (ze słówkiem „trzy” w nazwie)
- 19) złoty ..., hodowany w akwariach (patrz 6 pionowo)
- 21) ... pacyficzna, ryba z rodziny śledziowatych
- 23) ryby – anagram przymiotnika „tajemni”
- 26) „jarząca się” rybka
- 27) ucha, anchois albo paluszki rybne
- 30) ryby, kwoty i msze
- 31) spokrewniona ze śledziem, na tarło wpływa do rzek
- 32) inna nazwa solandry – szybko pływającej ryby z rodziny makrełowatych

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY



Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

